

COLIN FORBES

KAMIENNY LAMPART

Tytuł oryginału

THE STONE LEOPARD

CZEŚĆ PIERWSZA
LAMPART

8 16 GRUDNIA

Stany Zjednoczone to jeden wielki slums...

To barbarzyńska cywilizacja, ten kraj drapaczy chmur i ruder...

W Nowym Jorku niewiarygodne bogactwo spogląda z penthouseów w dół na niewiarygodną biedę i nic nigdy nie trwa nawet pięć minut - także małżeństwo...

Cóż to za wspianiała cywilizacja - kontrolowana przez lobby budowlane, lobby samochodowe, lobby naftowe. Wysokościowce mające zaledwie dwadzieścia lat są burzone, a na ich miejscu wznosi się jeszcze ohydniejsze monolity. Coraz gęstsza sieć autostrad i dróg szybkiego ruchu pokrywa rozległe równiny - żeby nieszczęśliwi i znerwicowani mieszkańcy tego kraju mogli jeździć - z A do A! Bo w Stanach Zjednoczonych nigdy nie dojedziecie do B - każde nowe miejsce, do którego przyjeżdżacie, jest takie samo jak to, z którego jedziecie! I to jest ta Ameryka, która próbuje zdominować Europę!

Chcę was ostrzec, przyjaciele. Jeżeli Europa nie ma się stać drugim miastem slumsów, to musimy walczyć, by oczyścić ją z wszelkich amerykańskich wpływów... (Fragment przemowy wygłoszonej 7 grudnia w Dijon przez Guya Floriana, prezydenta Republiki Francuskiej).

Po Giscardzie przyszedł nowy de Gaulle...

Ten lapidarny komentarz został wygłoszony nieoficjalnie przez podsekretarza w brytyjskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Rzecznik amerykańskiego Departamentu Stanu przedstawił to bardziej ponuro:

- Po Giscardzie przyszedł brutalniejszy de Gaulle, de Gaulle do dziesiątej potęgi.

Chodziło oczywiście o nowego prezydenta Republiki Francuskiej, a słowa te wypowiedziano zaledwie kilka godzin przed pierwszą próbą zamachu na jego życie. Owe nieprzychylnie uwagi spowodowało antyamerykańskie wystąpienie w Dijon najpotężniejszego politycznego przywódcy w Europie Zachodniej. Zrozumiałe więc, że gdy świat obiegła wiadomość o próbie zabójstwa, w pewnych kręgach w Waszyngtonie prawdziwy smutek wywołało to, że się nie powiodła. Ale tego zimnego grudniowego wieczoru, gdy Florian opuścił Pałac Elizejski, by przejść kilkadziesiąt metrów dzielących go od Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na Place Beauvau, znalazł się zaledwie o sekundy od śmierci.

Dojście do władzy Guya Augustea Floriana, następcy Giscarda d'Estaing na stanowisku prezydenta Republiki Francuskiej, było efektowne i niespodziewane - tak niespodziewane, iż wytrąciło z równowagi niemal wszystkie rządy na świecie. Wysoki, szczupły i ruchliwy pięćdziesięciodwuletni Florian wyglądał o dziesięć lat młodziej; wyjątkowo żywej inteligencji, nie miał cierpliwości do ludzi, którzy myśleli wolniej niż on.

Było też coś z de Gaullea w jego majestatycznej postawie, w sposobie, w jaki mówił nad wszystkimi siłą swej osobowości. O ósmej wieczorem w środę, 8 grudnia, bardzo się zirytował, kiedy Marc Grelle, prefekt paryskiej policji, ostrzegał go przed chodzeniem po ulicach.

- Samochód czeka. Może pana odwieźć do ministerstwa, panie prezydencie...

- Sądzi pan, że się przeziębnię? - spytał Florian. - Może by pan chciał, żeby jakiś lekarz towarzyszył mi w tej dwuminutowej drodze?

- Przynajmniej byłby na miejscu, żeby zatamować krwotok, gdyby dosięgła pana jakaś kula...

Marc Grelle był jednym z niewielu ludzi we Francji, którzy ośmielali się odpowiadać Florianowi w jego własnym sarkastycznym stylu. Czterdziestodwuletni prefekt policji, o kilka centymetrów niższy od mającego metr osiemdziesiąt prezydenta, był również szczupły i atletyczny. Nie znosił munduru, jego normalnym strojem przez większą część dnia pracy była para gładko wyprasowanych luźnych spodni i sweter polo, który stale nosił. Być może właśnie ta nieformalność, swoboda bycia czyniły prefekta - owdowiałego rok wcześniej, gdy jego żona zginęła w wypadku samochodowym - atrakcyjnym dla kobiet. Wygląd zewnętrzny też miał znaczenie: gęste czarne włosy, ciemne wąsy i pełne usta, w których kącikach zawsze czaił się cień uśmiechu, chociaż Grelle starał się prezentować twarz pokerzysty.

Kiedy Florian, wkładając płaszcz, szykował się do opuszczenia swojego gabinetu na pierwszym piętrze Pałacu Elizejskiego, prefekt powiedział wzruszając ramionami:

- W takim razie pójdę z panem. Podejmuje pan jednak nierozsądne ryzyko...

Wyszedł za Florianem z gabinetu i po schodach do dużego hallu, który prowadził do frontowego wyjścia i dalej na zamknięty dziedziniec, narzucając po drodze skórzany płaszcz. Świadomie go nie zapiął - miał w ten sposób łatwiejszy dostęp do rewolweru Smith & Wesson 38, który zawsze przy sobie nosił. Nie jest normalne, że prefekt policji chodzi uzbrojony, ale Marc Grelle nie był normalnym prefektem. Do jego podstawowych obowiązków należała ochrona prezydenta w granicach Paryża, czuł się więc osobiście odpowiedzialny za bezpieczeństwo Floriana.

W wyłożonym dywanami hallu umundurowany i obwieszony medalami portier otworzył wysokie szklane drzwi i Florian - sporo przed prefektem - zbiegł po siedmiu stopniach na wybrukowany dziedziniec. Grelle pośpieszył, by go dogonić.

Aby dotrzeć do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, znajdującego się zaledwie o trzy minuty drogi od pałacu, prezydent musiał wyjść z dziedzińca, przeciąć rue Faubourg St Honore i przejść kilkadziesiąt metrów do Place Beauvau, gdzie skręca się w bramę

prowadzącą do ministerstwa. Zaczął właśnie przechodzić ulicę, gdy Grelle, salutując po drodze wartownikom, opuścił dziedziniec. Prefekt rozejrzał się szybko. O ósmej wieczorem, zaledwie dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem - które zresztą nie jest w Paryżu świętowane zbyt uroczyście - było ciemno i spokojnie, ruch samochodowy niewielki.

Poczuł na twarzy wilgoć. Znowu będzie padać, cholera; padało bez przerwy od tygodni i niemal połowa Francji znajdowała się już pod wodą.

Ulice były prawie puste, ale niezupełnie. Idąca od strony Madeleine w kierunku wejścia do pałacu para zatrzymała się pod lampą i mężczyzna zapalał papierosa. Brytyjscy turyści, odgadł Grelle: mężczyzna, bez kapelusza, miał na sobie typowy angielski wełniany płaszcz; kobieta ubrana była w zgrabny szary płaszczyk. Po drugiej stronie ulicy był jeszcze ktoś - samotna kobieta przed sklepem z futrami. Chwilę wcześniej oglądała wystawę. Teraz stała bokiem do ulicy, grzebała w torebce, prawdopodobnie w poszukiwaniu chusteczki do nosa albo grzebienia.

Dosyć atrakcyjna - lekko po trzydziestce, ocenił Grelle - miała na sobie czerwony kapelusz i dopasowany brązowy płaszcz. Idąc na Place Beauvau i przecinając ukośnie ulicę, Florian mijał ją właśnie.

Nie był mężczyzną, który nie zauważyłby interesującej kobiety, toteż rzucił na nią okiem. Wszystko to Grelle dostrzegł dochodząc do krawężnika, ciągle kilka metrów za swoim niecierpliwym prezydentem.

Florian nie miał przydzielonych do towarzystwa żadnych detektywów; wyraźnie zabronił „ingerencji w swoją prywatność”, jak to nazywał. Normalnie podróżował w jednym z czarnych citroenów DS 23s, zawsze czekających na dziedzińcu, miał jednak nieprzyjemny zwyczaj chodzenia pieszo na Place Beauvau, ilekroć chciał się spotkać z ministrem spraw wewnętrznych. Zwyczaj ten był powszechnie znany, pisała o nim nawet prasa.

- To niebezpieczne - protestował Grelle. - Na dodatek wychodzi pan zawsze o tej samej porze, o ósmej wieczorem. Nie byłoby trudno komuś...

- Myśli pan, że Amerykanie naślą na mnie uzbrojonego bandytę? - spytał ironicznie Florian.

- Zawsze są jeszcze wariaci...

Grelle szedł już na jezdnię i ciągle gonił Floriana, rozglądając się dookoła, kiedy coś kazało prezydentowi spojrzeć za siebie. Był niewiele więcej niż metr od kobiety, gdy wyjęła z torebki broń. Zupełnie spokojnie, bez śladu paniki, pewną ręką wymierzyła w cel. Na wpeł obrócony Florian na kilka sekund zamarł w zdumieniu. Zanim zdążył zareagować, odgłos dwóch szybko po sobie następujących strzałów rozniósł się echem po ulicy.

Ciało leżało w rynsztoku, bezwładne, martwe. Całkowity brak ruchu jest zawsze najbardziej wstrząsającą rzeczą. Grelle, wciąż z rewolwerem w dłoni, pochylił się nad zwłokami. Był zszokowany: po raz pierwszy zabił kobietę - kiedy ludzie z Instytutu Medycyny Sądowej badali później trupa, znaleźli jedną z kul w sercu, drugą zaś centymetr na prawo. Chwilę wcześniej, zanim pochylił się nad ciałem, brutalnie chwycił prezydenta za ramię i wepchnął go z powrotem na dziedziniec pałacu, nie zważając na protesty. Na ulicę wybiegli strażnicy z bronią automatyczną. O wiele za późno.

Grelle sam wyjął rewolwer z ręki martwej kobiety, podnosząc go ostrożnie za lufę, by nie zatrzeć odcisków palców. Był to dziewięć - milimetrowy bayard, produkowany przez belgijską fabrykę broni ręcznej w Hertal. Dostyc mały, żeby się zmieścić w torebce, nie był to jednak bynajmniej damski pistolecik. Grelle nie miał wątpliwości, że gdyby kobiecie udało się strzelić z tak bliskiej odległości - skutki byłyby fatalne.

Parę minut później na odgradzoną kordonami ulicę wjechał policyjnym samochodem na sygnale zastępca prefekta, dyrektor generalny Andre Boisseau z Police Judiciaire.

- O Boże, to prawda?

- Tak, to prawda - warknął Grelle. - Jego niedoszłą zabójczynię właśnie niosą do tamtej karetki. Florian wyszedł z tego bez szwanku - jest z powrotem w pałacu. Od tej chwili wszystko będzie inaczej.

Zorganizujemy mu ścisłą ochronę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ma być strzeżony, gdziekolwiek idzie - zobaczę się z nim rano, by uzyskać jego aprobatę...

- A jeśli się nie zgodzi?

- To otrzyma moją natychmiastową rezygnację.

Przybyła prasa i reporterzy usiłowali się przepchnąć przez tłum żandarmów. Jeden z nich zawołał coś do prefekta.

- Są już hieny - mruknął pod nosem Grelle, musiał ich jednak załatwić. Kazał przepuścić dziennikarzy i po chwili zarobili się wokół niego. Pierwsze pytanie zadał reporter „L'Humanite” - „tego komunistycznego szmatławca”, jak nazywał gazetę prefekt.

- Mówi pan, że to była kobieta? Czy prezydent ją znał?

Implikacja była brutalna i jasna, jeśli wzięło się pod uwagę pogłoski o napiętych stosunkach Floriana z żoną i jego związkach z innymi kobietami. „L'Humanite” wietrzył soczysty skandal.

Grelle nie cierpiał polityków, rozumiał jednak politykę. Poczekał chwilę, by rozbudzić powszechną uwagę, ugruntować podejrzenie, a potem je zręcznie obalić.

- Prezydent nie znał tej kobiety. Nigdy w życiu jej nie widział.

Powiedział mi to, kiedy wprowadzałem go z powrotem do Pałacu Elizejskiego...

- Ale ją widział? - nalegał reporter.

- Przypadkiem patrzył prosto na nią, kiedy w niego wycelowała...

Po tej wymianie zdań odmówił dalszych wyjaśnień i kazał odesłać dziennikarzy za kordon. Karetka już odjechała. Policijni fotografowie robili zdjęcia odcinka chodnika, na którym stała kobieta. Grelle zostawił kierującemu akcją inspektorowi dopełnienie formalności i wsiadł do samochodu Boisseau. Zastępca odwiózł go z powrotem do prefektury na Ile de la Cite.

Po drodze prefekt wyjął z kieszeni torebkę zabitej i przejrzał jej zawartość. Zwykle drobiazgi: szminka, puderniczka, kółko z kluczami, grzebień, sto pięćdziesiąt siedem franków w banknotach i bilonie oraz dowód osobisty. Kobieta, która próbowała zabić prezydenta Francji, nazywała się Lucie Devaud. Wtedy jeszcze Grelle nie dostrzegał niczego zastanawiającego w tym nazwisku. Nie dostrzegał też znaczenia faktu, że denatka urodziła się w departamencie Lozere. w pewnych momentach historii pojedynczy incydent może pociągnąć za sobą całą serię wydarzeń. Zamach na prezydenta Francji był właśnie takim incydentem. Świat wydobywał się z ciężkiego kryzysu, który zaczął się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku. Wszędzie znowu rosła nadzieja i optymizm. Linie lotnicze przewoziły coraz większą liczbę turystów do odległych i egzotycznych miejsc; światowe giełdy pracowały pełną parą - wskaźnik Dow Jonesa przekroczył 1500 - a inflacja była już tylko wspomnieniem. I, jak przewidział amerykański Hudson Institute, przewodziła temu rozwojowi gospodarczemu Francja, która stała się teraz najpotężniejszym państwem w Europie Zachodniej, wyprzedzając nawet RFN. Tak więc prezydent Republiki Francuskiej, Guy Florian, był obecnie najpotężniejszym mężem stanu między Moskwą a Waszyngtonem.

Na froncie politycznym jednak sytuacja nie wyglądała tak różowo. W czasie ekonomicznej zamieci Rosja Sowiecka znacznie rozszerzyła obszar swoich wpływów. Portugalia była teraz krajem komunistycznym - partia komunistyczna przejęła tam władzę w wyniku sfałszowanych wyborów. W Grecji dotychczasowy rząd został obalony w wyniku komunistycznego zamachu stanu. Hiszpanię natomiast, po długim okresie chaosu, trzymał w ryzach zdominowany przez komunistów rząd koalicyjny. Radzieckie okręty wojenne stały w porcie Pireus w Atenach i pod Barceloną, korzystały też z Lizbony jako bazy marynarki wojennej. Morze Śródziemne stało się niemal rosyjskim jeziorem. Do tego jeszcze ostatnie amerykańskie oddziały opuszczały Europę, w miarę jak Kongres coraz wyraźniej opowiadał się za polityką izolacjonizmu.

Wszystko to - plus rosnąca potęga gospodarcza - uczyniło I z Francji kluczowe

państwo w Europie Zachodniej. Sprzymierzona z RFN, stanowiła główną przeszkodę w dalszej sowieckiej ekspansji.

Tak wyglądała sytuacja, kiedy świat obiegnęła wiadomość o zamachu na życie prezydenta Guya Floriana. Lucie Devaud nie udało się wprawdzie nacisnąć spustu swojego rewolweru, sama próba zamachu pociągnęła jednak za sobą całą lawinę innych wydarzeń.

Jej śmierć miała wpłynąć na życie wielu ludzi: Alana Lennox, Anglika mieszkającego w Londynie; Davida Nasha, Amerykanina z Nowego Jorku; Petera Lanza, Niemca pracującego w Bawarii; pułkownika Rene Lasallea, byłego asystenta szefa kontrwywiadu i wojskowego, żyjącego obecnie na wygnaniu w Niemczech; a także kilku innych osób, przebywających w tej chwili w Czechosłowacji.

Pierwszy zareagował pułkownik Lasalle. Późnym wieczorem ósmego grudnia rozgłośnia radiowa Europa Numer 1, znajdująca się w Saarlandzie w Niemczech, nadała jego kolejną audycję.

„Kim była ta tajemnicza kobieta, Lucie Devaud? - pytał prowokująco w swoim programie. - Jaka była jej tajemnica? I co to za dawna tajemnica głównego paryskiego polityka, która za żadną cenę nie może być ujawniona? Dlaczego Marc Grelle podejmuje środki bezpieczeństwa, w ciągu jednej nocy zmieniające mój kraj w państwo policyjne? Czy istnieje spisek...” Fragmenty tego programu zostały powtórzone w telewizyjnych wiadomościach na całym świecie. Audycja Lasallea - najbardziej jadowita z dotychczasowych - wzbudzała wiele niezdrowych emocji. Dawna tajemnica głównego paryskiego polityka...” - To zdanie przede wszystkim podchwycili zagraniczni korespondenci. Czyżby gdzieś w Paryżu, rozważali, była jakaś ważna osobistość - może minister - spiskująca przeciwko prezydentowi Florianowi? Jeśli tak, to kto jest tą zagadkową postacią? Rozpuszczano najróżniejsze plotki - między innymi i taką, że za zamachem stała prawicowa grupa spiskowców, z owym nieznanym hipotetycznym ministrem na czele; że próbowali zabić Floriana przed jego historyczną wizytą w Rosji Sowieckiej, wyznaczoną na 23 grudnia.

David Nash, mieszkający na ósmym piętrze bloku na Wschodniej Osiemdziesiątej Czwartej Ulicy w Nowym Jorku, potraktował pogłoski o spisku jako bzdury, Ten czterdziestopięcioletni Amerykanin - niski, dobrze zbudowany mężczyzna o bystrych szarych oczach i przerzedzających się włosach - pracował dla specjalnej sekcji Departamentu Stanu, której nie spenetrowała jeszcze - i przez to nie uznała za bezużyteczną - żadna komisja Kongresu. Oficjalnie zajmował się polityką - „najbardziej niejasnym pojęciem w słowniku”, jak sam kiedyś powiedział - naprawdę jednak związany był z kontrwywiadem.

A ponieważ z zasady rzadko pojawiał się w stolicy, prasa prawie nie wiedziała o jego

istnieniu. Po południu, w dzień po napastliwym wystąpieniu Lasallea w radiu Europa Numer I, studiował w swoim mieszkaniu zapis tej audycji. Razem z nim siedziało za stołem dwóch mężczyzn, którzy właśnie przylecieli z Waszyngtonu.

- Ciarki przechodzą mi po plecach na myśl o tym, jak blisko śmierci był Florian - skomentował Nash. - Gdyby zamach się udał, Francja pogrążyłaby się w chaosie. Bóg jeden wie, jak Rosja próbowałaby skorzystać z sytuacji. Musimy się dowiedzieć, kto stoi za tym zamachem...

Andrew MacLeish, zwierzchnik Nasha, chudy pięćdziesięciolatek o srogim wyglądzie, nienawidził Nowego Jorku i każdą spędzoną w nim minutę uważał za straconą. Powiedział z irytacją:

- Myślisz, że ten idiota Lasalle ma w ogóle pojęcie, o czym gada? i ! Moim zdaniem tego faceta po prostu bawi zadawanie ciosów na oślep.

Według moich obliczeń to jego dziesiąte wystąpienie przeciw Florianowi w ciągu sześciu miesięcy...

- Dziesiąte - zgodził się Nash. - Nawiasem mówiąc, przyjąłem jego zaproszenie na spotkanie.

- Zaproszenie? - spytał MacLeish. - Nie wiedziałem, że miałeś jakiś kontakt z tym psychopata...

- Nawet psychopaci czasem wiedzą to i owo - zauważył Nash. - Pułkownik Lasalle skontaktował się ze mną przez naszą ambasadę w Brukseli, dzisiaj późnym rankiem naszego czasu.

Twierdzi, że ma jakieś ważne informacje na temat tego, co się naprawdę dzieje w Paryżu, ale będzie rozmawiał tylko z przedstawicielem Waszyngtonu - w cztery oczy. I mamy siedzieć cicho.

- Sądzę, że nie powinniśmy wdawać się w kłótnie z psychopatami na wygnaniu - stwierdził MacLeish. Wyrzwał przez okno, za którym poprzez szkielec nowego wysokościowca dostrzegł zaledwie fragment mostu Triborough.

Spierali się ponad godzinę, ale w końcu Nash złamał ich opór.

W jego opinii to Waszyngton stawał się psychopatyczny. W sytuacji gdy dowództwo wojskowe i większość administracji były przeciwne wymuszonemu przez Kongres wycofaniu oddziałów z Europy, stawało się jeszcze ważniejsze, by wiedzieć, co naprawdę dzieje się na tym kontynencie. Trzeba było ostrzec dawnych sojuszników przed jakimkolwiek niebezpiecznym rozwojem wypadków. Następnego dnia Nash poleciał do Europy na spotkanie z człowiekiem, którego zniszczył Guy Florian.

Pułkownik Rene Baptiste Lasalle, eks - asystent szefa francuskiego kontrwywiadu wojskowego, został nazwany przez Guya Floriana „wygasłym wulkanem”, ale jak na człowieka, którego kariera nagle się skończyła - w momencie gdy wydawało się prawie pewne, że wkrótce dostanie awans na generała - nadal pozostawał bardzo aktywny.

Echa działalności pułkownika z pewnością docierały do Paryża.

Pół roku przed nieudaną próbą zamachu na Faubourg St Honore Lasalle gwałtownie posprzeczał się z prezydentem i w ciągu jednej nocy musiał uciekać z kraju; krążyły pogłoski, że miano go aresztować za spiskowanie przeciw Florianowi. Jadąc własnym samochodem, Lasalle o czwartej rano roztrzaskał szlaban graniczny na wschód od Metz i schronił się w Niemczech Zachodnich. Od chwili przybycia do Republiki Federalnej zaczął organizować kampanię oszczerstw w celu zdyskredytowania człowieka, który go zniszczył. Jako narzędzie walki wybrał Europę Numer 1, niezależną stację radiową nadającą z Saarlandu.

Teraz pułkownik Lasalle miał pięćdziesiąt pięć lat. Niski, szczupły, o pociągłej twarzy, musiał radzić sobie w życiu tylko jedną ręką, lewą bowiem urwała mu mina w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku w Algierii. Był wtedy kapitanem wojskowego kontrwywiadu i okazał się najlepszym oficerem w armii francuskiej, jeśli chodziło o tępienie przywódców arabskiego podziemia. W dwadzieścia cztery godziny po wypadku utracił również rodzinę - jakiś terrorysta wrzucił bombę do salonu jego willi, zabijając żonę i czteroletniego synka. Kiedy leżąc w szpitalu usłyszał tę wiadomość, zareagował w typowy dla siebie sposób:

- Ponieważ moje prywatne życie jest skończone, poświęcę resztę mego czasu Francji. To jedyne, co mi pozostało...

Natychmiast po zakończeniu rekonwalescencji powrócił z Marsylii do północnej Afryki. Sama rekonwalescencja była godna uwagi.

Uznawszy swój zmysł równowagi za wadliwy, Lasalle zaczął spacerować z laską po górach Estoril, nad głębokimi wąwozami, by znaleźć nową równowagę. „Kiedy w grę wchodzi życie - powiedział później - ciało samo wspaniale się przystosowuje...” Wrócił do Algierii w samą porę, by wykryć i udaremnić najbardziej bezwzględny z dotychczasowych zamachów na generała de Gaullea. Potem, po wielu latach, przyszło starcie z Florianem..

Teraz, wygnany do Saarlandu, mieszkał w wiejskim domu niedaleko Saarbrücken, tuż przy granicy francuskiej - i regularnie prowadził swoje audycje w radiu Europa Numer 1, stacji niemieckiej, ale słuchanej przez miliony Francuzów. Kalectwo jakby zwiększyło energię tego niskiego mężczyzny, który chwalił się, że przez ani jeden dzień swojego życia nie pozostawał bezczynny. Celem jego ostatniej jadowitej audycji również był Guy Florian:

„Dlaczego dwudziestego trzeciego grudnia jedzie do Rosji? Jaki jest prawdziwy motyw tej wizyty? Dlaczego jedzie tam akurat w czasie, gdy Europa jak nigdy przedtem zagrożona jest przez Armię Czerwoną? Kim jest ten minister, o którym krążą plotki w Paryżu?” Lasalle nigdy nie wymieniał Floriana z nazwiska. Zawsze mówił o nim tylko „on” lub „ten człowiek”. Stopniowo w Paryżu zdano sobie sprawę, że pułkownik jest nie tylko świetnym oficerem wywiadu; stał się także prawdziwym mistrzem zatruwającej umysły propagandy politycznej. Ten właśnie człowiek po cichu dał teraz znać Amerykanom, że chce rozmawiać z godnym zaufania przedstawicielem ich wywiadu. wieczorem w czwartek 9 grudnia, tego samego dnia, w którym David Nash poinformował w Nowym Jorku MacLeisha, że poleci do Europy na spotkanie z pułkownikiem Rene Lasalleem, na Faubourg St Honore, naprzeciwko Pałacu Elizejskiego zatrzymał się niski, posiwiały mężczyzna w zniszczonym ubraniu. Stał dokładnie w tym samym miejscu, gdzie dwadzieścia cztery godziny wcześniej upadła Lucie Devaud, kiedy kule Marca Grellea trafiły ją w pierś. Nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi, a gdyby nawet pełniący straż przed pałacem gwardzista republikański pomyślał o nim choćby przez chwilę, z pewnością stwierdziłby, że to po prostu kolejny voyeur, jeden z tych dewiantów, którzy znajdują przyjemność w oglądaniu miejsca niedoszłej zbrodni.

Nędznie ubrany mężczyzna przyszedł o wpół do ósmej, kiedy było już ciemno. Miał może sześćdziesiąt kilka lat, twarz pooraną bruzdami i gęste siwe wąsy. Stał na ulicy godzinę. O wpół do dziewiątej nagle, jakby w oszołomieniu, nie patrząc na boki, wyszedł na jezdnię. Nadjeżdżający z dużą prędkością samochód nie zdążył zahamować - mężczyzna bez ostrzeżenia pojawił się tuż przed maską wozu. Pojazd z ogromną siłą uderzył w pieszego, przejechał po nim i przyspieszył, znikając w kierunku Madeleine. Piętnaście minut później karetka na sygnale zawiozła ofiarę do Hotel - Dieu na Ile de la Cite. Lekarz stwierdził, że pacjent będzie miał szczęście, jeśli przeżyje noc. w czwartek 9 grudnia, pozbywszy się swoich gości z Waszyngtonu, David Nash obejrzał mapy drogowe zachodniej Europy, sprawdził odległości i postanowił lecieć przez Atlantyk jeszcze tej nocy.

Gdyby udało mu się złapać lot nr 92 Panamu o 17:45, mógł być w Brukseli wcześniej rano następnego dnia. Dałoby mu to czas na jazdę samochodem do Luksemburga - gdzie umówił się z Lasalleem - i powrót nocnym samolotem z Brukseli do Nowego Jorku. Wpadł na lotnisko dosłownie w ostatniej sekundzie i rozluźnił się dopiero na swoim fotelu w pierwszej klasie, kiedy boeing 707 wzbijał się łagodnie nad wybrzeżem Long Island.

Harmonogram wizyty Nasha w Europie był napięty. Czekало go spotkanie z Lasalleem na neutralnym gruncie Luksemburga; był również umówiony ze swoim niemieckim kolegą po

fachu, Peterem Lanzem, z którym utrzymywał bliskie i serdeczne stosunki. Do obowiązków Lanza należało także dyskretne pilnowanie kłopotliwego gościa, zbiegłego z terytorium najbliższego sprzymierzeńca Niemiec.

Przybycie pułkownika Lasallea wywołało bardzo mieszane uczucia wśród przedstawicieli władz niemieckich. Udzielili zbiegowi gościny Paryż nie postawił mu nigdy żadnych określonych zarzutów - i szef policji w Saarbrücken otrzymał polecenie, by prowadzić nadzór na odległość. Sam Lasalle bowiem, obawiając się próby porwania, poprosił o policyjną ochronę, którą zapewniono mu pod warunkiem, że nigdy nie będzie o niej publicznie napomynał. Z upływem czasu - pułkownik przebywał w Niemczech już od pół roku - nadzór został rozluźniony.

Peter Lanz wielokrotnie odwiedzał pułkownika, prosząc go o lekkie stonowanie swoich audycji. Lasalle zawsze przyjmował Niemca uprzejmie i mówił, że rozważy prośbę. Następnie jechał do rozgłośni i wygłaszał nową serię insynuacji. Ponieważ nie łamał żadnego prawa, Lanz wzruszał ramionami, po czym zasiadał do lektury zapisu ostatniej wiązanki.

Lanz miał trzydzieści dwa lata, był więc wyjątkowo młody jak na zajmowane stanowisko wicedyrektora Bundesnachrichtendienst, zachodnio - niemieckiej Federalnej Służby Wywiadowczej. Ten szybki awans zawdzięczał swoim zdolnościom i faktowi, że kiedy w trzy miesiące po dojściu do władzy Guya Floriana został wybrany nowy kanclerz Republiki Federalnej, Franz Hauser, wielu starszych zostało nagle wyrzuconych z tej instytucji. „Nie chcę intrygantów - warknął wtedy Hauser. - Chcę młodych i energicznych ludzi, którzy potrafią wykonywać tę cholerną robotę...” Zastępca szefa BND był mężczyzną średniego wzrostu, wątlej budowy i miał przerzedzające się ciemnoblonde włosy. „W tej robocie w wieku czterdziestu lat będę już łysy - lubił mawiać. - Ale ponoć kobiety lubią łysych”. Zazwyczaj poważny, miał jedną cechę wspólną z Guyem Florianem: kiedy się uśmiechał, potrafił oczarować prawie każdego i szybko przekonać go do swoich racji. Jego praca polegała na przewidywaniu wszelkich potencjalnie wybuchowych sytuacji, które mogłyby politycznie zaszkodzić Republice Federalnej - przewidywaniu i neutralizowaniu.

Nash spotkał się z Lanzem w Liege, w Belgii. Zaraz po wylądowaniu o 8:30 w Brukseli, Amerykanin wynajął na lotnisku samochód na nazwisko Charlesa Wadea, pod którym podróżował. W Liege Nash spędził z Lanzem pół godziny w dworcowej restauracji, w anonimowym tłumie podróżnych, po czym pojechał na południe, do Clervaux w Ardenach. Miejsce potajemnego rendez - vous z pułkownikiem zostało starannie wybrane - Clervaux leży wysoko na wzgórzach północnego Luksemburga.

Na utrzymaniu w tajemnicy wizyty Nasha zależało przede wszystkim Lasalleowi.

Gdyby Paryż mógł mu udowodnić kontakty z Amerykanami, bardzo łatwo byłoby go zdyskredytować jako narzędzie Waszyngtonu. W spokojnym hotelu Claravallis w Clervaux, w pokoju zarezerwowanym na nazwisko Charlesa Wadea, Nash i Lasalle rozmawiali w absolutnej tajemnicy przez dwie godziny. Potem Lasalle ? I.;:.. !. Natychmiast odjechał samochodem z powrotem do Niemiec. Nash zjadł szybko lunch w hotelu, a następnie wrócił prosto do Belgii i tam zdał relację Peterowi Lanzowi, czekającemu na niego w Liege. Pół godziny później Nash był już w drodze do Brukseli, gdzie złapał nocny samolot do Nowego Jorku. W czasie tego błyskawicznego wypadu do Europy, podróżując pod fałszywym nazwiskiem, nawet nie zbliżył się do amerykańskiej ambasady w Brukseli. Jedząc w samolocie kolację machinalnie rysował coś w notesie, a potem zmywał. Rysunki przedstawiały głowę lamparta.

* * *

David Nash był gdzieś pomiędzy Brukselą a Liege, spiesząc na pierwsze spotkanie z Peterem Lanzem, kiedy w Paryżu Marc Grelle odebrał telefon. Biuro prefekta policji znajduje się na drugim piętrze prefektury, jego ściany wyłożone są boazerią, okna wychodzą na Boulevard du Palais i - dla zapewnienia tajemnicy - zasłonięte są firankami. Siedząc za swoim biurkiem i przeglądając poranną pocztę, czego bardzo nie lubił, Marc Grelle miał na sobie, jak zwykle, luźne spodnie i sweter polo.

Urodził się w Metz, w Lotaryngii. We Francji Lotaryńczycy znani są jako najmniej francuscy z Francuzów. Silni fizycznie, mało pobudliwi, cieszą się opinią zrównoważonych i niezawodnych w krytycznych sytuacjach. Grelle przebył długą drogę, nim trafił z Metz do Paryża. Półtora roku przed wyborami prezydenckimi, w których wygrał Florian, Marc Grelle zajmował stanowisko prefekta Marsylii i byłby całkiem zadowolony, gdyby przyszło mu skończyć karierę w tym rozpustnym mieście. „Spójrzcie, do czego prowadzi nadmierna ambicja - zwykły mawiać. - Spójrzcie na któregokolwiek z ministrów.

Biorą tabletki, które mają im pomóc w spaniu; zażywają środki pobudzające, które mają utrzymać ich w dobrej formie podczas środowych posiedzeń gabinetu. Żenią się z bogatymi kobietami, by pomóc swoim ambicjom, a potem wydają pieniądze swoich żon na kochanki, żeby zachować zdrowie psychiczne. Jaki jest sens tego wszystkiego?” Toteż z największą niechęcią Grelle uległ namowom Floriana, który chciał ściągnąć go do Paryża. „Potrzebuję przy sobie jednego uczciwego człowieka - nalegał Florian. - Jeśli ty nie przyjmiesz tego stanowiska, będę musiał pozostawić je wolne!” Grelle z westchnieniem podpisał inicjałami jakiś papier i zabierał się za następny dokument, kiedy zadzwonił telefon.

Dzwonił Andre Boisseau, jego zastępca.

- Jestem w Hotel - Dieu, szefie, tuż za rogiem. Sądzę, że powinien pan tu zaraz przyjść. Umiera pewien człowiek i...

- Umiera?

- Wczoraj wieczorem został przejechany przez samochód, kierowca zbiegł z miejsca wypadku, na Faubourg St Honore, naprzeciwko pałacu - w tym samym miejscu, gdzie zginęła Lucie Devaud...

Boisseau nie chciał mówić więcej przez telefon, więc Grelle włożył swój skórzany płaszcz i ruszył do szpitala. Padał ulewny deszcz, ale prefekt nie lubił jeździć samochodem, gdy gdzieś miał blisko. „Wkrótce dzieci będą się rodzić z kołami zamiast nóg” - brzmiało jedno z jego ulubionych powiedzonek. Boisseau czekał na niego na pierwszym piętrze dużego ponurego budynku, którego okna wychodziły na prawy brzeg Sekwany.

- Przepraszam, że wyciągałem pana na deszcz, szefie, ale on nie chce mówić z nikim oprócz prefekta policji. Nazywa się Gaston Martin. Właśnie wrócił z Gujany - pierwszy raz od trzydziestu lat...

Później Grelle uporządkował tę dziwną opowieść. Gujana to jedyny zamorski departament w Ameryce Południowej, który ciągle należy do Francji. Kiedyś znana była społeczeństwu głównie z powodu znajdującej się tam słynnej kolonii karnej, zwanej Diabelską Wyspą.

Jednak już od czterdziestu lat jej nazwa nie pojawiała się na pierwszych stronach gazet i Gujana zaczęła stawać się jednym z najbardziej zapomnianych obszarów na rozległym kontynencie Ameryki Łacińskiej.

W tej zapadłej prowincji dobiegający siedemdziesiątki Gaston Martin żył od końca drugiej wojny światowej. Teraz, po raz pierwszy od ponad trzydziestu lat, wrócił do domu na pokładzie frachtowca, i który przyplął do Hawru dziewiątego grudnia, niecałe dwadzieścia cztery godziny po próbie zamachu na Guya Floriana.

Przyjechawszy do Paryża, Martin zostawił swój niewielki bagaż w Cecile, nędznym hoteliku na lewym brzegu Sekwany, i wyszedł na spacer. W końcu zjawił się przed Pałacem Elizejskim, gdzie dokładnie o 20:30 został przejechany przez samochód. Idąc za Boisseau do pokoju, w którym znajdował się pacjent, Grelle nic jeszcze o tym nie wiedział.

Gaston Martin leżał na wąskim łóżku, dogładany przez pielęgniarkę i lekarza, który pokręcił głową na pytanie Grelle o stan pacjenta.

- Daję mu godzinę - szepnął. - Może mniej. Samochód przejechał dokładnie po nim... płuca są przebite. Nie, to już nie sprawi różnicy, jeśli go pan przepytasz, ale może nie mieć siły

odpowiadać.

Zostawię panów na kilka minut... - Zmarszczył brwi, gdy Boisseau poprosił, by pielęgniarka również wyszła. - Cóż... Jak panowie sobie życzą.

Dlaczego sale szpitalne wyglądają jak cele śmierci, zastanawiał się Grelle podchodząc do łóżka. Martin miał wiotkie siwe włosy, a pod wydatnym zakrzywionym nosem opadające wąsy. Więcej charakteru niż inteligencji, ocenił Grelle, przysuwając sobie krzesło. Rozmowę zaczął Boisseau:

- To jest prefekt policji Paryża, Marc Grelle. Prosił pan, żeby go przyprowadzić...

- Widziałem go... wchodzącego do pałacu - odezwał się drżącym głosem Martin.

- Kogo pan widział? - spytał spokojnie Grelle. Człowiek z Gujany chwycił go za rękę, co sprawiło, że prefekt poczuł się bezradnie. - Kogo pan widział? - powtórzył.

- Lamparta...

Grelle drgnął. Przez kilkanaście sekund, zanim odpowiedział, gorączkowo przerzucał w pamięci Bóg wie ile czytanych kiedyś akt.

Natychmiast domyślił się, o kim mówi ten człowiek, ale kiedy przypomniał sobie szczegóły, stwierdził, że Martin z pewnością bredzi.

- Nie wiem, o kogo panu chodzi - powiedział ostrożnie.

- Przywódca komunistycznego Ruchu Oporu... w Lozere. - Mocno chwytając się ręki prefekta, Martin z wysiłkiem uniósł się na poduszce. Pot wystąpił mu na czoło. Boisseau usiłował go powstrzymać, ale Grelle kazał mu zostawić rannego. Rozumiał tę rozpaczliwą reakcję: Martin próbował pożyć troszkę dłużej i czuł, że może to zrobić tylko przez zmianę pozycji. - Komunistyczny przywódca z czasów wojny... - powtórzył Martin. - Naj... młodszy... w Ruchu Oporu.

- Nie mógł pan go widzieć wchodzącego do pałacu - powiedział łagodnie Grelle. - Są straże, wartownicy przy bramie...

- Salutowali mu...

Prefekt poczuł gwałtowny ucisk w dołku, jego ręka zadrżała i Martin poczuł to. Otworzył szerzej oczy.

- Wierzy mi pan, prawda? - wysapał. - Musi mi pan wierzyć...

Grelle odwrócił się do Boisseau, mówiąc rozkazującym szeptem:

- Nikt nie ma prawa. Tu wchodzić - nawet lekarz. Po drodze widziałem jakiegoś żandarma przy wejściu - sprowadź go i postaw przed drzwiami, a potem wróć tutaj...

Siedział z umierającym Martinem przez dwadzieścia minut. Wiedział, że przepytywanie przyspiesza śmierć biedaka, ale wiedział również, że Martin nie ma nic

przeciwko temu. Chciał mówić, przekazać swoje informacje. Boisseau wrócił do sali po paru minutach, zostawiwszy żandarma na zewnątrz. W pewnym momencie do pokoju chciał wejść ksiądz, Martin stwierdził jednak, że jest ateistą, i tak się zdenerwował, że duchowny czym prędzej się wycofał.

Dla Grellea było to ciężkie doświadczenie - patrzył, jak skóra umierającego szarzeje pod warstewką potu, czuł jego dłoń zaciskającą się na swojej, rozpaczliwie usiłującą utrzymać kontakt z kimś żywym, ze światem. Przez te dwadzieścia minut słyszał głównie nie trzymającą się kupy paplaninę, ciąg nie połączonych ze sobą zdań; w tych gorączkowych majakach był jednak pewien sens.

Potem Martin umarł. Jego uścisk osłabł, ale ręka pozostała zaciśnięta na dłoni Grellea, niczym ręka śpiącego dziecka. Człowiek, który nie widział Paryża od ponad trzydziestu lat, wrócił, by umrzeć w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od wylądowania we Francji.

Po powrocie do prefektury Grelle zamknął drzwi biura na klucz, przekazał swojej sekretarce, że na razie nie może przyjmować telefonów, po czym podszedł do okna i utkwiał wzrok w zalanej deszczem ulicy.

Jeszcze przedtem wymógł na swoim zastępcy przysięgę dochowania absolutnej tajemnicy. i - Gdyby mi się coś stało - wyjaśnił - musi być ktoś, kto zna sprawę i mógłby dalej prowadzić dochodzenie. Chociaż Bóg jeden wie, ! jak bardzo chciałbym, żeby się okazało, że Martin się pomylił, że nie wiedział, o czym mówi...

- A o czym Martin mówił? - spytał dyplomatycznie Boisseau.

- Wiesz równie dobrze jak ja - odparł ostro Grelle. - Powiedział, że ktoś, kto wczoraj wieczorem był w Pałacu Elizejskim, ktoś na tyle ważny, że mu salutowano - musi więc być na jakimś stanowisku ministerialnym - jest komunistycznym agentem...

Na polecenie Grellea Boisseau wysłał pilny telegram do szefa policji w Cayenne w Gujanie, prosząc go o wszelkie informacje na temat Gastona Martina. Następnie razem z prefektem złożyli w całość porwaną, często niespójną opowieść, jaką usłyszeli od umierającego.

Przebywał w sąsiedztwie Pałacu Elizejskiego mniej więcej godzinę - gdzieś między wpół do ósmej a wpół do dziewiątej - trochę stojąc na krawężniku w miejscu, gdzie została zastrzelona Lucie Devaud, a trochę spacerując w kierunku Place Beauvau i z powrotem.

Wiedzieli, że wypadek zdarzył się wpół do dziewiątej, ponieważ jeden z wartowników pałacu był tego świadkiem.

- Ale to niewiele nam da - stwierdził Boisseau. - Kiedy szedł pan do szpitala, zadzwoniłem do zajmującego się tą sprawą inspektora i dowiedziałem się, że dureń

wartownik nie jest nawet pewien marki samochodu, który przejechał Martina...

Martin przysięgał, że w pewnym momencie podczas tej godziny widział człowieka, którego kiedyś znał jako Lamparta, wchodzącego do pałacu i odbierającego honory wartowników. Właśnie to krótkie zdanie nie dawało Grelleowi spokoju. „Salutowali mu...” Opis wyglądu tego człowieka był dosyć mglisty - zanim prefekt doszedł do tego pytania, stan rannego bardzo się pogorszył, zaczął bredzić o zupełnie innych sprawach, zapominając o pytaniu, jakie mu Grelle zadał.

- Możemy chyba przyjąć, że ten człowiek był dość wysoki, ponad metr osiemdziesiąt - powiedział prefekt. - Martin powtórzył to ze trzy razy... to o jego wysokim wzroście.

- To się odnosiło do okresu sprzed ponad trzydziestu lat, do czasów wojny - zaprotestował Boisseau. - To znaczy jeśli w ogóle wierzyć Martinowi. Jak, u diabła, mógł rozpoznać człowieka, którego nie widział przez tyle lat? Ludzie zmieniają się jak cholera...

- Bardzo obstawał przy tym, że widział Lamparta. Powiedział, że nie zmienił się za bardzo, że pierwszą rzeczą, na jaką zwrócił uwagę, był chód tamtego... ale nie mogłem wydobyć z niego opisu tego chodu.

- To wcale nie brzmi prawdopodobnie. - Boisseau zdjął już marynarkę i krawat. Zanim przyniesiono im kawę, pokój był pełen dymu, gdyż Grelle palił papierosa za papierosem. Deszcz ciągle walił o szyby.

- Nie brzmi - zgodził się prefekt. - Ale ja słyszałem każde jego słowo i facet mnie przeraził. Myślę, że potrafię ocenić, kiedy człowiek nie kłamie.

- Sądzi pan więc, że on rzeczywiście mówił prawdę o tym Lamparcie? - Boisseau nie starał się ukryć swego sceptycyzmu. - Nigdy o nim nie słyszałem.

- Bo jesteś młodszy ode mnie. - Grelle zapalił kolejnego papierosa. - Lampart jest w aktach, bardzo już starych i zakurzonych aktach. I sądzę, że Gaston Martin mówił prawdę... a przynajmniej to, co uważał za prawdę.

- To mogą być dwie różne rzeczy...

- I tak chyba jest... Bo widzisz, przywódca komunistycznego Ruchu Oporu, znany w czasie wojny jako Lampart, nie żyje. w sobotę 11 grudnia rano David Nash, który właśnie wrócił z Brukseli, poleciał z Nowego Jorku do Waszyngtonu na spotkanie z Andrew MacLeishem w Departamencie Stanu. Obaj mężczyźni zamknęli się w małym pokoju na drugim piętrze i MacLeish słuchał bez słowa przez piętnaście minut. Jedną z jego zalet było to, że potrafił wysłuchać raportu bez przerywania, wchłaniając informacje jak gąbka.

- I Lasalle nie dał absolutnie żadnej wskazówki co do tożsamości tego rzekomego ministra, który mógłby być komunistycznym agentem? - spytał w końcu. - Tego człowieka,

którego nazywa drugim Lampartem, ponieważ przyjął pseudonim nieżyjącego przywódcy Ruchu Oporu z czasów wojny.

- Żadnej - odparł natychmiast Nash. - Cały czas trzymał j! karty przy orderach. Powiedział mi natomiast, że sądzi, iż był bardzo blisko zdemaskowania tego agenta, kiedy nastąpiła ta potworna awantura z Florianem, w wyniku której musiał uciekać z Francji. Od tamtej pory nie miał możliwości dalszego prowadzenia dochodzenia i cholernie się obawia, że podczas wizyty Floriana w Moskwie planowany jest zamach stanu. Podejrzewa, że Rosjanie zaprosili ! prezydenta do Rosji, by na ten krytyczny moment pozbyć się go z Paryża. To próba zamordowania Floriana sprawiła, że Lasalle Zdecydował się na kontakt ze mną. Jest całkiem pewien, że gdyby zamach się powiódł, yyy26 coup d'etat pod przewodnictwem drugiego Lamparta nastąpiłby natychmiast.

- A więc chce, żebyśmy my ciągnęli to dochodzenie...

- Ma nazwiska trzech świadków, którzy w czasie wojny bardzo blisko współpracowali z prawdziwym Lampartem...

- Nazwiska, których nie chciał ci dać - warknął MacLeish.

- Nie jestem pewny, czy go za to winię - odparował Nash. - Jest bardzo ostrożny, a to lubię. Ujawni je tylko agentowi, którego wyślemy do Francji, by spotkał się z nimi...

- A co, do cholery, ci tak zwani świadkowie mogą nam powiedzieć? - spytał MacLeish z irytacją. - Jeżeli prawdziwy Lampart nie żyje, nie widzę związku.

- Lasalle uważa, że któryś z członków grupy Lamparta z czasów wojny sprytnie przejął ten pseudonim dla kontaktów z Rosjanami.

Tak więc, żeby znaleźć tego komunistycznego agenta, musimy pogrzebać w przeszłości, znaleźć kogoś, kto mógłby pasować. Jeśli będziemy wiedzieć, kim ten ktoś był w czterdziestym czwartym, to dowiemy się też, kim jest teraz.

MacLeish, którego inną zaletą była umiejętność szybkiego podejmowania decyzji, zabębnił palcami po stole.

- Czyli nieprzekraczalny termin to dwudziesty trzeci grudnia, dzień, w którym Florian leci do Moskwy. Mamy zatem dokładnie jedenaście dni. Będziesz musiał działać diabelnie szybko...

- Więc mogę kogoś posłać do Francji? - przerwał mu Nash.

- Możesz - oznajmił MacLeish. - Ale nie Amerykanina. Gdyby dorwała go ochrona Floriana, Francuzi mieliby święto. Już słyszę następną antyamerykańską przemowę Floriana: „Jankeski agent zdemaskowany podczas próby zniesławienia francuskiego męża stanu...” Nie wolno nam do tego dopuścić. Agent tak, ale nie Amerykanin - powtórzył.

Ale nie Amerykanin...

Był ciągle jeszcze sobotni poranek, gdy Nash przekazał tę instrukcję swojemu asystentowi, Wardowi Fischerowi. Normalnie w biurach na trzecim piętrze poza nim samym nie byłoby w tym dniu nikogo.

Jednak Nash przed odlotem z Nowego Jorku zadzwonił do Waszyngtonu i teraz pościągani w pośpiechu z domów pracownicy czekali na polecenia.

- To bardzo zawęża pole - zauważył Fischer.

- Zawęż je do zera. Znajdź takiego człowieka - warknął Nash. - W ciągu dwóch godzin.

Fischer przeszedł do następnego pokoju i po pięciu minutach jego sztab przeglądał już kartoteki. Wymagania, jakim miał odpowiadać człowiek, który pojechałby do Francji na rozmowę z Lasalleem, były surowe. Musiał być absolutnie czysty, mówić po francusku jak Francuz, mieć doświadczenie w stosowaniu środków bezpieczeństwa i wreszcie być agentem, na którym można by polegać, że w nagłej sytuacji potrafi działać na własną rękę. Jeśli chodzi o narodowość, nie mógł to być ani Amerykanin, ani Francuz.

Nash osobiście dodał to ostatnie zastrzeżenie, co sprawiło, że Fischer zaklął siarczyście w chwili, gdy opuszczał biuro swego szefa.

- Aż się prosi, żeby to był po prostu Francuz... - żalił się jednemu ze swoich ludzi. - Ale trudno, wobec tego musicie znaleźć Francuza, który nie jest Francuzem. Do roboty.

Nash miał powód, aby dodać to ostatnie zastrzeżenie: Francja jest bardzo specyficznym krajem i nie byłoby bezpiecznie wybierać Francuza do szpiegowania Francuzów. Był również całkiem pewny, że pułkownik Lasalle wysunąłby takie same obiekcje.

Podczas gdy Fischer i jego personel szukali w szufladach, Nash przejrzał kartotekę, którą miał w głowie - ludzi, których znał lub o których słyszał. Od razu przyszło mu na myśl jedno nazwisko, ale odrzucił je - nigdy by mu się nie udało namówić tego człowieka do wykonania takiej roboty. Siedząc za biurkiem, z pulchnymi rękoma założonymi na karku, jeszcze raz zrobił w myślach przegląd kandydatów, odrzucając jednego po drugim. Jak powiedział Fischer, wymagania z pewnością zawężyły pole. W końcu wrócił do człowieka, o którym pomyślał na początku.

O wpół do drugiej po południu Fischer wszedł do jego biura z dwoma teczkami.

- To jedyne dwie osoby, które pasują - oznajmił zmęczonym głosem. - Pracowaliśmy bez przerwy, odkąd od pana wyszedłem.

Nawet jedliśmy przy biurkach. Wykluczenie Francuzów bardzo nam utrudniło

robotę... - Nash przyjrzał się teczkom. Jednym z wybranych był Jules Beaurain, Belg. - Belgia to nie Francja - stwierdził optymistycznie Fischer.

Drugim człowiekiem był ten, o którym Nash sam myślał.

- Trzeba będzie nacisku, żeby go wciągnąć - powiedział w zadumie Nash. - Ale chyba właśnie wpadłem na pomysł, jak to zrobić.

Zdobądź mi dokładne informacje o wszystkich zamorskich ofertach kontraktów ubezpieczeniowych w Stanach. Zaraz.

- Dzisiaj jest sobota...

- Znam się na kalendarzu. Dzwonź po ludziach do domów, ściągnij ich szybko do biur. Powiedz im, że to sytuacja krytyczna... i przekaż ode mnie pozdrowienia.

- Raczej ich nie docenią - mruknął Fischer i wyszedł, by zatelefonować do żony. Był pewien, że ona też tego nie doceni. ! Pozostawszy sam w biurze, Nash wyjął z kieszeni cienkopis i oddał się swojemu ulubionemu zajęciu - rysowaniu portretów. Narysował z pamięci głowę i ramiona człowieka, którego kiedyś dobrze znał, człowieka, którego lubił i szanował pomimo nieporozumień. Kiedy skończył szkic, dodał pod spodem podpis: Alan Lennox. Ekspert ubezpieczeniowy. Anglik.

Pięć tysięcy kilometrów od Waszyngtonu, po drugiej stronie Atlantyku, w Londynie, był już sobotni wieczór. Alan Lennox przekręcił klucz podwójnego zamka typu Chubb, sprawdził, czy dobrze zamknął drzwi, i stał przez chwilę, wpatrując się w tabliczkę na ścianie.

„Lennox Security Company Limited.” Na giełdzie akcje wzrosły do trzech i pół funta i wyglądało na to, że pójdą jeszcze wyżej; spółki ubezpieczeniowe przeżywały niewielki boom. Prawdopodobnie działa się tak dlatego, że były „zorientowane na eksport”, jak to ujęli mali mądrzy ludzie wysyłający rekomendacje maklerskie. Duże koncerny a przemysłowe z całego świata przy organizowaniu systemów ochronnych - zatrudniały jedynie Brytyjczyków, ponieważ byli oni rzekomo nieprzekupni. Jeden z wielu mitów. Lennox myślał, że może jest to dobry a, czas na wyprzedanie się - jak tylko otrzyma ten duży amerykański kontrakt z kartelem naftowym, o który się starał, wartość jego akcji a podskoczy aż pod sufit.

Był sam w budynku - dyrektorzy pracują w soboty samotnie.

Zjechał windą na Leadenhall Street i wyszedł na burzę, która rozpętała się nad Londynem. Wziął z podziemnego garażu swojego citroena DS 23 i w strugach ulewnego deszczu pojechał do domu, na St James Place. Zdecydowanie nie był to sobotni wieczór zachęcający samotnego mężczyznę do zjedzenia kolacji na mieście. Po przybyciu do umeblowanego antykami mieszkania Lennox zdjął wart dwieście gwinei płaszcz i nalał sobie dużą porcję whisky.

Ten trzydziestopięcioletni dyrektor mającej największe wzięcie międzynarodowej spółki ochrony z siedzibą w Londynie był dobrze zbudowanym mężczyzną średniego wzrostu. Poruszał się ze zwodniczą powolnością; w sytuacjach kryzysowych potrafił jednak reagować z szybkością lisa. Miał ciemne włosy, obcięte krócej, niż tego wymagała moda, i równie ciemne brwi nad uważnymi brązowymi oczami. Był ostrożny i sceptyczny. „Podejrliwość leży w naturze mojego zawodu - powiedział kiedyś. - Pewien człowiek o nazwisku Marc Grelle mówił mi w Marsylii, że mam umysł policjanta; chyba miał rację”.

Urodził się w Paryżu. Matka była Francuzką, ojciec zaś mało ważnym urzędnikiem ambasady brytyjskiej na Faubourg St Honore.

Pierwsze dziesięć lat życia Lennox spędził we Francji i mówił płynnie po francusku na długo przedtem, zanim w szkole opanował angielski.

Wbrew ojcu, który życzył sobie, by wstąpił do służby dyplomatycznej - „po skończeniu osiemnastu lat stwierdziłem, że nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia” - zatrudnił się w dużej międzynarodowej spółce naftowej. Ponieważ znał biegle francuski, angielski, niemiecki i hiszpański, przydzielono go do działu bezpieczeństwa. Po pięciu latach już nim kierował.

„Miałem szczęście - wspominał. - Był akurat odpowiedni moment. Bezpieczeństwo stało się kluczem do przeżycia. Możesz kupić tankowce, wywiercić nowe szyby naftowe - ale jaki z tego zysk, jeśli ciągle ci to wysadzają w powietrze?” Jego kariera osiągnęła wyżyny w czasie, gdy arabscy terroryści skupili się na wysadzaniu niearabskich pól naftowych w celu wzmocnienia pozycji przetargowej złóż bliskowschodnich. W krytycznej sytuacji zarządy spółek zwracają się do tego, kto może je uratować, zwróciły się więc do Lennox. Zorganizował nowe systemy ochrony pól naftowych, tankowców i rafinerii na czterech kontynentach.

Wkrótce jednak stwierdził, że sama obrona nie wystarczy; jeśli chcesz wygrać, musisz przenieść wojnę na terytorium wroga.

Dzięki kontaktom z mrocznym światem kontrwywiadu udało mu się przeniknąć do grup terrorystycznych oraz zlokalizować ich obozy w Libanie i w Syrii. Zatrudniał różnego rodzaju podejrzanych osobników, płacąc im duże sumy wolną od podatku gotówką. Jeden z jego najlepszych antyterrorystycznych zespołów wywodził się z Unii Korsykańskiej - francuskiej mafii - zirytowanej tym, że arabski kapitał wykupił pewne paryskie zakłady, które ona sama przedtem kontrolowała.

„Czerwona Noc 14 lipca” była na pierwszych stronach wszystkich światowych gazet.

Lennox czekał, aż będzie gotów, czekał cierpliwie miesiącami, gromadząc wszelkie

możliwe informacje o terrorystach. 14 lipca uderzył. Ludzie z Unii Korsykańskiej wylądowali helikopterami i łodziami na dzikich plażach Libanu. W ciągu ośmiu godzin zlikwidowali trzy główne gangi, zabijając ponad dwustu ludzi. Tylko Korsykanie mogli zabijać tak szybko i bezlitośnie. Po tamtej nocy sabotaż w instalacjach naftowych spadł o dziewięćdziesiąt pięć procent.

W tym właśnie okresie Lennox nawiązał kontakty z głównymi szefami policji i służb bezpieczeństwa od Tokio po Waszyngton, między innymi z ludźmi takimi jak David Nash i Peter Lanz, oraz takimi organizacjami jak FBI czy Surete Nationale, które chętnie i udzielały dyskretnej, nieoficjalnej pomocy człowiekowi mogącemu zastosować w walce z terroryzmem ostateczne, choć nie zawsze zgodne z prawem środki. Później spędził cztery lata w pewnej amerykańskiej I spółce, w tym trzy ryzykowne miesiące nad granicą meksykańską, gdzie terroryści infiltrowali środowisko meksykańskich chłopów, przybywających do Stanów w poszukiwaniu pracy. Nagle, bez ostrzeżenia, zrezygnował, by założyć własną firmę.

W prywatnym życiu miał mniej szczęścia. Był dwukrotnie żonaty, ale obie kobiety wkrótce znalazły sobie innych mężczyzn. W obu przypadkach rozwiódł się, choć jedna z żon była gotowa wziąć winę na siebie i nie dopuścić do rozstania. „Wiedziałaś, jakie życie prowadzę, jeszcze zanim się pobraliśmy - powiedział jej wtedy. - Ostrzegłem cię. Nie uznaję ludzi, którzy łamią kontrakty...” Obecnie Lennox, bez większego entuzjazmu, pocieszał się z przyjaciółką. Wiedział, na czym polega jego kłopot: trzy lata po utworzeniu własnej spółki przestało go to interesować.

- Jestem cholernie znudzony - powiedział do siebie pijąc whisky. - Potrzebuję czegoś nowego... - Uniósł kieliszek patrząc w stronę telefonu. - Zadzwoń - powiedział do aparatu - zadzwoń z jakiegoś dalekiego miejsca.

Skończył whisky i wyjmował właśnie z lodówki stek, kiedy telefon zadzwonił. Pomyślał, że to na pewno pomyłka, ale podniósł słuchawkę.

Telefonistka z centrali międzynarodowej miała kuszący głos.

- Pan Alan Lennox? - zapytała. - Zagraniczna do pana.

Prywatna. Z Waszyngtonu.

Dwóch mężczyzn stało w otoczonym murem paryskim ogrodzie.

Mieli podniesione dla osłony przed zimnym grudniowym wiatrem kołnierze. Jeden z nich był wysoki i szczupły, drugi niski i mocno zbudowany. Rozmawiali po francusku. Lampart, ten wyższy, pokręcił z powątpiewaniem głową, gdy jego towarzysz gwałtownie powtarzał ten sam argument.

- Uważamy, że wyeliminowanie pułkownika Lasallea jest rzeczą niezbędną. Mamy

ludzi, którzy mogą zrobić to tak, że będzie wyglądało na wypadek. Czekają tylko na rozkaz...

- To może być błąd...

- Błędem będzie nierobienie niczego, niepodejmowanie żadnej akcji. Ci, którzy by się tym zajęli, są kompetentni, zapewniam pana...

Kiedy dyskutowali, zapadła ciemność. Niespełna dwadzieścia metrów od miejsca, gdzie stali obaj mężczyźni, za murem ogrodu, życie stolicy toczyło się normalnym rytmem. Były godziny szczytu i ruch osiągnął apogeum. Niektórzy paryżanie kupowali prezenty na Gwiazdkę.

* * *

Było późne popołudnie 11 grudnia, tuż przed zmrokiem. Carel Vanek z dużą prędkością ruszył citroenem DS 21 w stronę masywnej postaci stojącej na środku betonowego toru. Przez przednią szybę dostrzegł, jak postać rzuca się ku niemu, a następnie unosi w górę, uderzona przez pędzący z prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę samochód. Citroen zachybotał się, przejeżdżając po ciele. Kilkanaście metrów dalej Vanek zahamował z piskiem opon, obejrzał się przez ramię i wrzuciwszy wsteczny bieg, ruszył do tyłu. Ciało leżało nieruchomo w półmroku, niczym jakiś niewyraźny garb. Vanek nigdzie nie bawił się tak dobrze jak za kierownicą; czuł się, jakby był częścią mechanizmu - jakby dźwignia biegów była jeszcze jedną ręką, hamulec trzecią stopą. To było wspaniałe. Jeszcze bardziej dodał gazu.

Wymierzył doskonale. Ponownie poczuł chybotanie, gdy koła citroena przejechały po leżącym na jezdni garbie. Potem zatrzymał się z poślizgiem, zawrócił samochód i odjechał w przeciwnym kierunku.

- Trzydzieści pięć sekund - oznajmił spokojnie mężczyzna ze stoperem w rękę, siedzący z tyłu samochodu. i Vanek stanął tak gwałtownie, że, pasażer z przedniego siedzenia omal nie wyleciał przez szybę, i roześmiał się, kiedy Walther Brunner zaklął.

- Musisz robić takie numery? - spytał Brunner, opadając z powrotem na fotel.

- Reakcja... - Vanek strzelił palcami. - O to w tym wszystkim chodzi. W dniu, w którym złożymy wizytę Lasalleowi, mogę być zmuszony właśnie tak zrobić - a ty musisz być na to przygotowany...

Wysiedli z samochodu i poszli z powrotem opuszczonym torem wyścigowym, leżącym zaraz za czeskim miastem Tabor, siedemdziesiąt kilometrów na południe od Pragi.

Michał Borisow, Rosjanin dowodzący ich ośrodkiem szkoleniowym, pochylał się nad kształtem na drodze. Było to kilka wypchanych słomą różnej wielkości worków, które

tworzyły kończyny, ciało i głowę.

Silna sprężyna utrzymywała manekin w pozycji pionowej, dopóki nie uderzył go samochód.

- - Dobrze? - spytał Vanek zbliżywszy się do Borisowa. - Za drugim razem żadnego spóźnienia - ruszyłem prosto do tyłu i prosto na niego...

Borisow, gruby, zakutany w futro i kapelusz dla ochrony przed dotkliwym zimnem - w radiu praskim zapowiadano opady śniegu - spojrzał kwaśno na Czecha. Ten cholerny Vanek był zbyt pewny siebie, zbyt arogancki, by go można było polubić, ale na swojej robocie znał się doskonale.

- Wracamy do środka - rzucił oschle. - Przyślę kogoś po samochód. - Borisow mówił po francusku; od czasu rozpoczęcia szkolenia wszelkie rozmowy prowadzili wyłącznie w tym języku.

Pobiegli torem już prawie w zupełnych ciemnościach. Vanek specjalnie trzymał się kilka kroków przed trzema pozostałymi mężczyznami, by zademonstrować swoją kondycję. Gdy weszli do betonowego baraku, stojącego przy jodłowym zagajniku, ogarnęła ich fala ciepła z gorącego pieca. Borisow, najstarszy i ostatni, który wszedł, zatrzasnął za sobą drzwi, by nie wpuszczać zimnego powietrza. Rozebrawszy się zapalili papierosy - gauloisy - i siedli na krzesłach wokół stołu.

Jedną ścianę zakrywała dokładna mapa Francji i Niemiec, na drugiej wisiał plan Paryża. Na drewnianej półce leżały różne rozkłady jazdy i przewodniki, w tym Michelin i Guide Blue. Na najbardziej widocznym miejscu stało duże zdjęcie pułkownika Rene Lasallea.

- Na dzisiaj wystarczy - oświadczył Borisow, nalewając francuskiego koniaku. - Robicie postępy - dodał niechętnie.

Vanek uniósł kieliszek w stronę fotografii na ścianie.

- Za nasze spotkanie, mój drogi pułkowniku...

Trzydziestojednoletni Carel Vanek był wysokim, szczupłym, atletycznie zbudowanym mężczyzną o kościstej twarzy, bardzo ciemnych włosach i starannie utrzymanych wąsach. Jego ruchliwe ciemne oczy zuchwale patrzyły na Rosjanina. Vanek wiedział, że jest dobry w swoim fachu i że Rosjanin nie lubi go, choć uznaje jego sprawność. Tak zresztą było lepiej.

- Powtórzmy yyy33 iasze: nie w nocy - powiedział. - Przejechanie człowieka? - to znacznie trudniejsza sztuczka.

W Rosji mówią o Czechach: „bystrzy ludzie, o połowę za sprytni”, taka też była opinia rosyjskiego instruktora o Carelu Vanku.

Borisow i zdawał sobie jednak sprawę, że nikt tak jak Vanek nie nadaje się na

dowódcę Sowieckiego Komanda - spełniał wszelkie warunki. Pięć lat wcześniej był przydzielony do jednostki ochrony w ambasadzie czeskiej na Avenue Charles - Floquet, niedaleko wieży Eiffla w Paryżu.

Podobnie jak wielu Czechów, Vanek miał talent do języków - mówił płynnie po francusku, niemiecku i angielsku. A kiedy ten trzyosobowy zespół dostanie sygnał do ruszenia na Zachód, będą podróżowali jako Francuzi.

Vanek posiadał również inne zalety: przystojny, o śmiałym sposobie bycia, podobał się kobietom, co czasem okazywało się bardzo pożyteczne - często najłatwiej dotrzeć do mężczyzny przez jego żonę lub kochankę. Był także doskonale wyszkolonym, bezwzględny i zimnym zabójcą, który mógł zabić człowieka i spać potem spokojnie.

Dowiódł tego, gdy pojechał do Stambułu, by zlikwidować radzieckiego szyfranta, który nabrał zbyt dużego apetytu na amerykańskie dolary.

W nocy Vanek udusił go, a następnie zrzucił z balkonu do Bosforu.

Chociaż z wielką niechęcią, Borisow musiał przyznać, że trzech Czesi pod wodzą Vanka stanowili doborowe Komando Śmierci. Rosjanin oczywiście nie mógł tego wiedzieć, lecz wymagania w stosunku do dowódcy Sowieckiego Komanda nie różniły się wiele od tych, jakie David Nash ustalił dla człowieka, który miał pojechać do Francji.

Biegłość we francuskim, doskonała znajomość kraju i - podczas gdy Nash nalegał na nie - Amerykanina, trzech członkowie Politbiura, którzy zatwierdzili tę misję, dodali własne zastrzeżenie: ludzie tworzący komando nie mogą być Rosjanami. Gdyby coś poszło nie tak, nigdy nie może wyjść na jaw, kto naprawdę stał za tą operacją.

- Kiedy wreszcie, do cholery, pojedziemy złożyć wizytę temu Lasalleowi? - spytał Vanek.

- Niedługo - odparł Borisow. - Sygnał nadejdzie niedługo...

Tego samego wieczoru, kiedy Alan Lennox w Londynie otrzymał telefon od Davida Nasha, trzysta kilometrów na południowy zachód, w Paryżu, Marc Grelle siedział do późna w swoim kawalerskim mieszkaniu na Ile Saint - Louis, czytając stare, zakurzone akta.

Były to akta Lamparta.

Andre Boisseau, który mieszkał na rue Monge, spędził wcześniejszą część wieczoru z prefektem, a ponieważ już przedtem przeczytał akta, porównali swoje notatki. Podczas drugiej wojny światowej każdy członek Ruchu Oporu działał pod fałszywym nazwiskiem, by ochraniać swoją rodzinę i przyjaciół. Zazwyczaj wybierano na chybił trafił inne francuskie nazwisko, czasem posługiwano się tylko zmyślonym imieniem, a niektórzy wyżsi oficerowie używali nazw pojęć geometrycznych, jak na przykład Przeciwprostokątna. Lampart jednak

był inny: przyjął nazwę dzikiego zwierzęcia - jakby po to, by podkreślić swoją wyjątkowość.

- Myślę, że wybór takiego właśnie imienia dowodzi ogromnej pewności siebie tego człowieka - zauważył Boisseau. - To pewnie jeden z tych, co to sami sobie wmawiają, że mają do spełnienia jakąś misję.

Lampart bez wątpienia zrobił wyjątkową - chociaż krótką - karierę. Mając niewiele ponad dwadzieścia lat - był to nieliczny ze znanych faktów z biografii tej tajemniczej postaci - dowodził jedną z najsilniejszych grup Resistance w Masywie Centralnym, działającą w departamencie Lozere i Haute - Loire. Spośród innych przywódców Ruchu Oporu wyróżnił się talentem wojskowym i bezwzględnością.

Nadzwyczajne sukcesy Lamparta opierały się na doskonale zorganizowanym wywiadzie. Miał agentów wszędzie - w policji Vichy; w centralach telefonicznych, gdzie telefonistki podłączały się do nieprzyjacielskich linii; na kolei, której personel donosił mu o ruchach pociągów z zaopatrzeniem i z wojskiem; a także w paramilitarnych organizacjach Vichy składających się ze zdeprawowanych zbirów i kolaborantów. Umieścił kogoś nawet w Abwehrze, niemieckim kontrwywiadzie.

- Może powinniśmy szukać człowieka, który jest ekspertem w dziedzinie wywiadu i ochrony - zasugerował Boisseau.

Prefekt mruknął coś w odpowiedzi i czytał dalej. Grube akta zawierały szczegółowy opis wszystkich znanych dokonań Lamparta, jednak dziwnym trafem nie było w nich żadnej wzmianki o jego wyglądzie. I nie bez powodu. Komunistyczny przywódca zrobił wszystko, by nikt - nawet najbliżsi współpracownicy - nie znał jego twarzy. Z jednym wyjątkiem - zastępcy o pseudonimie Petit - Louis, który chodził z nim wszędzie i przekazywał jego rozkazy.

- Miał wtedy niewiele więcej niż dwadzieścia lat i ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Gdyby żył, miałby teraz trochę ponad pięćdziesiąt - stwierdził Grelle. - I to wszystko, co wiemy o tym duchu.

Na jesieni tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego wydarzenia przybrały jeszcze groźniejszy obrót. W czasie drugiego lądowania aliantów - w sierpniu na południu Francji - Midi było przez krótki czas pod kontrolą komunistycznego Ruchu Oporu. O okresie tym nie mówiono wiele w późniejszych latach - perspektywa była zbyt przerażająca. To właśnie wtedy komuniści byli o krok od utworzenia na południu Francji republiki radzieckiej.

Wszystkie plany były opracowane. Sygnałem do założenia sowieckiej Republique du Sud miało być zajęcie przez komunistów kluczowych miast w tym rejonie, Limoges i Montpellier. Liczono na to, że w sytuacji gdy alianci ciągle walczyli z wrogiem, nowa

republika radziecka, przedstawiona jako fait accompli, musiałaby zostać zaakceptowana. Autorem tego planu był sam Lampart. Tylko szybki i nagły atak de Gaullea na ten region udaremnił spisek. Wkrótce potem Lampart zginął.

Jego śmierć była w aktach dokładnie udokumentowana. Został zastrzelony przez niemieckiego snajpera 14 września na ulicach Lyonu.

Pełna bólu po śmierci przywódcy, obawiająca się zbezczeszczenia grobu przez bandę zbirów Vichy, mała grupka komunistów wywiozła ciało i pochowała je w głębi jakiegoś lasu. Petit - Louis, zastępca Lamparta, nie był obecny na pogrzebie. Przy końcu akt Grelle znalazł odnotowane drobne szczegóły, które uznał za interesujące. Lamparta strzegł zawsze ogromny i agresywny wilczur wabiący się Cesar, który nie dopuszczał do swego pana nawet zaufanych współpracowników.

- Żeby nigdy nie zobaczyli, jak wygląda - skomentował to Grelle. - Ciekawe, co się stało z tym psem po śmierci Lamparta?

Abwehra najwyraźniej również zebrała szczegółowe akta na temat swego tajemniczego wroga. Zadania tego podjął się niejaki Dieter Wohl, wówczas trzydziestoletni oficer.

- Miałby teraz sześćdziesiąt lat - zauważył prefekt. - Oczywiście, jeśli żyje.

Kiedy Boisseau poszedł już do domu, do żony i dwójki dzieci, Grelle przeżył szok. Na końcu kartoteki znalazł zniszczoną i podartą kopertę ze zdjęciem zastępcy Lamparta, Petit - Louisa. Początkowo nie był pewny, wziął więc wyblakłą odbitkę na biurko i przyjrzał się jej pod lampą. Była lepiej zachowana, niż się spodziewał. Wiek zmienia człowieka, zwłaszcza jeśli jego życie było ciężkie, ale czasem charakterystyczne cechy stają się z upływem lat jeszcze wyraźniejsze.

Twarz Petit - Louisa była twarzą Gastona Martina, człowieka z Gujany.

* * *

Drugi raz w ciągu niecałych siedemdziesięciu dwóch godzin David Nash przemierzał Atlantyk. Wylądował na lotnisku Heathrow o 21:40 w niedzielę 12 grudnia, zaledwie dziesięć dni przed planowaną wizytą Guya Floriana w Moskwie. Wziął taksówkę do hotelu Ritz, zostawił w pokoju torbę i poszedł do mieszkania Lennox, na St Jamess Place.

Na przywitanie podarował Anglikowi butelkę Moet & Chandon.

- Otworzymy to. Później - powiedział Lennox, wkładając butelkę do lodówki. - Przypuszczam, że przesiedzimy z pół nocy?

- Co najmniej - zapewnił go Amerykanin. - Mamy tylko dziesięć dni...

- Ty masz tylko dziesięć dni - poprawił go Lennox. - Ostrzegałem cię przez telefon. Wcale nie mam ochoty mieszać się w wasze sprawy.

Rozmawiali do trzeciej nad ranem. Do tego czasu Nash wypalił dwie paczki papierosów. Opowiedział Anglikowi o swojej niedawnej wizycie u Petera Lanza i pułkownika Lasallea, o ogromnym niepokoju Waszyngtonu, podejrzewającego, że komuniści coś szykują. A także o tym, że Rene Lasalle mógłby być może - tylko być może - dopomóc w ujawnieniu tożsamości nieznanego sowieckiego agenta w Paryżu.

- Jest przekonany, że coś się wydarzy, gdy Florian poleci do Moskwy - powiedział Nash o północy, popijając szampana. - Nie mamy więc wiele czasu, by sprawdzić te trzy osoby we Francji, które według Lasallea mogą znać odpowiedź...

- Miałem wrażenie, że Waszyngton nie przepada za Guyem Florianem - zauważył Lennox.

Nash zacisnął usta.

- To całkiem możliwe. Kłopot polega na tym, że jesteśmy na niego skazani - tak samo, jak byliśmy skazani na de Gaullea.

W polityce nie zawsze można sobie wybierać partnerów. Florian z Francji i niemiecki kanclerz Hauser są wszystkim, co stoi między Rosją Sowiecką a francuskim brzegiem kanału La Manche. Teraz, gdy Kongres przegłosował nasze wycofanie się z Europy - również waszym brzegiem kanału - dodał. I - A gdzie tu miejsce dla tego Lamparta? Nic z tego, co mówisz, nie ma sensu - stwierdził bez ogródek Lennox. - Lampart nie żyje, został zastrzelony w Lyonie w czterdziestym czwartym. Sądzę, że Lasalle próbuje po prostu rozbełtać trochę błota, które - ma nadzieję - przyłgnie do jego starego wroga, Guya Floriana. Ten twój francuski pułkownik to fanatyk.

- Nawet fanatycy też czasem coś wiedzą - upierał się Nash. - Niezupełnie wierzymy w jego historię z Lampartem, ale uważamy, że rzeczywiście mógł trafić na jakiś ślad pół roku temu, tuż przed tym, zanim Florian zmusił go do ucieczki z Francji. Może naprawdę wyniuchał kogoś wysoko postawionego, kto miał powiązania z Sowietami - nie zapominaj, że Lasalle był najlepszym szefem wojskowego kontrwywiadu, jakiego Francuzi kiedykolwiek mieli...

- Ale nie chce wam dać nazwisk tych rzekomych świadków.

- Facet bardzo dba o swoje bezpieczeństwo, więc da je tylko człowiekowi, który pojedzie do Francji pogadać z nimi. I - Więc dlaczego przyszedłeś z tym do mnie?

Nash przełknął resztę szampana, nie spiesząc się z odpowiedzią.

- Bo jesteś tym, kim jesteś - powiedział po chwili. - Ci świadkowie mogą chcieć

rozmawiać tylko z Francuzem. Lanz zgodził się dostarczyć dokumenty. Aby uniknąć zainteresowania służby bezpieczeństwa, człowiek, który tam pojedzie, musi wtopić się w otoczenie. Ty się do tego doskonale nadajesz, Alan. Urodziłeś się i wychowałeś w Paryżu. Kiedy byłeś w Stanach, daliśmy ci czyste papiery. Masz doświadczenie w podziemnej robocie. „Czerwona Noc” w Syrii dowiodła tego - ciągnął Amerykanin. - Potrzebujemy ciebie.

Ty zaś potrzebujesz nas...

- A niby dlaczego ja was potrzebuję? - spytał Lennox.

- Ponieważ potrzebujesz zatwierdzenia przez rząd amerykański tej oferty, którą złożyłeś na duży kontrakt ubezpieczeniowy z pewną amerykańską spółką; spółką, która notabene zajmuje się projektami Departamentu Obrony. W zaufaniu powiem ci, że o ile wiem, twoja oferta była najtańsza i jest do przyjęcia - pod warunkiem, że dostaniesz pieczętę Waszyngtonu...

W tym momencie Lennox wybuchnął. Mówił, nie pozwalając sobie przerwać, przez dobrych kilka minut i Nash dowiedział się dokładnie, co Anglik myśli o polityce i politykach.

- To jest szantaż - krzyczał Lennox. - Cholerny szantaż!

Wiesz, jak ja na to reaguję...

- Wasi ludzie robią to samo... - rzucił Nash.

Ten słowny pojedynek trwał prawie do rana. Powietrze było ciężkie od dymu, obaj mężczyźni pili whisky, a Nash - bez marynarki i krawatu - odpierał zaciekle ataki Lennox. Nagle Anglik zmienił zdanie.

- W porządku - powiedział, ponownie napełniając kieliszki. - Pojadę spotkać się z Lasalleem i porozmawiać z nim - ale z wyraźnym zastrzeżeniem, że tam na miejscu zastanowię się, czy warto jechać do Francji...

- Świetnie...

- Chwileczkę, są pewne warunki. Jeśli pojadę, ty osobiście zagwarantujesz, że mój amerykański kontrakt zostanie przyjęty.

Zagwarantujesz również, że tylko MacLeish dowie się o tym, gdzie i po co jadę - nikt więcej. I wreszcie, zapłacicie mi za tę usługę dwadzieścia tysięcy dolarów.

- Na miłość boską - zaprotestował Nash - dostaniesz kontrakt...

- Dostanę kontrakt, bo moja oferta jest najtańsza. Nie ma w tym żadnej waszej zasługi. A te dwadzieścia tysięcy to pieniądze za ryzyko.

Uważasz, że pobyt we Francji na fałszywych papierach to będzie piknik? - zapytał Lennox. - Na Boga, przed twoim przyjściem słuchałem wiadomości radiowych - od czasu

zamachu na życie Floriana we francuskiej bezpiece brzęczy jak w ulu. Mogę się natknąć na bandę Grellea, tych z kontrwywiadu, może nawet na zbirów z CRS¹. MacLeish tanim kosztem zdobywa sobie nieamerykańskiego chłopca na posyłki za te dwadzieścia tysięcy.

- Kto coś mówił o nie - Amerykaninie? - spytał łagodnie Nash.

- Ty, jak dzwoniłeś z Waszyngtonu, zanim tu przyleciałeś.

Krótko po trzeciej doszli do porozumienia, Nash przełknął ostatni łyk czystej whisky, ustalił z Lennoxem pewne szczegóły, po czym wrócił w deszczu do Ritza, całkiem zadowolony i ponuro ubawiony dopominaniem się Lennox o „należność za usługę”. MacLeish mógł bez problemu wybulić te dwadzieścia patyków i przyciąć budżet gdzie indziej. Lennox tymczasem umył brudne kieliszki i zaczął się pakować.

Podobnie jak Nash był nocnym markiem i podobnie jak Nash był zadowolony. Od pierwszej chwili był zainteresowany propozycją Amerykanina: bardzo mu odpowiadała - znów zaczynało się coś nowego i ciekawego, miał też zapewniony amerykański kontrakt.

Wyciągnięcie od MacLeisha dodatkowo jeszcze dwudziestu tysięcy było premią zgodną z jego główną zasadą: nigdy nie rób niczego za darmo. w poniedziałek 13 grudnia rano Grelle i Boisseau nie byli wcale bliżej wyjaśnienia tajemnicy otaczającej przyjazd Gastona Martina do Paryża zaledwie kilkanaście godzin po próbie zamachu na Floriana.

Detektywi złożyli wizytę w hotelu Cecile, gdzie Martin zostawił bagaż po przyjeździe pociągiem z Hawru, i jego nędzny dobytek został przewieziony na prefekturę. Była to jedna mała walizka z ubraniami.

- To wszystko, co miał po sześćdziesięciu latach życia... - skomentował Grelle.

- Ciekawa jest ta gazeta, którą znaleźliśmy w jego pokoju - odparł Boisseau. - Wyjaśnia zagadkę, dlaczego stał na miejscu śmierci Lucie Devaud.

W egzemplarzu „Le Monde” z datą 9 grudnia - a więc nazajutrz po próbie zabójstwa - znajdował się jeden z tych szkiców „miejsca zbrodni”, które wydawcy gazet tak lubią zamieszczać - ten był planem ulic fragmentu ósmego arrondissement, z krzyżykiem oznaczającym miejsce, w którym Lucie Devaud została zastrzelona.

Gazeta Martina, kupiona w Hawrze po zejściu z frachtowca, była złożona rysunkiem na wierzch, jakby miał się nim kierować.

- Zaznaczyli nawet sklep z futrami - wyjaśnił Boisseau - nie miał więc kłopotów ze znalezieniem tego miejsca.

- Co jednak nie mówi nam nic o jakimkolwiek jego związku z tą Devaud - parsknął Grelle. - Trafiliśmy po jej śladach do drogiego mieszkania na Place des Vosges, ale nie

¹* CRS - Corps Republicain de la Securite - francuskie oddziały do tłumienia rozruchów (przyp. Tłum.)

wyduje się, żeby ktoś cokolwiek o niej wiedział.

O dziesiątej rano - w odpowiedzi na wcześniejszą prośbę prefekta o informacje - nadszedł teleks z Cayenne w Gujanie. Była to bardzo długa wiadomość, którą Grelle uzupełnił jeszcze potem w rozmowie telefonicznej z szefem policji w Cayenne. Historia była wprost niewiarygodna. Podczas wojny Gaston Martin walczył w Lozere, w oddziale Ruchu Oporu dowodzonym przez Lamparta. Według jego własnej relacji - zdanej szefowi cayeńskiej policji zaledwie przed paroma tygodniami - pracował blisko Lamparta, był jego zastępcą.

Wspomniął nawet o dzikim wilczurze Cesarze, który strzegł komunistycznego przywódcy.

Pod koniec wojny Martin - w dalszym ciągu oddany komunistą - zgłosił się do kwatery głównej partii w Paryżu, gdzie umieszczono go pod kontrolą specjalnej sekcji politycznej. Potem, w lipcu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku (dwa miesiące po zakończeniu wojny) powierzono mu pewną misję: miał jechać do Gujany w Ameryce Południowej, by zorganizować tam tajną komórkę w związku zawodowym robotników portowych. Kto kontroluje porty Zachodu - powiedziano mu - ten będzie Zachodem rządzić.

Martin pełen entuzjazmu wyruszył statkiem z Hawru do Cayenne, dumny z powierzenia mu tego zadania. Po zejściu na ląd w tropikalnym slumsie, jakim jest Cayenne, jego entuzjazm trochę przygasł, wkrótce jednak zanurzył się w świat intryg i podziemnej działalności. Rozkazy otrzymywał od człowieka nazwiskiem Lumel, urodzonego w Gujanie pół Francuza, pół Indianina. Potem nadszedł cios. W ciągu jednej nocy nowy świat Martina legł w gruzach. Pijąc pewnego wieczoru przed pójściem do domu w nabrzeżnym barze, był świadkiem pijackiej burdy i zamordowania nożem amerykańskiego marynarza. Następnego dnia przysłała po niego policja, zawiadomiona anonimowym telefonem.

Znaleźli narzędzie zbrodni ukryte za szafką w jego mieszkaniu.

Lumel załatwił Martinowi adwokata, ale ten spartaczył obronę na procesie. Zapadł wyrok skazujący: dwadzieścia lat ciężkich robót na Diabelskiej Wyspie. Przez kilka pierwszych miesięcy spędzonych w tej przerażającej instytucji karnej Martina podtrzymywała na duchu wiara, iż Lumel znajdzie jakiś sposób, by go wyciągnąć. Nadzieja wygasła wraz z upływem lat i wobec braku jakiegokolwiek wiadomości od Lumela, który - jak się wydawało - zapomniał o nim. Kiedy w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku zamknięto Diabelską Wyspę, Martin został przeniesiony do innej, równie ohydnej kolonii karnej.

Za dobre sprawowanie - a był wzorowym więźniem - powinien zostać wypuszczony w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim roku.

Jednak pod koniec tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego w więzieniu miał

miejsce pewien incydent. Ktoś pchnął nożem i zabił strażnika. Nóż ten znaleziono później w torbie, w której Martin trzymał swoje drewniane przybory do jedzenia. Było to powtórzenie scenariusza morderstwa w Cayenne sprzed szesnastu lat. I powinno od razu wydać się podejrzanym, pomyślał ponuro Grelle, czytając dalej.

Z relacji można było się domyślić, że komendant więzienia był nieprzyjemnym osobnikiem, który chciał szybko załatwić sprawę.

Martin został oskarżony, osądzony i skazany na następne dwadzieścia lat. Mniej więcej wtedy właśnie przekonał się ostatecznie, że ktoś próbuje zatrzymać go w więzieniu na zawsze. Kiedy odsiedział większą część nowego wyroku, zdarzyło się coś dziwnego. Lumel - potrącony przez samochód, którego kierowca zbiegł z miejsca wypadku - umierając przywołał szefa cayeńskiej policji. „Ten samochód umyślnie mnie przejechał - stwierdził. - Próbowali mnie zabić...” Zanim wyzionął ducha, podyktował i podpisał wyznanie.

Rozkaz wyłączenia Gastona Martina z gry dotarł do Lumela w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym, zanim jeszcze Francuz dopłynął do Cayenne. „Nadszedł z kwatery głównej partii komunistycznej w Paryżu - wyjaśniał w swoim oświadczeniu Lumel. - Mogłem oczywiście kazać go zabić, ale nie chcieli, żeby to było zrobione w taki sposób...” - Wiem, dlaczego - odezwał się Grelle do Boisseau, który palił fajkę, podczas gdy prefekt czytał raport. - Zbyt wielu ludzi, którzy mogli rozpoznać Lamparta, zastało już zabitych.

- Zgaduje pan, szefie.

- Postawiłbym w zakład moją emeryturę...

Lumel przyznawał, że zorganizował wrobienie Gastona Martina w zabójstwo w barze i że po latach zapłacił sporo pieniędzy za zamordowanie strażnika w więzieniu, do którego przeniesiono Francuza. Po śmierci Lumela szef policji - jak wynikało z tonu raportu, przyzwoity człowiek - osobiście przesłuchał Martina. Po długich latach spędzonych w więzieniu i po wyznaniu Lumela Martinowi otworzyły się oczy, toteż powiedział wszystko. „Myślę, że zdał sobie sprawę, iż zmarnował całe życie dla iluzji - iluzji komunistycznego ideału - komentował w swoim sprawozdaniu szef policji w Cayenne. - Załatwiłem mu natychmiastowe zwolnienie. Prawdopodobnie pozostanie na zawsze tajemnicą, dlaczego Gaston Martin musiał być skazany na życie w więzieniu przez prawie wszystkie swoje dni”.

Grelle rzucił raport na biurko.

- Sukinsyn - powiedział. - Żeby dalej ukrywać swoją tożsamość, kazał zabijać ludzi i na całe życie wpakował tamtego do więzienia w tym czarnym piekle. Bóg jeden wie, ilu innych nieszczęśników zginęło z tego powodu - czytając akta Lamparta zauważyłem, że wielu z jego bliższych współpracowników marnie skończyło jeszcze w czasie wojny. Ten człowiek

zostawił za sobą rzekę krwi. - Prefekt chodził po biurze z rękami wepchniętymi w kieszenie spodni.

Boisseau rzadko widywał swego szefa tak wzburzonego. - Pamiętaj, Boisseau - ciągnął Grelle - rób, co masz robić, ale nigdy nie poświęcaj życia dla tak zwanej sprawy, bo okaże się, że nadstawiałeś głowy za męty...

- Wszystko to, by chronić Lamparta? Człowieka, który nie żyje? Po co?

- Dowiemy się tego. - Grelle założył swój skórzany płaszcz. - Jadę do pałacu. Gdyby ktokolwiek o mnie pytał, nie wiesz, gdzie jestem.

- Nadal czegoś tu nie rozumiem - upierał się Boisseau. - Akta mówią, że Lampart zginął w czterdziestym czwartym. A Gaston Martin, który jak wiemy był Petit - Louisem, prawą ręką Lamparta, powiedział nam, że widział go wchodzącego do pałacu...

- Kiedy zeznania są sprzeczne, sprawdzasz je. Właśnie mam zamiar to zrobić - rzucił Grelle.

Bezpośrednia droga do Pałacu Elizejskiego wiodłaby przez rue St Honore i dalej Faubourg St Honore, ale z powodu wprowadzenia jednokierunkowego ruchu Grelle musiał jechać przez Place de la Concorde, Avenue Gabriel, obok ambasady amerykańskiej, następnie w górę Avenue Marigny, mijając po prawej stronie otoczony murem ogród, który leży za pałacem. Przed bramą zaczekał, aż strażnik opuści pomalowany na białą łańcuch, po czym wjechał na dziedziniec.

Wysiadł z samochodu i poszedł prosto do wartowni.

- Mogę zobaczyć rejestr gości? - zapytał obojętnym głosem.

Oficer pokazał mu księgę, w której zapisywano datę, czas przybycia i tożsamość każdej osoby odwiedzającej Pałac Elizejski. Grelle interesowała strona z czwartku 9 grudnia, dnia, w którym Gaston Martin stał naprzeciwko bramy. Sprawdził nazwiska gości, którzy przybyli między 19:30 a 20:30, po czym - aby zmylić dyżurnego oficera - obejrzał jeszcze jedną czy dwie następne kartki. Podziękowawszy, opuścił wartownię i wszedł po siedmiu stopniach prowadzących do szklanych drzwi głównego wejścia.

Nawet minister nie mógłby wpaść tu tak niespodziewanie, ale Marc Grelle cieszył się specjalnymi względami Guya Floriana. „On nie ma w ogóle żadnych ambicji politycznych - poinformował kiedyś prezydent pewnego ministra, o którym wiedział, że jest nadmiernie ambitny. - Musiałem siłą ściągnąć go z Marsylii do Paryża. Czasem myślę, że to jedyny uczciwy człowiek we Francji. Bez wahania powierzyłbym mu swoje życie...

I Guy Florian rzeczywiście powierzył swoje życie Grelleowi. Kiedy bowiem prezydent przebywał w departamencie Paryża, za jego bezpieczeństwo - i bezpieczeństwo

ministrów - odpowiadał prefekt paryskiej policji. Następnego ranka po próbie zamachu Florian zarządził, by od tej pory Marc Grelle był odpowiedzialny za jego osobiste bezpieczeństwo na terytorium całej Francji. Jednym pociągnięciem pióra Florian uczynił z prefekta najpotężniejszą po sobie osobistość w Republice Francuskiej.

- Prezydent przyjmie pana - poinformował umundurowany portier Grellea, czekającego w hallu o marmurowej posadzce.

Prefekt wszedł do prezydenckiego gabinetu na pierwszym piętrze, na tyłach pałacu - pokoju o wysokich oknach wychodzących na otoczony murem ogród z trawnikami i żwirowymi ścieżkami. Na ścianie, naprzeciwko biurka z epoki Ludwika XV, wisiał gobelin przedstawiający „Don Kichota wyleczonego z szaleństwa przez Mądrość”. Na biurku stały dwa aparaty telefoniczne - czarny i biały, trzeci znajdował się na bocznym stoliku, blisko prawej ręki prezydenta.

Gdy za Grelleem zamykały się drzwi, usłyszał bicie stu trzydziestu siedmiu zegarów, które stanowiły wyposażenie Pałacu Elizejskiego.

Jedenasta. Duży owczarek alzacki skoczył przez pokój, uniósł się i położył przednie łapy na ramionach prefekta.

- Kassim, złaź, brutalu - mruknął czule Grelle.

Prefekt - sam wielki miłośnik psów - osobiście wybrał tego owczarka na prośbę Floriana, wkrótce po wyborach. W pałacu powiadano, że Kassim tylko im dwóm pozwala się dotykać. Prefekt uwolnił się od psa, po czym uklonił się i usiadł naprzeciw najpotężniejszego męża stanu w Europie Zachodniej. Jak zwykle, Florian czekał, aż Grelle się odezwie.

- Z niepokojem zauważyłem, że znowu przyszedł pan pieszo z Place Beauvau wieczorem dziewiątego grudnia - zaczął Grelle. - Zaledwie dwadzieścia cztery godziny po tym przerażającym incydencie.

Florian pochylił głowę, jak mały chłopak przyłapany w cudzym sadzie. Rozbroiłby tym większość ludzi, jednak wyraz twarzy prefekta pozostał poważny.

- To się więcej nie powtórzy - zapewnił go Florian. - Widział pan oczywiście te zdjęcia w piątkowej gazecie?

- Byłem wstrząśnięty.

- Mój drogi, ulica roiła się od detektywów - w dyskretnej odległości, tak żeby nie było ich widać na zdjęciach! Ale to dobra polityka: „Widzicie? - prezydent znowu chodzi po ulicach, zaledwie dzień po próbie zamachu!” - Florian uśmiechnął się szelmowsko. - To wszystko bzdura, oczywiście. No co, rozgrzeszy mnie pan?

Grelle wrócił do prefektury uspokojony, że od tej chwili prezydent będzie bezpieczny.

System ochronny działał bez zarzutu. Pozostawało tylko jedno pytanie: czy ten system był szczelny? wejdź i zamknij drzwi na klucz - powiedział Grelle do Boisseau, siadając na krawędzi swego biurka. Taki miał zwyczaj, kiedy był niespokojny lub czymś zdenerwowany.

Boisseau usiadł na krześle, wyjął fajkę, rozluźnił się i czekał. Mniej nerwowy od swojego szefa, wyglądał jak cierpliwa wiewiórka i tak właśnie - za jego plecami - przezywali go pracownicy. Andre Wiewiórka.

- Sprawdziłem rejestr gości w pałacu z dziewiątego grudnia, od wpół do ósmej do wpół do dziewiątej wieczorem - rzucił Grelle. - Pamiętaj, że na temat wyglądu Lamparta wiemy tylko, że jest dość wysoki - ma ponad metr osiemdziesiąt...

- Znalazł pan coś? - podsunął Boisseau.

- O ósmej Florian wrócił pieszo z Place Beauvau - nawiasem mówiąc, to się już nie powtórzy. Interesujące jest, że trzej inni ministrowie też przyszli na piechotę - wracali ze spotkania w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych... - Obaj mężczyźni wymienili drwiące uśmiechy. - Normalnie każdy wróciłby z Place Beauvau własnym ministerialnym samochodem, ale ponieważ prezydent poszedł pieszo...

I oczywiście, mieli nadzieję, że ich zdjęcia też znajdą się w gazetach powiedział Grelle. - Wiedzieli, że na placu są fotografowie.

- Którzy to? - zapytał Boisseau.

- Między innymi Pierre Rouget. Możemy go sobie od razu darować. - Znowu obaj się uśmiechnęli. Rouget był nominalnym premierem, człowiekiem, którego dziennikarze nazywali „pudlem Floriana”. „Sympatyczny gość z gumowym kręgosłupem” - jak mawiał czasem Grelle. Nikt nie zwracał na Rougeta uwagi i krążyły plotki, że wkrótce ktoś go zastąpi. W każdym razie nie miał więcej jak metr siedemdziesiąt dwa wzrostu. - Pomiędzy 8:15 a 8:30 - ciągnął Grelle - weszło do pałacu jeszcze dwóch innych ludzi. Wyszli potem oddzielnie, w odstępie kilku minut. Jednym z nich był mój własny szef, minister spraw wewnętrznych, Roger Danchin. Drugim - minister obrony narodowej, Alain Blanc. Jak wiesz, obaj są najwyższymi członkami gabinetu i obaj mają więcej niż metr osiemdziesiąt wzrostu.

Boisseau wyjął z ust wygasłą fajkę i wlepił wzrok w prefekta.

- Chyba pan w to nie wierzy? Danchin, Blanc - dwa filary rządu? Martin musiał mieć halucynacje.

- Ja w nic nie wierzę - odparł chłodno Grelle. - Sprawdzam jedynie fakty i patrzę, co z nich wynika - tak, jak to robimy w każdym dochodzeniu. I, jak uzgodniłmy, informuję cię o wszystkim, bez względu na to, jak absurdalne by się to mogło wydawać.

- Absurdalne? To jest niewiarygodne...

- Oczywiście. - Grelle wziął z biurka jakiś raport i rzucił okiem na pierwszą stronę. - Dowiedziałem się jeszcze czegoś... Dzisiaj rano człowiek Surete zauważył na lotnisku Roissy Davida Nasha, tego Amerykanina. A ja dostałem natarczywe zaproszenie na przyjęcie w ambasadzie amerykańskiej dziś wieczorem. Wierzysz w takie zbiegi okoliczności, Boisseau?

Andre Wiewiórka nie odpowiedział. Wpatrywał się w dal, jakby próbując zrozumieć coś, co znajdowało się poza możliwościami jego pojmowania.

- Danchin czy Blanc? - zapytał na głos.

Stanowisko ministra spraw wewnętrznych było celem Rogera Danchina już od czasu, gdy jako młodzieniec spędzał długie godziny w Ecole Nationale d'Administration, specjalnej szkole założonej przez samego de Gaullea w celu kształcenia przyszłych przywódców Republiki Francuskiej. I podczas gdy Guy Florian i Alain Blanc - obaj po Ecole Polytechnique - w szybkim tempie parli naprzód dzięki bystrości umysłów, Danchin był jak żółw, który w końcu dotarł do celu, ponieważ nigdy nie przestał próbować.

Kiedy zaproponowano mu stanowisko ministra spraw wewnętrznych, Roger Danchin, ekspert wywiadu, wiedział prawdopodobnie więcej o francuskim systemie bezpieczeństwa niż jakikolwiek inny człowiek. Miał, podobnie jak Alain Blanc, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i chodził lekko przygarbiony, co często zdarza się wysokim ludziom. Ten chudy, pięćdziesięciodwuletni mężczyzna o kościstej twarzy namiętnie kochał wszelkie tajemnice i władzę. Teraz znalazł się u jej szczytu. Blanc, który nie lubił Danchina, podsumował go kiedyś w uszczypliwej anegdocie: „Danchin przesłuchałby własną babkę, gdyby podejrzewał, że zmieniała testament - i po trzech godzinach spędzonych pod łukową lampą zostawiłaby mu całą forszę...”.

Danchin wezwał do siebie Grellea zaraz po jego powrocie z Pałacu Elizejskiego.

Gdy prefekt wszedł do gabinetu na pierwszym piętrze, minister stał przy oknie, które wychodziło na piękny, otoczony murem ogród na tyłach budynku, ogród nigdy nie oglądany przez zwykłych obywateli.

- Niech pan siada, Grelle - odezwał się Danchin, wciąż wpatrując się w ogród. - Dostałem informację z Roissy, że ten Amerykanin, David Nash, właśnie przyleciał do Paryża. Co to według pana oznacza?

- A powinno coś oznaczać? - zapytał Grelle. Pojął już dawno jak pracuje umysł tego przebiegłego człowieka. Danchin rzadko sam zadawał pytania, ale próbował przyłapywać ludzi, zachęcając ich do mówienia, podczas gdy on tylko słuchał.

- Coś się dzieje, Grelle, czuję to. Dziwne też, że przyjechał tu w tak krótkim czasie po próbie zamachu na życie prezydenta...

- Nie widzę związku. - Grelle był nieugięty. - Ale mam zaproszenie do ambasady amerykańskiej na dziś wieczór...

- Idzie pan? - przerwał mu Danchin.

- Czemu nie, panie ministrze? Może będę umiał potem odpowiedzieć na pańskie pytanie, po co Nash przyjechał do Paryża.

- A ta kobieta, Lucie Devaud? Czy Boisseau dowiedział się czegoś więcej na jej temat? Może przyjazd tego Amerykanina nie ma z nią nic wspólnego...

- Przecież nie podejrzewa pan Amerykanów o to, że stali za tym zamachem? - zaprotestował prefekt. - Robią różne dziwne rzeczy, ale...

- Ja sonduję, Grelle, tylko sonduję. - Danchin nagle wrócił za biurko. Poruszał się tak szybko, że Grelle nie zauważył, kiedy odszedł od okna. To był kolejny denerwujący zwyczaj Danchina, na który jego asystent, Merlin, skarżył się kiedyś prefektowi: „Pojawia się za tobą bez ostrzeżenia, jak duch. Czy wiesz, że kiedy ludzie wychodzą na lunch, Danchin zakrada się do ich pokoi i sprawdza im papiery na biurkach, żeby upewnić się, czy nie robią niczego, o czym by nie wiedział? Atmosfera w tym miejscu jest okropna. Mówię ci, okropna”.

Grelle opuścił gabinet Danchina tak szybko, jak tylko mógł, i wyszedł na powietrze, trąc w zamyśleniu czoło. Nie pracowałbym tu nawet za milion franków rocznie, powiedział sobie wsiadając do samochodu. Wyjechał z wściekłym rykiem silnika, jakby w ten sposób chciał wyrazić swoją ulgę. Nawet za dziesięć milionów!

Alain Blanc urodził się w Auvergne, w świecie zamków i pieniędzy, dobrego wina i wykwintnego jedzenia. Dzięki rodzinnej ziemi i winnicom nie musiał pracować przez ani jeden dzień swojego życia.

Wybrał jednak inną drogę.

W Ecole Polytechnique, szkole, w której pieniądz nie zastępuje umysłu, był jednym z pięciu najlepszych studentów swego rocznika.

Jego bliski przyjaciel, Guy Florian, ukończył uczelnię jako pierwszy z plejady geniuszy. Po latach to właśnie Alain Blanc, jak nikt znający mechanizmy politycznego życia Francji, sterował kampanią prezydencką Floriana.

Będąc człowiekiem ogromnie żywotnym i pracowitym, stał się jedną z kluczowych postaci w rządzie Floriana, politykiem, z którym po cichu konsultowali się ambasadorowie, kiedy nie mogli znaleźć posłuchu u prezydenta.

Ten pięćdziesięcioletni eks - spadochroniarz był potężnie zbudowany, miał pulchną twarz i przerzedzające się włosy. Znany był z tego, że potrafił swoim ciepłem i jowialną agresywnością przekonać każdego o własnej racji. Kobiety uważały go za bardzo

atrakcyjnego - był taki pełen życia. „Siebie nie traktuje poważnie - wyjaśniła kiedyś jego kochanka, Gisele Manton - ale traktuje poważnie kobiety.

Albo udaje, że to robi”.

Jego stosunki z Markiem Grelleem były doskonałe, choć spierali się często - nieraz bardzo gwałtownie.

- Kłopot z panem polega na tym, Grelle - powiedział kiedyś Blanc prefektowi - że nie wierzy pan w polityków.

- A ktoś wierzy? - odparł Grelle.

Blanc przybył zobaczyć się z prefektem po południu, wkrótce po tym, jak Grelle wrócił z krótkiej audiencji u Danchina. Było dla niego typowe, że zamiast wezwać Grellea do ministerstwa, przyjechał do prefektury swoim lamborghini, a jeszcze bardziej typowe, że po drodze na górę podrywał sekretarkę Grellea.

- Będę musiał cię porwać, Vivianne - powiedział dziewczynie. - Jesteś o wiele za apetyczna dla policjantów! - Wpadł do gabinetu prefekta z szerokim uśmiechem. - Jakie są polityczne implikacje tej próby zamachu? - zapytał po powitaniu, sadowiac się w fotelu i przerzucając nogi przez poręcz.

- Omal nie straciliśmy prezydenta - odparł Grelle.

- Mówię o tej Devaud - warknął Blanc. - Jeśli będzie można dowieść, że kiedykolwiek знаła prezydenta, choćby przelotnie - to prasa dopiero sobie na nas użyje. Więc?

- Powinien pan raczej spytać prezydenta...

- Zrobiłem to. Mówi, że nigdy przedtem jej nie widział. Ale mógł się mylić. Przez lata poznał Bóg wie ile osób. Jeśli pana dochodzenie wykaże jakiś związek, czy mógłby mnie pan poinformować?

- Oczywiście...

Blanc wyszedł wkrótce potem, a prefekt z ponurym uśmiechem patrzył z okna, jak samochód z nadmierną szybkością odjeżdża w kierunku lewego brzegu rzeki. W zasadzie Grelle powinien tego typu informacje przekazywać tylko swojemu szefowi, Rogerowi Danchinowi, ale było publiczną tajemnicą, że Blanc to oczy i uszy Floriana i człowiek do załatwiania wszystkich kłopotliwych spraw. (Boisseau, który wszedł do gabinetu po wyjściu Blanca, również popatrzył za znikającym samochodem.

- To zupełnie niemożliwe podejrzewać takiego człowieka - zauważył.

- Jeśli Lampart istnieje - odparł Grelle - to dlatego, że jest teraz kimś, o kim ludzie mówią: „To zupełnie niemożliwe podejrzewać takiego człowieka...” Jeden pistolet typu Luger kaliber 9 mm, jedna luneta. Trzy podrobione prawa jazdy i trzy różne komplety fałszywych

francuskich papierów - po jednym dla każdego członka Sowieckiego Komanda.

Walther Brunner, drugi członek zespołu, siedział sam w betonowym baraku na skraju toru wyścigowego i oglądał dokumenty. Wyposażenie komanda było dosyć skromne, ale już dawno minęły czasy, kiedy Sowieckie Komanda podróżowały na Zachód uzbrojone w taką egzotyczną broń jak pistolety w kształcie papierosów na naboje z cyjankiem. W sztuce potajemnego zabijania osiągnięto znaczny postęp.

Brunner urodził się w Karlsbadzie, obecnych Karlovych Varach, miał czterdzieści lat i był najstarszym członkiem komanda. Dopóki Borisow nie wybrał Carela Vanka, wierzył, że to on będzie dowodził.

Był niższy niż Vanek, choć potężniej zbudowany, i bardziej zrównoważony. Miał okrągłą głowę i łysiał. Czuł, że to właśnie jego wiek przekonał Borisowa o konieczności wybrania Vanka. Ale przynajmniej zajmował drugie miejsce w trzyosobowym zespole, jako zastępca.

Miał przejąć dowodzenie, gdyby Vankowi coś się stało podczas pobytu na Zachodzie.

Był strategiem komanda - to on przed rozpoczęciem misji opracowywał trasy dojazdu i późniejszej ucieczki, układał harmonogramy działań i organizował fałszywe dokumenty. Później - po przybyciu do celu - miał wybrać rodzaj „wypadku”. Przygotował trzy różne propozycje, ale ostateczny wybór jednej z nich uzależniał od tego, co zastaną na miejscu planowanego zabójstwa. Ulubionym napojem Brunnera było piwo i, w przeciwieństwie do Vanka, uważał kobiety za niebezpieczną rozrywkę. Jego najbardziej rzucającą się w oczy cechą były duże ręce, „ręce dusiciela”, jak je obraźliwie określał Vanek. Nie bez powodu zresztą - gdyby pułkownik Lasalle miał umrzeć w wannie, Brunner prawdopodobnie byłby przy tym obecny.

Doskonalenie technik pozorowania różnego rodzaju „przypadkowych” śmierci zajmowało najwięcej czasu uczestnikom szkolenia na opuszczonym torze pod średniowiecznym miastem Tabor. Ulubioną metodą instruktora Borisowa było potrącenie przez samochód. Sekcja badawcza, mieszcząca się w oddzielnym baraku i współpracująca z komandem, przejrzała statystyki: w Europie Zachodniej najwięcej ludzi ginęło na drogach, a następne miejsce zajmowały wypadki w domu, Stąd specjalna uwaga, jaką Brunner zwracał na techniki topienia podczas kąpieli. Ćwiczenia odbywały się w betonowym baraku przy użyciu metalowej wanny i żywych „modeli”.

Niewielu ludzi na świecie wie, że Komando Śmierci nigdy nie opuszcza kontrolowanego przez Rosję terytorium bez specjalnego zezwolenia trzech członków Politbiura w Moskwie. Nawet na początku lat pięćdziesiątych - gdy KGB było u szczytu

władzy - komando wysłane do Berlina Zachodniego, by porwać (lub w razie potrzeby zabić) znanego działacza opozycyjnego, musiało uzyskać zgodę samego Stalina i dwóch innych członków Politbiura, z których jednym był Mołotow.

Powody przyjęcia takiego trybu postępowania są proste. Jeżeli akcje jakiegoś komanda zostaną kiedykolwiek wykryte, ucierpi na tym międzynarodowy image Rosji Sowieckiej - ponieważ zachodnia opinia publiczna doskonale wie, że nic nie dzieje się w Rosji bez rządowej aprobaty. Politbiuro zdaje sobie z tego sprawę, komando jest więc wysyłane tylko wtedy, gdy nie ma innego wyjścia.

Wyjazd oddziału Vanka musiał więc zostać zatwierdzony przez Pierwszego Sekretarza i dwóch innych członków Politbiura; teraz ludzie czekali tylko na sygnał do rozpoczęcia akcji. Mieli podróżować na francuskich papierach, by bez trudu przejść kontrolę w Niemczech.

Brunner skończył właśnie sprawdzanie dowodów tożsamości, kiedy nadszedł Borisow z nowinami.

- Egzekucja Lasallea została odroczonea...
- Cholera! - Brunner był wściekły. - Właśnie teraz, gdy już byliśmy gotowi...
- Cierpliwości, mój porywczy Czechu - powiedział Borisow. - Musicie czekać. Nowy sygnał może przyjść w każdej chwili.

* * *

w poniedziałek 13 grudnia rano, kiedy Marc Grelle otrzymał teleks z Gujany dotyczący Gastona Martina, Alan Lennox leciał do Brukseli.

W stolicy Belgii wylądował o 10:30. Wcześniej, z lotniska Heathrow, zadzwonił do swojej asystentki, by powiedzieć jej, że z Europy nadeszła pilna prośba o informacje i leci tam, by ustalić szczegóły kontraktu. Podczas krótkiej rozmowy wspomniał mgliście o Danii.

- Kiedy wrócisz, jeśli w ogóle? - spytała go wesoło panna Thompson.
- Jak mnie zobaczysz, to będę z powrotem...

Czas się wyprzedać, pomyślał Lennox, wchodząc na pokład samolotu Sabeny. Zorganizował swoją spółkę tak dobrze, że działała bez zarzutu nawet podczas jego dłuższych wyjazdów. Napomnienie o Danii było środkiem ostrożności; gdyby ktokolwiek pytał o niego w biurze, Judith Thompson nie puściłaby pary z ust, ale jeśli by ktoś sprytny coś jednak od niej wyciągnął, to niech go szukają w Kopenhadze, proszę bardzo.

Na brukselskim lotnisku wynajął mercedesa SL 230. Oferowano mu model kremowy, wybrał jednak czarny - mniej rzuca się w oczy i jest trudniejszy do śledzenia. Jadąc najpierw

do Liege, zerkał czujnie we wsteczne lusterko, wypatrując samochodu, który uparcie trzymałby się za nim. Było to mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe; David Nash mógł być śledzony, gdy szedł z hotelu Ritz do jego mieszkania na St James Place, i być może później ktoś zainteresował się człowiekiem, z którym Nash tak bardzo chciał się spotkać, że wybrał się w podróż przez Atlantyki.

W Liege, gdzie trzy dni wcześniej Nash dwukrotnie spotkał się z Peterem Lanzem z BND, Lennox podjął dalsze środki ostrożności.

Wstąpił do miejscowego oddziału wypożyczalni Hertza i wymyśliwszy jakąś usterkę w mercedesie, wymienił go na niebieskiego citroena DS 21, swój ulubiony samochód. Później pojechał na południowy wschód, w stronę Ardenów. Nie była to bezpośrednia droga do Niemiec - ale chciał się dodatkowo zabezpieczyć. Czasem można śledzić człowieka również na odległość - poprzez obserwowanie poszczególnych odcinków jego docelowej trasy. Do przeprowadzenia takiej operacji potrzeba całego zespołu ludzi, ale według tego, co Lennox ostatnio słyszał, francuska służba specjalna zatrudniała w Belgii ponad stu agentów. Jeśli jednak na głównych drogach wyjazdowych z Liege poszukiwano teraz czarnego mercedesa, istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że obserwatorzy zwrócą większą uwagę na niebieskiego citroena jadącego w kierunku Ardenów.

W porze lunchu Lennox zjadł po drodze sandwicza i dojeżdżał właśnie do Saarbrücken, gdy nastąpiło oberwanie chmury. Deszcz spadał kaskadami na szyby i wycieraczki prawie odmówiły posłuszeństwa. Jechał powoli ulicami miasta i szukał poczty. Jeśli nie chcesz, by rozmowa została podsłuchana, zawsze korzystaj z urzędów pocztowych. Z poczty zadzwonił do pułkownika Lasallea, którego numer dostał od Nasha. Gdy poprosił pułkownika do telefonu, mężczyzna, który podniósł słuchawkę, powiedział po francusku, że przekaże wiadomość.

- Nic nie przekażesz - warknął Lennox. - Daj mi pułkownika.

Dzwoni Edmond...

- Edmond... jaki?

- Tylko Edmond. I pośpiesz się. On czeka na ten telefon.

Człowiek po drugiej stronie - prawdopodobnie kapitan Paul Moreau, o którym Nash wspominał jako o asystencie Lasallea - najwyraźniej nie wiedział o wszystkich poczynaniach pułkownika, co było pocieszające. Sugerowało, że były szef wojskowego kontrwywiadu nie wyszedł jeszcze z wprawy. Pseudonim Edmond wymyślił i uzgodnił z Lasalleem Nash. Po chwili pułkownik podszedł do telefonu.

- Może pan przyjechać, choćby zaraz. Będę czekał - powiedział i odłożył słuchawkę.

Żadnych zbędnych słów, żadnych pytań; głos był ostry i stanowczy.

Szukanie odległej farmy zajęło Lennoxowi godzinę jazdy wśród nawałnicy. Było już ciemno, gdy w światłach reflektorów samochodu zobaczył zamkniętą bramę ze starą stróżówką. Przed chwilą wewnątrz paliło się światło, teraz jednak tonęła w ciemnościach. Poczekał trochę, nie gasząc silnika, a gdy nikt się nie pojawił, wysiadł ostrożnie.

Przechodził właśnie obok reflektorów wozu, gdy w stróżówce otworzyła się z trzaskiem okiennica. Ze szczeliny wysunęła się lufa półautomatycznego karabinu Le Mat.

- Stój, gdzie jesteś! W świetle! - krzyknął jakiś głos po niemiecku.

- Spodziewacie się mnie! - zawołał w odpowiedzi Lennox po francusku. - Dzwoniłem do was z Saarbrücken. Na miłość boską, otwórz tę cholerną bramę, zanim cały przemoknę...

- Wejdz pieszo. - Głos przeszedł na francuski. - Przejdź przez bramę...

Lennox minął bramę, podszedł do stróżówki i otworzywszy jej drzwi zatrzymał się przed progiem. Zobaczył mężczyznę w cywilnym ubraniu, trzymającego w rękach półautomat wycelowany prosto w jego brzuch. Mężczyzna miał nieduże wąsy i wyglądał na około pięćdziesiąt lat. Lennox przyjął, że prawdopodobnie ma przed sobą kapitana Paula Moreau.

- Jestem Edmond - odezwał się po chwili. - Musisz celować tym we mnie?

- Jakiś dokument. Na stół...

- Myślisz, że pułkownikowi będzie się to podobać?

- Na stół...

Lennox ostrożnie wyjął paszport spod ociekającego wodą płaszcza i rzucił go niedbale na blat stołu. Aby sięgnąć po dokument prawą ręką, uzbrojony mężczyzna musiał włożyć broń pod lewą pachę - gdy to zrobił, Lennox nagle odtrącił lufę w bok, po czym chwycił ją i wyszarpnął tamtemu karabin spod pachy.

- Nie wiem, kim jesteś - powiedział, kiedy Francuz odzyskał równowagę i obrzucił go wściekłym spojrzeniem. - Ale mógłbyś być kimś, kto przed chwilą załatwił prawdziwego stróża...

- Stróża? Jestem kapitan Moreau, asystent pułkownika. - Kipiąc ze złości, obejrzał paszport dużo dokładniej, niż to było konieczne. - Mogłem cię zabić... Cholernie ryzykowałeś - mruknął.

- Mniej, niż myślisz.

Lennox chciał zobaczyć dokumenty Moreau, zanim odda mu broń. Dopiero potem złożył wystający magazynek równolegle do lufy, tak że karabin stał się niesprawny, i oddał broń właścicielowi. Francuz powiedział mu, by zostawił samochód i poszedł do domu Lasallea piechotą.

- Może być się tak wypchał? - zaproponował Lennox.

Na dworze wsiadł do wozu i ruszył przez bramę w stronę domu.

Zobaczył, że Moreau zdejmuje słuchawkę z wiszącego na ścianie telefonu.

Jadąc powoli długim zakreślonym podjazdem zauważył, jak zaniedbany jest cały teren. Mokre krzaki, błyszczące w świetle reflektorów, zarastały z boków podjazd, miejscami tak gęsto, że samochód szorował o gałęzie. Dom, długi piętrowy budynek, który ukazał się za zakretem, był równie zaniedbany. Nie pomalowany, z brakującymi dachówkami, wyglądał na nie zamieszany. Brak pieniędzy, ocenił Lennox: pułkownicy na wygnaniu raczej nie mają zbyt dużych kont.

Pułkownik Rene Lasalle przywitał go w wejściu, a następnie zamknął i zaryglował ciężkie drzwi. Dopiero potem poprowadził gościa do dużego salonu, zagraconego staromodnymi meblami. W hallu Lennox zauważył na drzwiach nowoczesne zamki; w salonie przy wszystkich oknach też były zamki.

- Pewnego dnia po mnie przyjdą - powiedział Lasalle. - Nędzne, małe korsykańskie zbiry z nożami w kieszeniach. Mogą próbować mnie porwać albo zabić. Wiem, że przyjdą.

Jednoręki pułkownik był niski i szczupły. Gdy podawał drinki z kredensu, poruszał się sprężystym krokiem. Lennox odniósł wrażenie, że to człowiek o ogromnej energii i silnej osobowości, mogący łatwo zdominować każdą grupę ludzi, do której by należał. Miał wymizerowaną twarz o ostrych rysach i szeroko rozstawione, niespokojne oczy.

Gęste ciemne włosy i przystrzyżone w cienką linię wąsy podkreślały wyrazistość rysów, ale najbardziej rzucał się w oczy haczykowaty nos.

Trochę przypominał Lennoxowi de Gaullea.

Pułkownik podał mu dużą brandy i uniósł własny kieliszek.

- Za zniszczenie wrogów Francji!

- Wypiję za to... - Lennox uważnie przypatrywał się Francuzowi. - Kimkolwiek by mogli być.

- Sowiecką frakcją w Paryżu - dowodzoną przez Lamparta.

Zanim jednak powiem coś więcej, muszę dowiedzieć się czegoś o panu, o pańskiej przeszłości.

Potem przez piętnaście minut męczył Anglika najróżniejszymi pytaniami. Było to najbardziej wnikliwe przesłuchanie, jakiego Lennox kiedykolwiek doświadczył.

- Zna pan Marca Grellea? - spytał w pewnym momencie.

Jest pan osobistym przyjacielem prefekta? - Lennox zapewnił go, że nie, że spotkali się tylko raz w Marsylii, podczas planowania pewnej operacji antyterrorystycznej. Pod koniec

tego kwadransa Lasalle wyraził swoje zadowolenie.

- Może pan jechać za mnie do Francji - oznajmił Anglikowi takim tonem, jakby wyświadczał mu wielki zaszczyt.

- Cieszę się, że zdałem egzamin - odparł ironicznie Lennox - ale muszę panu przypomnieć, że ja jeszcze nie podjąłem decyzji co do pana...

- Czy to konieczne?

- Niezbędne. Widzi pan - to ja nadstawiam głowy. Ja, nie pan.

Leon Jouvel. Robert Philip. Dieter Wohl.

To były nazwiska trzech świadków - jak z uporem nazywał ich Lasalle - których Lennox miał odwiedzić i po cichu wypytać.

- Wszyscy oni mieli w czasie wojny do czynienia z Lampartem.

Jestem przekonany, że jeden z tych ludzi może powiedzieć panu coś, co doprowadzi nas do komunistycznego agenta w Paryżu - powiedział z naciskiem Francuz. - W każdym razie, o ile wiem, to jedyni, którzy przeżyli, oprócz Anette Devaud - ale ona jest niewidoma...

- Devaud? - zdziwił się Lennox. - Tak nazywała się kobieta, która próbowała zastrzelić Floriana...

- To dość popularne nazwisko. - Lasalle wzruszył ramionami i wykonał dłonią niecierpliwy gest. - Nie widzę żadnego związku.

Anette Devaud musi mieć już teraz ponad siedemdziesiąt lat i od końca wojny jest ślepa. A niewidomy raczej nie może nikogo zidentyfikować. Otóż...

Zaczął się to półtora roku temu - dwanaście miesięcy przed wielką awanturą z prezydentem Florianem, która zakończyła się ucieczką pułkownika z Francji. Lasalle przesłuchiwał przedtem znanego agenta komunistycznego, który przeniknął do koszar francuskich pod Marsylią. „Tamten teren aż roi się od tego robactwa” - zauważył pułkownik. Lennox wywnioskował, że przesłuchanie było poprzedzone torturami, które zmieniły agenta o nazwisku Favel w jęczący wrak człowieka.

- Podczas próby ucieczki z więzienia przypadkowo zastrzelił sierżanta. Ludzie, którzy przesłuchiwali go przede mną, byli przyjaciółmi tego sierżanta... - wyjaśnił Lasalle.

Godzinę po rozpoczęciu przez Lasalle'a przesłuchania, przed samą północą, Favel zaczął mówić coś bez związku o wojennym Ruchu Oporu. Początkowo pułkownik myślał, że to sztuczka mająca na celu skierowanie śledztwa na inne tory; później jednak - gdy więzień kilka razy wspominał o Lamparcie - zainteresował się. Przesłuchanie ciągnęło się z przerwami przez ponad dwanaście godzin - storturowany więzień opowiedział dziwną historię o kimś, kto pewnego dnia miał powstać z martwych, by uwolnić Francję z jarzma

kapitalizmu. Teraz już to się dokonało i człowiek ten był w Paryżu.

- Przez długi czas wydawało mi się to absolutnym nonsensem - tłumaczył Lasalle. - Sądziłem, że mam do czynienia z maniakiem religijnym - rzecz raczej dziwna w przypadku komunisty - aż w końcu powiedział mi, że ukrywał się w koszarach...

- Ukrywał? - zdziwił się Lennox.

- Przed własnymi ludźmi - rzucił niecierpliwie Lasalle. - Najpierw zupełnie opacznie to zrozumiałem; zamiast szpiegować dla komunistycznej komórki w Marsylii, po prostu od nich uciekał.

Gdzie lepiej się zaszyć niż w wojskowych koszarach? W każdym razie on tak uważał. Próbowali go zabić - chyba dlatego, że za dużo wiedział.

- A rzeczywiście coś wiedział?

- Tak. Mówił, że nie chodzi o zwykłego szpiega, faceta, który w nocy fotografuje dokumenty i przekazuje mikrofilm w cygarze czy inne takie bzdury. Miał na myśli kogoś wysoko postawionego, będącego blisko ośrodka władzy. Człowieka, który od lat czekał i wytrwale piął się w górę - nie mając żadnego kontaktu z jakąkolwiek organizacją komunistyczną. Na tym polega genialność tego pomysłu - jeśli ktoś nie utrzymuje żadnych kontaktów z komunistami, nie sposób go wysledzić.

- Podał jego nazwisko?

Lasalle machnął ręką z rezygnacją.

- Nie wiedział, kto to jest - tylko że istnieje. Tym, co mnie ostatecznie przekonało, była śmierć Favela. Następnego dnia po moim przesłuchaniu uciekł z koszar - i w dwadzieścia cztery godziny później znaleziono go u stóp skalnej ściany ze skreślonym karkiem.

- Dopadli go „przyjaciele”?

- Jestem o tym przekonany - odparł Lasalle. - Rozpocząłem własne dochodzenie i w końcu natknąłem się na te trzy nazwiska.

Złożyłem wizytę jednemu z tych ludzi - Leonowi Jouvelowi w Strasburgu - ale moje stanowisko chyba go przstraszyło. Odszedłem przeświadczony, że on coś wie. Wkrótce potem miałem tę konfrontację z Florianem i musiałem uciekać z własnego kraju...

Lennox zadał jeszcze parę pytań. Zarówno Jouvel jak i Philip - dwaj Francuzi z listy świadków - mieszkali w Alzacji. Czy to przypadek?

- Wcale nie - wyjaśnił Lasalle. - Lampart preferował w swoim oddziale ludzi z Alzacji - wierzył, że można na nich bardziej polegać niż na popędliwych mieszkańcach Południa. - Pułkownik uśmiechnął się sarkastycznie. - Jestem pewien, że we wszystkim był realistą.

- Ale przecież Lampart nie żyje - zauważył Lennox. - Zginął w Lyonie w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym...

- To właśnie jest najbardziej pomysłową częścią całego planu.

Nie widzi pan tego?

- Szczerze mówiąc, nie - odparł Anglik.

- Ten człowiek musiał mieć jakiś pseudonim na te nieliczne okazje, kiedy mówiło się o nim w kołach radzieckich. Wybrali więc imię kogoś, o kim wiadomo, że nie żyje. Jaka jest natychmiastowa reakcja, gdy ten pseudonim usłyszy przypadkiem ktoś niepowołany?

„To musi być jakaś bzdura. On przecież nie żyje!” Jaka była pańska własna reakcja?

- Rozumiem, o co panu chodzi - powiedział ostrożnie Lennox. - Twierdzi pan, że istnieje...

- ... drugi Lampart - człowiek, który był w jakiś sposób powiązany z grupą Lamparta w czasie wojny. Ktoś taki łatwo mógł wpaść na pomysł używania imienia człowieka, z którym kiedyś współpracował. Jeden z tamtych trzech świadków powinien coś na ten temat wiedzieć.

- Kto to jest ten Dieter Wohl? - spytał Lennox. - Widzę, że mieszka teraz we Fryburgu. To oczywiście Niemiec?

- Dieter Wohl był oficerem Abwehry, który próbował wytropić Lamparta w czasie wojny. Sporo wiedział o Ruchu Oporu w Lozere...

Lasalle nieraz myślał o tym, by samemu odwiedzić Wohla; nie mógł wrócić do Francji, by porozmawiać z dwoma Alzatzkimi, natomiast jazda do Fryburga nie była żadnym problemem. Zdecydował się jednak tego nie robić, aby przypadkiem BND nie dowiedziała się o tej wizycie.

- Mogliby powiedzieć, że mieszam się w sprawy Niemiec - zauważył. - A obecnie nie mogę sobie pozwolić na to, by mnie wyrzucono z Republiki Federalnej. Teraz niech mi pan odpowie na jedno pytanie. Czy pojedzie pan z tymi nazwiskami i adresami do Francji?

- Tak.

Podczas gdy Lennox rozmawiał pod Saarbrücken z pułkownikiem Lasalleem, trzysta kilometrów na zachód, w Paryżu, Marc Grelle udał się do amerykańskiej ambasady na Avenue Gabriel. Wchodząc o szóstej wieczorem przez bramę, doskonale zdawał sobie sprawę, że jest fotografowany przez agentów Direction de la Surveillance du Territoire - politycznego kontrwywiadu. Wiedział nawet, gdzie ukryty jest aparat z teleskopowym obiektywem - w dużej niebieskiej ciężarówce Berliet, zaparkowanej przy chodniku naprzeciwko ambasady. Umundurowani żandarmi przechadzali się wokół samochodu,

sprawiając wrażenie, że są siłą rezerwową, trzymaną w pogotowiu na wypadek kłopotów. Następnego ranka zdjęcie znajdzie się na biurku ministra spraw wewnętrznych. Do odbitki przyczepiony będzie formularz.

„Godzina 18:00. Gość: Marc Grelle, prefekt paryskiej policji”.

Później zapisany zostanie dokładny czas jego wyjścia.

Po wejściu do ambasady Grelle wpisał się do księgi gości, po czym poszedł na górę, gdzie dziewczyna z teksaskim akcentem wzięła od niego płaszcz.

- Byłem kiedyś w Dallas - powiedział jej. - W dniu zabójstwa prezydenta Kennedyego.

Wszedł do dużej sali z oknami wychodzącymi na Place de la Concorde. Odbywało się w niej właśnie przyjęcie, tonęła w powodzi świateł i paplaninie głosów. Zastony były zaciągnięte, prawdopodobnie dla ochrony przed szperającym teleobiektywem z berlieta. Grelle kręcił się na skraju tłumu, próbując zorientować się w terenie i notując sobie w głowie, kto jest obecny.

- Ten twój komputerowy umysł z pewnością już zarejestrował wszystkich gości - odezwał się za nim jakiś głos - więc może byśmy się teraz wymknęli do biblioteki? Tam też znajdziemy coś do picia. - David Nash uśmiechnął się szeroko i wyciągnął rękę, gdy prefekt się odwrócił. - Musiałem przyjechać do Paryża, więc...

- ... więc myślałeś, że moglibyśmy pogadać? Czy może przyjechałeś do Paryża, żebyśmy mogli pogadać? - spytał po angielsku Grelle.

- Ta twoja policyjna głowa! - Nash wyszedł pierwszy z sali i poprowadził gościa przez korytarz, do pokoju z półkami pełnymi książek. Zamknął drzwi i przekręcił klucz. - Teraz nie będą nam przeszkadzać... - Nalał dużą whisky, podał ją prefektowi, gestem wskazał mu fotel, a sam - wznosząc kieliszek - usadowił się na poręczu drugiego. - Za Francję. Niech przeżyje wszystko, w tym następne dwa miesiące...

- A niby czemu nie miałyby? - Grelle spojrzał znad kieliszka na Amerykanina. - Czy też może to tajemnica państwowa? Przypuszczam, że dalej zajmujesz to samo stanowisko?

- To samo. - Nash pochylił się do przodu, zniżając głos. - Przybyłem tu jako przyjaciel, a nie jako agent mojego rządu.

Również jako przyjaciel Francji. Marc, czy słyszałeś kiedyś o Lamparcie? Świadom tego, że Nash bacznie mu się przypatruje, Grelle upił swojej szkockiej i starał się zachować nieporuszoną twarz. Zanim odpowiedział, otarł usta jedwabną chusteczką.

- O lamparcie? Zwierzęciu o łaciatej sierści, które może być niebezpieczne...?

- Ten rzeczywiście jest niebezpieczny... - zgodził się Amerykanin. - Siedzi za

rządowym biurkiem, niecałe dwa kilometry od miejsca, w którym się teraz znajdujemy. Pozwól, że opowiem ci pewną historię... - I Nash opowiedział o rosyjskim renegacie, który zaledwie przed tygodniem przybył do Nowego Jorku. W pośpiechu przewieziono go z Lotniska Kennedyego do tajnego obozu w górach Adirondack, gdzie Nash zaczął go przesłuchiwać. Następnego ranka - zanim zdążono wznowić przesłuchanie - ktoś zastrzelił Rosjanina. Strzelano z dużej odległości, z karabinu wyposażonego w celownik teleskopowy. - To się stało, gdy byliśmy razem - ciągnął Amerykanin. - Szedł obok mnie, a w następnej chwili już leżał na drodze z kulą w głowie...

Grelle dalej popijał whisky, z obojętnym wyrazem twarzy słuchając relacji Nasha. W czasie przesłuchania ten wysokiej rangi Rosjanin powiedział także o francuskim agencie komunistycznym - używającym imienia wojennego przywódcy Ruchu Oporu, Lamparta - który przez ponad trzydzieści lat piął się w górę, by w końcu stać się jednym z trzech najważniejszych ludzi we Francji.

- Lampart może być którymkolwiek z waszych głównych ministrów - zakończył Amerykanin. - Roger Danchin, Alain Blanc...

Grelle wypił dwoma łykami resztę alkoholu, odstawił pusty kieliszek na stół i podniósł się. Jego głos był szorstki i zimny.

- Ostatnio rząd amerykański robi wręcz absurdalne rzeczy, by zdyskredytować naszego prezydenta, ale to, co ty przed chwilą zasugerowałeś, jest po prostu oburzające...

Nash podniósł się z fotela.

- Marc, nie musimy skakać sobie do gardła...

- Twoja historia o tym Rosjaninie to od początku do końca stek wyssanych z palca bzdur - ciągnął Grelle. - Najwyraźniej próbujecie rozpuścić jakieś kłamstwa, w nadziei, że zniszczą prezydenta, ponieważ nie podobają się wam jego przemowy...

Marc, nie masz racji - przerwał mu Nash. - Jesteś jedynym człowiekiem w tej ambasadzie, któremu to wszystko powiedziałem...

- Dlaczego? - warknął prefekt.

- Bo jesteś jedynym Francuzem, któremu mogę powierzyć ten sekret - jedynym moim kontaktem. Przyjechałem cię ostrzec. Chcę, żebyś miał się na baczności - a ty już masz sposoby sprawdzenia, ile w tej historii jest prawdy. Sposoby, których my nie moglibyśmy nawet spróbować...

- Posiekalibyśmy was, gdybyście to zrobili! - Grelle z rumieńcami na twarzy ruszył w stronę drzwi, po czym nagle jakby się uspokoił i przez kilka minut rozmawiał jeszcze z Amerykaninem na inne tematy. Był to, powiedział sobie Nash po wyjściu prefekta, bardzo

przemysłany występ: oburzenie na samą sugestię, a potem rozładowanie napięcia, by zasygnalizować mu, że pozostaną jednak przyjaciółmi. Zapaliwszy papierosa, Nash przeszedł spokojnie przez hall. Był zadowolony z rezultatu swojej podróży do Paryża, ponieważ wiedział, że Grelle wszystko dokładnie sprawdzi. Grelle był policjantem policjantów. Zawsze sprawdzał.

By dać sobie czas do namysłu, Grelle wrócił do prefektury okreśną drogą. Po drodze mijął Pałac Elizejski i musiał przystanąć, gdy z pałacowego dziedzińca wynurzyła się czarna limuzyna Ził z jednym pasażerem na tylnym siedzeniu. Leonid Worin, radziecki ambasador we Francji, wyjeżdżał właśnie po złożeniu jednej ze swoich prawie codziennych wizyt u Guya Floriana. Od czasu, gdy zapowiedziano podróż do Moskwy na 23 grudnia, ambasador radziecki często konsultował się z prezydentem. Siedzący w limuzynie Leonid Worin, niski i krępy, z obwisłymi ustami, w okularach bez oprawek, wpatrywał się prosto przed siebie, gdy samochód skręcił i odjechał w kierunku Madeleine.

Umundurowany policjant, który zatrzymał Grellea, zasalutował i pozwolił mu jechać dalej. Prefekt prowadził automatycznie, miał umysł zaprzątnięty tym, co powiedział mu Nash. Jeszcze pół godziny temu jego podejrzenia opierały się jedynie na dziwnej opowieści Gastona Martina i tym, co usłyszał od szefa policji w Cayenne. Było to niepokojące, ale nie dawało jeszcze podstaw do wyciągania ostatecznych wniosków. Teraz ta sama historia pochodziła z Waszyngtonu, a wkrótce pogłoski mogą zacząć krążyć po europejskich stolicach. Jak Grelle powiedział później Boisseau: „Nie wierzę w ani jedno słowo z tej bajeczki o sowieckim zdrajcy, którą opowiedział mi Nash - facet po prostu chronił swego prawdziwego informatora - ale jest to coś, co będziemy musieli zbadać w największej tajemnicy...” Przejeżdżając przez zatłoczony Pont Neuf na Ile de la Cite, Grelle wzdrygnął się i nie miało to nic wspólnego z mroźnym nocnym powietrzem nad Paryżem. Świat prefekta policji zaczął się nagle chwiać; był teraz jak ruchome piaski, pod których powierzchnią, mogło kryć się wszystko.

- Roger Danchin... Alain Blanc... - mruczał pod nosem. - To niemożliwe.!

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Grelle jechał do prefektury, Lennox wracał do Saarbrücken. Burza wciąż trwała. Pogoda odpowiadała jego nastrojowi - on też był wzburzony. W pewnym momencie, gdy pułkownik pisał dla niego na maszynie nazwiska i adresy, zapytał go o kapitana Moreau.

- To mój asystent - odparł Lasalle. - Był jedynym oficerem, który przyjechał ze mną z Francji, i ufam mu całkowicie.

- Ale nie podał mi pan mojego prawdziwego nazwiska prawie do ostatniej chwili - zauważył Lennox. - Kiedy dzwoniłem z Saarbrücken, nie miał pojęcia, kim jestem.

- Po to, by chronić pana aż do przybycia tutaj. W swoim czasie zatelefonowałem do Nasha w Londynie i on podał mi pańskie nazwisko, ale ukryłem je przed Moreau. Jeśliby mój asystent został porwany, podczas gdy był pan w drodze, nie mógłby pod naciskiem zdradzić pańskiej tożsamości. Z tego samego powodu Moreau nie wie, że jestem w kontakcie z Amerykanami...

Pod naciskiem... Patrząc przez zalewaną strugami deszczu przednią szybę, Lennox skrzywił się. Co za życie wiódł pułkownik po ucieczce z Francji! Zabarykadowany na niemieckiej farmie, strzeżony przez uzbrojonego w półautomat mężczyznę przy bramie, w każdej chwili gotowy na przyjęcie nocnych intruzów, którzy mogliby się zjawić.

Następnego dnia Lennox miał przekroczyć granicę Francji - po uprzednim spotkaniu z Peterem Lanzem z BND.

Marc Grelle wrócił do prefektury z przyjęcia w amerykańskiej ambasadzie i siedział nad papierkową robotą, która nazbierała się w czasie jego nieobecności.

- W Paryżu jest za dużo maszyn do pisania - wymamrotał, podpisując protokoły od Rogera Danchina i jedząc sandwicza, przyniesionego z pobliskiego baru. Zbierał się właśnie do wyjścia, gdy zadzwonił telefon. - Cholera! - mruknął podnosząc słuchawkę. Był to Cassin, jeden z telefonistów w kwaterze głównej Surete.

- Nadeszła nowa wiadomość od Hugona, panie prefekcie.

- Rutynowa?

- Nie. Sprawa się rozwinęła...

Grelle znowu zaklął pod nosem. Chętnie poprosiłby Cassina, żeby przekazał mu wiadomość przez telefon, ale kiedyś sam osobiście surowo zakazał przekazywania tą drogą ważnych informacji. Telefony mogą być na podsłuchu - wystarczy zwykły pocztowy spec od telekomunikacji, który wie, jak podłączać się pod numery. Nie trzeba żadnych elektronicznych pluskiew - połączenie odpowiednich przewodów załatwi sprawę.

- Przyjadę - rzucił Grelle i odłożył słuchawkę.

Było już po godzinach szczytu, gdy jechał ulicami błyszczącymi po deszczu w świetle latarni. Skręcił w rue des Saussaies, gdzie dowództwo Surete zajmuje część wielkiej grupy budynków, skupionych wokół Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. W wąskiej uliczce odczekał, aż policjant opuści pomalowany na biało łańcuch, po czym łukowo sklepioną bramą wjechał na dziedziniec. Specjalne pomieszczenie dla telefonistów znajdowało się na czwartym piętrze i o tej porze nie spotkał nikogo, gdy wchodził ponurą klatką schodową na górę, przeszedł słabo oświetlony korytarz i własnym kluczem otworzył drzwi. Zamykając je od środka, spojrzał na Cassina, człowieka z nocnej zmiany. W pokoju pachniało czosnkiem,

co znaczyło, że telefonista niedawno jadł kanapki. Na stole, obok połączonego z telefonem magnetofonu, stał kieliszek, napełniony do połowy czerwonym winem.

- No? - spytał prefekt.

- Hugon zadzwonił o 18:45... - Cassin, szczupły trzydziestoletni mężczyzna o ziemistej cerze, zajrzał do notatnika. - Jak zwykle nagrałem wiadomość - jest na taśmie.

- Jaki miał głos? - Grelle przysiadł na krawędzi stołu. Za minutę miał usłyszeć, co powiedział Hugon, ale nagranie zawsze zmienia brzmienie ludzkiego głosu, pozbawia go emocji, a Cassin słuchał oryginalnej wypowiedzi.

- Trochę podekscytowany i podenerwowany. Tak, jakby nie miał za dużo czasu i bał się, że mu ktoś przerwie.

- To dokładna analiza.

- Wysła coś pocztą - jakąś listę z nazwiskami i adresami. Nie chciał przekazywać ich przez telefon. Powiedział, że to by za długo trwało...

- Albo był ostrożny - podsunął Grelle. - Mówił, kiedy nada tę listę?

- Już to zrobił. Dzwonił z poczty.

- Wyglądasz, jakbyś potrzebował trochę świeżego powietrza, Cassin. Wróc za piętnaście minut - ja zostanę i posłucham taśmy.

Grelle poczekał, aż telefonista zamknie od zewnątrz drzwi na klucz, usiadł na krześle i zapalił papierosa. Pomieszczenie było dźwiękoszczelne i codziennie sprawdzane w poszukiwaniu pluskiew.

Podjęto wszystkie środki ostrożności, by chronić Hugona. Prefekt nacisnął przycisk odtwarzacza.

Człowiek, którego głos miał usłyszeć, posłużył się jednym ze specjalnych numerów zarezerwowanych dla prywatnego użytku Surete Nationale, nie umieszczonych w żadnej książce telefonicznej. Jeżeli ktoś zadzwonił pod ten numer przez pomyłkę, nie podając właściwego nazwiska lub hasła, telefonista informował go, że to centrala i że numer jest wyłączony. Urządzenie zatrzeszczało.

- Na jaki numer pan dzwoni? - zapytał Cassin.

- Mówi Hugon. Czy to Instytut Polifonii? W porządku, nie mam dużo czasu...

- Skąd dzwonicz?

- Z poczty w Saarbrücken. Posłuchaj, mówiłem ci...

- Spokojnie. Słucham. Mów wolniej - warknął Cassin.

Grelle stał teraz oparty o stół i patrzył na obracające się powoli szpule. Cassin miał rację: podniecenie Hugona przebijało nawet w nagraniu.

- Pułkownik spotkał się wieczorem z jakimś Anglikiem. Nazwisko Alan Lennox... - Hugon przeliterował je. - Trzydzieści pięć lat, ciemne włosy, gładko ogolony, ubrany... - tu następował opis ubrania. - Rozmawiali sami w domu...

- Jak Lennox przyjechał? Taksówką? Samochodem?

- Własnym samochodem... Nie mogę tu długo stać. To niebezpieczne, rozumiesz. Niebieski citroen DS 21. Numer rejestracyjny BL 49120.

Lennox był umówiony. Udało mi się podejść pod dom i podsłuchać kilka słów, ale to było niebezpieczne...

- Ciągłe to powtarzasz. Co to za jeden, ten Lennox?

- Nie mam pojęcia. Przestań mi przerywać, na miłość boską! Kiedy ich słuchałem, Lennox pytał o człowieka zwanego Lampartem...

Grelle zeszytniał i zatrzymał magnetofon. Hugon mówił szybko i niewyraźnie. Puścił ostatni fragment jeszcze raz i słuchał uważnie.

Tak, teraz nie miał wątpliwości, Hugon powiedział „Lampartem”.

Taśma szła dalej. ... i było coś o jakiejś liście świadków. Tak, świadków. Jeśli nie dasz mi skończyć, odkładam słuchawkę. Wczoraj rano pułkownik podyktował mi trzy nazwiska i adresy. Chyba to o nich właśnie mówili.

Myślę, że pułkownik daje Lennoxowi...

- Musimy mieć te nazwiska i adresy - przerwał mu Cassin.

- Cholera! - Hugon wypowiedział to słowo z jadem. - Właśnie miałem ci to powiedzieć - pisałem przez kalkę. Włożyłem kopię do koperty i wysłałem wczoraj na adres, jaki mi daliście. Lennox wyjechał.

Nie mam pojęcia dokąd. Przypuszczam, że ma zamiar zobaczyć się z tymi ludźmi...

- Gdzie oni mieszkają?

- Dwóch w Alzacji, jeden w Niemczech. Do widzenia!

Prefekt zatrzymał taśmę. Ciągłe siedział na stole z zapomnianym gauloiseem w kąciku ust. Guy Florian polecił mu zdobycie informatora w najbliższym otoczeniu pułkownika Lasallea w Saarlandzie. Normalnie takim zadaniem zajęłaby się Surete, ale prezydent powiedział Danchinowi, że chce do tego Grellea. „Ufam mu” - zauważył obojętnym tonem, patrząc, jak minister się krzywi.

Zadanie okazało się niezbyt trudne. Kapitan Moreau, któremu potem nadano pseudonim Hugon, uciekł z Francji z pułkownikiem pod wpływem impulsu; jednak w miarę upływu czasu rola gospodyni Lasallea zaczęła mu coraz bardziej doskwierać - do jego obowiązków należało nawet przygotowywanie posiłków i sprzątanie domu - i entuzjazm

kapitana osłabił. Nie widząc przed sobą żadnych perspektyw, przyjął ofertę Grellea: 4000 franków miesięcznie, wpłacanych na paryskie konto, w zamian za informacje o Lasalleu. „Przyjął ją z nieprzyzwoitym pośpiechem” - jak stwierdził wtedy prefekt.

Kiedy Cassin wrócił z przymusowego spaceru, Grelle opuścił gmach Surete i wrócił do swojego mieszkania na Ile Saint - Louis.

Następną rzeczą, jaką musiał zrobić, było rozesłanie rysopisu Alana Lennox'a do wszystkich punktów granicznych Francji.

* * *

Leon Jouvel. Robert Philip. Dieter Wohl. Żadne z tych nazwisk nic nie mówiło ani Grelleowi, ani Boisseau.

Koperta z napisaną na maszynie kartką dotarła do prefektury we wtorek rano, 14 grudnia. Doszła do rąk prefekta drogą trochę okreśną. Zgodnie z wcześniejszymi instrukcjami, Hugon - Moreau nadał list na pewien adres na rue St Antoine, niedaleko Place de la Bastille.

Rue St Antoine jest jedną z wielu „wiejskich” dzielnic Paryża, które czynią z niego tak rozległe i zróżnicowane miasto. Koperta była zaadresowana na właściciela małego baru, mieszkającego nad swoim zakładem. Był to eks - sierżant policji, który dorabiał sobie działając jako skrzynka pocztowa Surete. W obecnych okolicznościach nie byłoby raczej rozropne ze strony Moreau, gdyby posyłał cokolwiek bezpośrednio na rue des Saussaies. Powiadomiony z awczasu barman zadzwonił do Surete, która z kolei zawiadomiła prefekturę. Jeszcze przed dziesiątą goniec dostarczył przesyłkę na biurko Grellea.

- Ci ludzie z niczym mi się nie kojarzą - odezwał się Boisseau do Grellea, gdy razem czytali maszynopis. - Sądzi pan, że Hugon zmyśla informacje, by usprawiedliwić swoje cztery tysiące miesięcznie?

- Nie, nie sądzę. Spójrz na to niemieckie nazwisko - Dieter Wohl. Czytałem o tym człowieku w aktach Lamparta. Był oficerem Abwehry w Lozere w czasie wojny. O ile pamiętam, prowadził dziennik działalności Lamparta.

- Tak czy owak - powiedział Boisseau, ssąc wygasłą fajkę - Lampart, jak wciąż panu przypominam, nie żyje.

- A więc mamy dwa fakty, które zaprzeczają jeden drugiemu.

Pierwszy - zastępca Lamparta, Petit - Louis, którym - jak teraz wiemy - był Gaston Martin, stwierdził kategorycznie, że widział, jak Lampart wchodził pięć dni temu przez bramę pałacu. Nie sądzę, by umierający człowiek chciał kłamać... Fakt drugi - Lampart nie żyje.

Tak mówią akta. Jak pogodzimy ze sobą te dwie sprzeczności?

- Sprawdzimy je...

- Otóż to. Chcę wiedzieć wszystko, co jest w aktach o pogrzebie Lamparta w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym. Chcę wiedzieć, gdzie jest grób, czy był obecny ksiądz, czy jeszcze żyje, kim był przedsiębiorca pogrzebowy, czy jeszcze żyje - każdy szczegół, do którego możesz się dokopać. Zadzwoń do mojego przyjaciela, Georges Hardyego, prefekta policji Lyonu. Ale powiedz mu, że o tym dochodzeniu nikt nie może wiedzieć... - Boisseau już wychodził, gdy prefekt zawołał go z powrotem. - I chcę mieć te informacje na wczoraj...

Następnie Grelle poprosił do siebie sekretarkę i podyktował jej poufną notatkę do Rogera Danchina, zawierającą ostatnie wiadomości od Hugona - Moreau. Gdy notatka została napisana na maszynie, podpisał ją i goniec natychmiast wyruszył na Place Beauvau. Jak wiele razy przedtem, Grelle ocenzurował swój raport - nie było w nim żadnej wzmianki o Lamparcie. Danchin przeczytał notatkę jeszcze przed południem.

Wcześniej, zaraz po przyjeździe do biura, prefekt puścił w ruch maszynę policyjną - w ciągu kilku godzin wszystkie francuskie posterunki graniczne miały otrzymać dane i rysopis Alana Lennox.

- To dziwne - powiedział do Boisseau. - Kiedyś w Marsylii spotkałem człowieka o tym nazwisku. Niech ktoś zadzwoni do naszej ambasady w Londynie i spróbuje się czegoś o nim dowiedzieć - przede wszystkim chodzi mi o miejsce jego obecnego pobytu. Alan Lennox był międzynarodowym ekspertem do spraw bezpieczeństwa... Kwatera główna BND, niemieckiej Federalnej Służby Wywiadowczej, znajduje się w Bawarii, w niewielkim miasteczku Pullach nad rzeką Izarą, dziesięć kilometrów na południe od Monachium. Tego dnia, w którym Grelle otrzymał od Hugona nazwiska świadków, Peter Lanz wszedł do swojego biura o godzinie piątej rano. Tak wczesne wstawanie nie przeszkadzało Lanzowi, któremu w zupełności wystarczały cztery godziny snu na dobę. Gdy zbierał z biurka papiery i wkładał je do nesesera, zjawiała się sekretarka, Frau Schenker, śliczna dwudziestosiedmioletnia żona oficera wojskowego.

- Przyjechał samochód, Herr Lanz. Mówią, że na lotnisku jest mgła...

- Mają przecież oświetlony pas startowy, na miłość boską! - Lanz uśmiechnął się szeroko, by złagodzić swój wybuch. - Nie piłem jeszcze kawy, więc musisz mi wybaczyć. Możesz dzwonić do mnie w Bonn do dziewiątej - ale tylko wtedy, jeśli to będzie konieczne!

- Zapomnę, że pojechał pan do Bonn - odparła Frau Schenker.

Była trochę zadurzona w swoim szefie, na tyle jednak rozsądna, by wiedzieć, że nie powinna się głębiej angażować. Ale przynajmniej neutralizowało to poczucie izolacji, które

rodziła praca w Pullach; nikt z osób pracujących w BND nie mógł zdradzić swoim przyjacielom, gdzie naprawdę pracuje. Gdy szef wyszedł, spojrziała na zegarek. Za pół godziny będzie w powietrzu.

Musieli zapalić dodatkowe światła wzdłuż pasa startowego, by służbowy samolot szefa BND mógł wystartować. Kiedy przebijali się przez grubą warstwę szarych chmur, Lanz nie mógł pozbyć się uczucia, że jakiś duży samolot właśnie leci prosto na nich. By stłumić strach, rozłożył stoliczek i przeczytał zapis ostatniej audycji pułkownika Lasallea w radiu Europa Numer 1. Tym razem Francuz przeszedł sam siebie.

„Jastrząb w Paryżu przygotowuje się do odlotu... Wkrótce osiadzie w mieście nowego cara, którego cień pada na starożytne i słynne miasta - Ateny, Rzym, Lizbonę... Czy Paryż ma być następnym miastem, które znajdzie się w mroku tego barbarzyńskiego cienia?”.

Równie dobrze pułkownik mógł powiedzieć wprost, że w Paryżu wkrótce może mieć miejsce komunistyczny zamach stanu. „Absurd” - Lanz nagryzmołił to słowo na marginesie maszynopisu.

Kanclerz Franz Hauser, z którym leciał spotkać się w pałacu Schaumburg, będzie wściekły, gdy się o wszystkim dowie. W każdy wtorek rano Lanz leciał do Bonn, by zdać Hauserowi relację z rozwoju międzynarodowych wydarzeń, tak jak je widziała BND. Właściwie zadanie to należało do dyrektora BND, ale dyrektor był teraz tylko marionetką. „To stara pusta beczka po piwie” - mawiał Hauser. I po chwili dodawał: „Nie, skądże. On zawsze jest pełen piwa - na tym polega jego kłopot...” Skończywszy czytać zapis programu Lasallea, Lanz zajrzał do swego notesu. P. O wizycie u kanclerza miał od razu lecieć do Frankfurtu, z lotniska wziąć samochód i przez most na Renie pojechać do Moguncji, leżącej na zachodnim brzegu rzeki. Poprzedniego wieczoru Alan Lennox zadzwonił do niego z Saarbrücken pod numer, który dostał od Davida Nasha. O dziesiątej rano Lanz miał się spotkać z Lennoxem w hotelu Central w Moguncji.

Spotkanie nie odbyło się jednak w hotelu. Kiedy Lanz tam przybył i zapytał w recepcji o Alana Lennoxa, wręczono mu zaklejoną kopertę. W środku była kartka z wiadomością: Restauracja dworcowa na Hauptbahnhof. Lanz szybko przeszedł przez plac i znalazł Anglika pogrążonego w lekturze „Frankfurter Allgemeine Zeitung”.

- Wolę anonimowość dworców kolejowych - wyjaśnił Lennox po niemiecku. - Co słychać?

Następne piętnaście minut Anglik spędził opowiadając szefowi BND o swojej wizycie u Lasallea, ale kiedy wspomniał o nazwiskach z listy pułkownika i Lanz chciał je zobaczyć, pokręcił przecząco głową.

- Jeśli mam się spotkać z tymi ludźmi, to im mniej osób wie, gdzie jadę, tym lepiej. Jak wiesz, zawsze pracuję na własną rękę - w ten sposób mogę zdradzić tylko siebie.

- Ulżyło mi - powiedział Lanz - bo to oznacza, że nie wyszedłeś jeszcze z wprawy od czasów Syrii. W porządku, dostarczymy ci fałszywe papiery - dowód tożsamości, prawo jazdy, i tak dalej. Na francuskie nazwisko?

- Tak. Jean Bouvier - odparł Lennox. - To dość popularne nazwisko. Wasza sekcja dokumentów może mnie wpisać jako dziennikarza - pożyteczny zawód dla kogoś, kto chce jeździć tu i tam i zadawać pytania...

Po wyjściu z mogunckiego Hauptbahnhofu Lanz pojechał razem z Anglikiem swoim samochodem z powrotem przez Ren. Na autostradzie do Frankfurtu przyspieszył.

- Niedaleko mostu na Renie są kontrole prędkości - powiedział, gdy strzałka szybkościomierza pięła się w górę. - Nie chciałem, żeby mnie gliny złapały.

Po drodze do Frankfurtu mówił po angielsku - zawsze korzystał z każdej okazji wprawiania się w tym języku. Gdy wjechali do miasta, zwolnił, przejechał obok głównego frankfurckiego dworca kolejowego, a potem przez most nad Menem wjechał w uliczki starego przedmieścia Sachsenhausen. Pudełkowate bloki ze szkła i betonu zmieniły się w weine stube, pamiętające dni pierwszego Rothschilda.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił.

Studio fotograficzne znajdowało się na pierwszym piętrze starego domu z ciastkarnią na dole. W budynku były także biura wielu małych firm.

- Jeśli ktoś nas śledził - powiedział Lanz, gdy wchodzili krętymi schodami na górę - to nie będzie wiedział, do którego biura poszliśmy.

Ale nie sądzę, żeby ktoś za nami szedł...

Zrobienie zdjęcia zajęło mniej niż pięć minut.

- Zbyt dobra odbitka w dowodzie natychmiast wzbudziłaby podejrzenie - stwierdził z suchym uśmiechem stary fotograf w okularach w rogowej oprawie. Obiecał Lanzowi, że fałszywe dokumenty będą gotowe do odbioru w ciągu dwóch dni. Lennox, który sceptycznie przypatrywał się staremu, nakazał mu w końcu ostro, żeby zanotował jego rysopis.

- Będzie go pan potrzebował do papierów - rzucił.

Staruszek uśmiechnął się i postukał w czoło.

- Wszystko zanotowałem tutaj. Oczy brązowe, włosy czarne, a wzrost sprawdziłem, gdy stał pan przy tamtym pionowym liniale...

Gdy wyjeżdżali z Sachsenhausen, Lennox zapytał:

- Myślałem, że macie własne sekcje do robienia fałszywych dokumentów... A może

Hauser obciął wam budżet?

- Wręcz przeciwnie, zwiększył. I mamy własne sekcje dokumentów. Twoja misja jest jednak szczególnie delikatnej natury i mam rozkaz nie pokazywać się z tobą w pobliżu żadnego wydziału BND.

Joachim, od którego właśnie wyszliśmy, i jego młodszy brat, produkują prawdopodobnie najlepsze dokumenty w Niemczech. Jestem pewien, że jeśli ludzie z Surete obejrzą twoje papiery, będą całkowicie zadowoleni. A może poszlibyśmy gdzieś na lunch?

Lennox nie przyjął zaproszenia, mówiąc że ma do załatwienia parę spraw, więc Lanz odwiózł go z powrotem do Moguncji. Przed rozstaniem dał mu swój frankfurcki numer telefonu. Gdy tylko Lennox został sam, poszedł do garażu, wyprowadził swojego citroena o numerze rejestracyjnym BL 49120 i wyjechał z miasta tą samą drogą, którą przyjechał z Saarbrücken, kierując się w stronę granicy francuskiej. Po drodze kupił trochę jedzenia i butelkę piwa i zjadł lunch w samochodzie. Dokładnie o trzeciej dotarł do granicy.

Przy wjeździe nie było żadnych kłopotów. Urzędnicy kontroli granicznej nie zainteresowali się nim wcale - pomachali, że może jechać, zaledwie rzuciwszy okiem na jego brytyjski paszport. Odtąd jechał szybko, nie przekraczając jednak dozwolonej prędkości, aż dotarł do Metz, pierwszego większego miasta we Francji.

Zaparkował citroena w pobliżu centrum i wysiadł.

Spędził w mieście godzinę. Chodząc pospiesznie od sklepu do sklepu, kupował tylko po parę artykułów w każdym. Gdy o piątej wyjeżdżał z Metz, miał pełną walizkę francuskiej odzieży - dziewięć koszul, dwa garnitury, bieliznę, krawaty, chusteczki do nosa, jeden prochowiec, jeden grubszy płaszcz, kapelusz oraz różne drobiazgi, w tym cienkopisy, portfel i reporterski notatnik. Kupił też szczoteczkę i pastę do zębów i francuski komplet do golenia.

Dobrze już po zmroku dotarł z powrotem do punktu kontrolnego i od razu zauważył oznaki wzmożonej aktywności. Dokumenty sprawdzano tym razem bardzo starannie, widać też było większą liczbę urzędników. Utworzyła się długa kolejka samochodów. Kiedy nadeszła jego kolej, oficer uważnie obejrzał paszport, oglądając każdą stronę.

- Opuszcza pan Francję? Czy tak? - Mówił po francusku.

- Słucham? - zapytał Lennox po angielsku.

- Un moment... - Oficer zniknął w jakiejś budce, ciągle z paszportem w ręku. Po dziesięciu minutach przyprowadził ze sobą innego urzędnika, który mówił po angielsku. Tamten, trzymający teraz paszport, oparł się o samochód i wbił wzrok w Lennox.

- Jaki był cel pańskiej wizyty we Francji i ile czasu pan tutaj spędził?

Lennox wyłączył silnik, oparł łokieć na oknie i przybrał wyraz twarzy cierpliwego

turysty. Nigdy nie prowokuj kontroli paszportowej - mogą ci z życia zrobić piekło.

- Byłem we Francji trzy godziny - wyjaśnił. - Znalazłem się akurat blisko granicy i postanowiłem tu przyjechać, by coś zjeść.

Niemiecka kuchnia nie należy do najlepszych - powiedział.

- Proszę jechać!

O co w tym wszystkim chodzi, do cholery, zapytał sam siebie Lennox, gdy wjechał do Niemiec. Dlaczego interesowali się kimś z brytyjskim paszportem? Odczuł ulgę, że przejechał już przez kontrolę; był zadowolony, że nie otwierali mu walizki pełnej świeżo kupionej francuskiej odzieży. To musiała być tylko wyrywkowa kontrola, pomyślał jadąc w kierunku Moguncji, gdzie miał zarezerwowany pokój w hotelu Central. W ciągu następnych dwóch dni spotka się ponownie z Peterem Lanzem, żeby odebrać francuskie dokumenty.

A potem znowu przekroczy granicę, tym razem jako Jean Bouvier, reporter prasowy.

Grelle otrzymał wezwanie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych o szóstej wieczorem, mniej więcej w tym czasie, gdy Lennox dojeżdżał do punktu kontroli granicznej.

- Mój szef robi się coraz gorszy - powiedział do Boisseau. - Wkrótce będę go widywał co godzina. Spotkamy się, jak wrócę.

Jechał do Rogera Danchina w godzinach szczytu, a z powodu ulewy ludzie panowali nad sobą jeszcze mniej niż zwykle. Tkwiąc w korku, cicho kłął ministra koszarowym językiem. Była siódma, gdy w końcu wjechał na dziedziniec za Place Beauvau. Kiedy znalazł się w ministerialnym gabinecie, Danchin stał zgarbiony przy oknie, wpatrując się w ukryty za murem ogród.

- Na biurku mam sprawozdanie z pańskiej wczorajszej wizyty w ambasadzie amerykańskiej - odezwał się. - Przyjechał pan o szóstej, a wyjechał o szóstej dwadzieścia. Wygląda to na rzeczywiście bardzo krótką wizytę. - Wciąż nie odwracał głowy od okna.

Grelle wykonał bardzo obraźliwy gest dwoma palcami przy nogawce spodni i stał dalej bez słowa. Niech go diabli, jeśli weźmie udział w grze Danchina i zacznie się tłumaczyć. Cisza trwała minutę.

- No - rzucił wreszcie ostro Danchin. - Co się stało?

- Spotkałem się z Davidem Nashem... - Grelle, przygotowany na to pytanie, mówił monotonnym, prawie znudzonym głosem. - Przyjechał tu, żeby spróbować się dowiedzieć, dlaczego Florian wygłasza coraz więcej antyamerykańskich przemówień. Najwyraźniej Departament Stanu zaczyna się tym bardzo niepokoić. Nie wydawał się zbyt usatysfakcjonowany moją odpowiedzią, więc uznałem, że najlepiej będzie, jak sobie pójdę, co też zrobiłem.

- Hm... - Minister odwrócił się nagle od okna i wyprostował.

Grelle przeżył lekki szok; nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział Danchina całkowicie wyprostowanego. - Myślę, że dobrze poradził pan sobie z tą sytuacją. Co według pana knuje teraz Lasalle?

Czytałem rano pańską notatkę.

Znowu wprawiająca w zakłopotanie nieoczekiwana zmiana tematu; typowa taktyka Danchina, by zaskoczyć człowieka, z którym rozmawia. Grelle wzruszył ramionami, świadom tego, że jego niedbały strój - luźne spodnie i sweter polo - nie przypadł ministrowi do gustu.

- Tak samo łamię sobie głowę nad Lasalleem jak pan, panie ministrze - odparł. - Ogłosiłem pogotowie na granicy w sprawie tego Anglika, ale może będziemy musieli poczekać na następny raport Hugona, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

- Prawdopodobnie, prawdopodobnie... - Danchin wędrował po pokoju, aż w końcu stanął za prefektem. - Czy uważa pan, że Lasalle jest w kontakcie z Amerykanami? - zapytał nagle.

Grelle obrócił się na pięcie i wpatrzył w swego rozmówcę.

- Jak dotąd, nie mam na to żadnych dowodów. Czy panu coś wiadomo na ten temat? Bo jeśli tak, to powinienem o tym wiedzieć...

- Po prostu głośno myślę, Grelle. Chyba nie muszę zatrzymywać pana dłużej...

W drodze powrotnej do prefektury Grelle zaszedł do baru na St Honore, żeby się uspokoić. Czy każdy nienawidzi swego szefa? zastanawiał się wsiadając do samochodu. Ale wiadomość, jaką na Ile de la Cite przekazał mu Boisseau, sprawiła, że szybko zapomniał o irytującej wizycie w ministerstwie.

Zauważyli Lennox... - Boisseau wpadł do biura prefekta z kartką papieru w ręce. - Sprawdzali jego paszport na najbliższym przejściu pod Saarbrücken. Jechał sam, niebieskim citroenem DS 21 - numer rejestracyjny BL 49120. Wszystko się zgadza z danymi, które przekazał Hugon. Zawód w paszporcie - biznesmen.

- Dobra robota. Wsadzili mu kogoś na ogon? - zapytał prefekt - Nie. Jak? Wjeżdżał do Niemiec dziś wieczorem o 18:00...

- Wjeżdżał do Niemiec? To znaczy, że właśnie opuszczał Francję.

Co on, do cholery, kombinuje? Według Hugona miał dopiero jechać do Francji! - Grelle podszedł do ściennej mapy i przyjrzał się jej. Wjeżdża do Francji, a potem wraca prosto do Niemiec? To nie ma sensu, Boisseau.

- Może na Hugonie nie można polegać...

Prefekt chodził tam i z powrotem przed mapą, od czasu do czasu rzucając na nią okiem.

- To zbyt wielki zbieg okoliczności, że przekraczał granicę akurat tak blisko Saarbrücken - stwierdził. - Na pewno wrócił, żeby zobaczyć się z Lasalleem. Będziemy musieli poczekać na następny raport od Hugona. Jestem przekonany, że powie nam, iż Lennox po raz drugi spotkał się z pułkownikiem.

- Utrzymujemy pogotowie na granicy?

- Tak. Na wypadek, gdyby znowu ją przekraczał.

Trzecim członkiem Sowieckiego Komanda był Antonin Lansky, człowiek, którego zwano Stryczkiem. Dwudziestoosmioletni Lansky był już kiedyś za granicą, by wytropić dwoje Czechów, którzy zdezerterowali z sekcji wywiadu politycznego w Bratysławie.

Uciekli przez granicę do Austrii i szukali schronienia w Wiedniu. Ich zniknięcie w piątek w nocy zupełnie przypadkowo zostało wykryte w ciągu paru godzin. Wysłano za nimi Lanskyego.

Austriacka służba bezpieczeństwa działała zbyt wolno. Po przybyciu czeska para wystąpiła o azyl polityczny i została tymczasowo umieszczona w pewnym mieszkaniu przy Karntnerstrasse. Był to błąd, gdyż z mieszkania tego korzystano już wcześniej i obserwujący je pracownik bezpieczeństwa z ambasady radzieckiej od razu zauważył wchodzących do środka Czechów. Poinformował o tym Lanskyego po jego przyjeździe do Wiednia.

W jaki sposób Lansky wprosił się do mieszkania przy Karntnerstrasse, na zawsze pozostało tajemnicą. Wczesnym wieczorem w sobotę przyszedł tam urzędnik austriackiego wydziału bezpieczeństwa, by przesłuchać czeską parę. Gdy nikt nie odpowiadał na pukanie, zawołał dozorcę, który wyważył zamknięte na klucz drzwi.

Znaleźli mężczyznę i dziewczynę w różnych pokojach, oboje wiszących na sznurach. Nabazgrana po czesku notatka informowała: Nie mieliśmy już siły walczyć z przeciwnościami losu...

Od tego czasu w czeskich kręgach bezpieki Lanskyemu nadano przydomek Stryczek.

Antonin Lansky był chudym, żyłastym blondynem średniego wzrostu, o szczupłej, kościstej twarzy i zręcznych, mocnych dłoniach.

Jego najbardziej przyciągającą uwagę cechą były oczy z dużymi źrenicami, poruszające się z wprawiającą w zakłopotanie powolnością.

Z natury zamknięty w sobie, w czasie szkolenia na torze wyścigowym pod Taborem odzywał się najmniej ze wszystkich. Vankowi, zawsze gotowemu do wypowiedzania się na każdy temat, trudno było zrozumieć spokojnego Lanskyego o łagodnym głosie.

- Będziesz musiał trochę więcej ruszać jęzorem, jak pojedziemy do Niemiec - powiedział mu pewnego wieczoru - bo inaczej będziesz odstawał jak chory paluch. Francuzi zawsze mielią ozorami...

- Nie zauważyłem tego, kiedy byłem w Paryżu - odparł spokojnie Lansky. - Często siedziałem w barach, gdzie miejscowi grali w pikietę i godzinami prawie się nie odzywali.

Kiedy byłem w Paryżu... Odpowiedź Lanskyego zirytowała Vanka, który nie lubił, jak mu przypominano, że Lansky był jego następcą w wydziale bezpieczeństwa czeskiej ambasady w Paryżu i też coś wiedział o Francji. Prawda wyglądała tak, że Antonin Lansky był ambitny i wypatrywał dnia, w którym zastąpi Vanka, nie nadającego się według niego do roli przywódcy.

Dochodziła północ we wtorek 14 grudnia, gdy rosyjski instruktor Borisow wpadł do betonowego baraku, gdzie trzej członkowie komanda szykowali się do spania. Lansky leżał już na swojej górnej pryczy pod ścianą, podczas gdy Vanek i Brunner właśnie zaczęli się rozbierać.

Borisow miał na płaszczu śnieg. Już kilka dni sypało mocno na wschód od linii Berlin - Monachium; teraz śnieg doszedł do Taboru.

- W ciągu czterdziestu ośmiu godzin wyruszenie na Zachód - oznajmił. - Właśnie nadszedł sygnał. Wszystko uległo zmianie.

Zapomnijcie o Lasalleu, macie teraz trzech innych ludzi na liście, dwóch we Francji i jednego w Niemczech... - Rzucił na stół kartkę papieru.

Vanek wziął ją do ręki, a Brunner zająrzył mu przez ramię. - I macie skończyć tę robotę do nocy dwudziestego drugiego grudnia - dodał.

- To niemożliwe - zaprotestował natychmiast Brunner. - Za mało czasu na planowanie...

- Trudne, tak, ale nie niemożliwe - powiedział Vanek, podchodząc z listą do mapy na ścianie. - Strasburg, Colmar i Fryburg leżą mniej więcej na tym samym terenie, tyle że na przeciwnych brzegach Renu. Mamy już komplety francuskich dokumentów, wszyscy mówimy po francusku... - Borisow przypatrywał mu się uważnie, teraz już ostatecznie przekonany, że wybrał odpowiedniego człowieka do dowodzenia komandem: Vanek umiał przystosować się do sytuacji kryzysowej. - Myślę, że skoro jedziemy do Francji - ciągnął Vanek - to każdy z nas powinien mieć legitymację Surete Nationale.

Mają ich kilka w Kijowie i jeśli się pośpieszą, powinni być w stanie dostarczyć je tu do jutra wieczorem. I zestaw francuskich wytrychów.

Wtedy moglibyśmy wyjechać w czwartek rano...

Brunner wybuchnął.

- To nie daje w ogóle czasu na planowanie - powtórzył - i zaledwie tydzień na całą robotę...

- Co oznacza, że będziemy musieli się sprężyć, a to nie jest złe - odparł spokojnie Vanek. - Mamy cały jutrzejszy dzień na ustalenie marszruty. Pomogę ci w tym... - Zwykła arogancja i zarozumiałość Czecha zniknęły. Mówił przekonująco i budził zaufanie. Borisow ponownie pogratulował sobie wyboru. Za kilka lat Vanek z pewnością zajdzie bardzo wysoko w służbie bezpieczeństwa. - Przydałby się też francuski sprzęt narciarski - dodał. - W Alpach bawarskich i austriackich leży śnieg, moglibyśmy więc podróżować jako turyści wracający właśnie z krótkich wakacji...

- Zadzwoń do Kijowa - obiecał Borisow. - Ale jest jeszcze jedna sprawa. Będąc na Zachodzie macie telefonować pod pewien numer w Paryżu, który dostałem na wypadek, gdyby zaszły jakieś zmiany...

- Już mamy dosyć na talerzu - mruknął z niezadowoleniem Brunner, sięgając na półkę po rozkład jazdy zachodnich kolei.

- Wykonujecie jeden telefon dziennie - mówił dalej Borisow - używając nazwiska Salicetti.

Lansky, który zszedł już z pryczy, spojrzał na nazwiska i adresy na kartce.

Leon Jouvel. Robert Philip. Dieter Wohl.

„... Ta skorumpowana Ameryka, gdzie bogiem jest Dolar, gdzie siły policyjne dorabiają sobie do emerytury łapówkami, gdzie główne miasto, Nowy Jork, zdane jest na łaskę tuzina różnych gangów rasowych... gdzie terroryzm rozprzestrzenia się niczym zaraza...

Co Europa może mieć wspólnego z takim kontynentem? Powinniśmy się odgradzić od tego zepsutego i skorumpowanego kraju! Żegnaj, Ameryko...” Guy Florian wygłosił to swoje nowe przemówienie w Lille zaledwie w osiem dni po pełnym nienawiści do Amerykanów wystąpieniu w Dijon. Jego słuchaczom wydało się; że zwiększa tempo, „rozrzucając błoto buldożerem” jak to ujął Alain Blanc w rozmowie z Markiem Grelleem w Paryżu.

Tego dnia, 15 grudnia, prefekt policji przyjechał do biura wcześniej rano. Wezwał swego zastępcę i znów kazał mu zamknąć drzwi na klucz. Na jego biurku leżały dwie zamknięte walizki.

- Boisseau, możliwe, że ta sprawa z Lampartem okaże się czymś bardzo poważnym, co może zagrozić karierom nas obu, jeżeli będziemy ją ciągnąć. Powinieneś teraz starannie rozważyć, czy nadal chcesz brać w tym udział. Pamiętaj o tym, że masz rodzinę...

- Jakie są pańskie rozkazy? - spytał po prostu Boisseau.

- Po pierwsze, objąć dwóch ważnych ministrów ścisłym i bardzo dyskretnym nadzorem - chodzi mi o Rogera Danchina i Alaina Blanca. Ciągłe chcesz być w to zamieszany?

Boisseau wziął fajkę i nie zapaloną wsunął do ust.

- Będę musiał utworzyć specjalny zespół - powiedział - i wymyślić jakąś historyjkę, żeby ludzie się nie niepokoiili. Czy coś jeszcze? Ten nadzór jest, jak przypuszczam, po to, by zobaczyć, czy któryś z tych dwóch - Danchin albo Blanc - nie kontaktuje się z sowieckim łącznikiem - Otóż to. I drugie zadanie, dosyć żmudne... Wczoraj późnym wieczorem zabrałem z archiwum Surete cały stos akt z okresu wojny - Grelle wskazał na dwie walizki. - Ty weźmiesz jedną, ja drugą. Myślę, że w tych aktach znajdziemy, gdzie byli w tym czasie Danchin i Blanc. Jeśli któryś z nich w czterdziestym czwartym był daleko od Lozere, terenu działania Lamparta - to możemy go wykreślić...

Wróciwszy z walizką do własnego biura, Boisseau zwołał tajną konferencję. Kilku godnych zaufania detektywów Police Judiciaire zostało odkomenderowanych do śledzenia w systemie zmianowym Rogera Danchina i Alaina Blanca, za każdym razem, gdy ci opuszczali swe ministerstwa.

- Pracujecie w absolutnej dyskrecji. Sprawozdania składacie tylko mnie. Mamy powody przypuszczać, że istnieje spisek, którego celem jest zabicie jednego z tych dwóch ministrów. Może to być powiązane z ostatnim wydarzeniem... - dodał tajemniczo.

- Mamy zapobiec kolejnej próbie zamachu? - spytał jeden z detektywów.

- Chodzi o coś więcej - wyjaśnił Boisseau. - W spisek może być zamieszany ktoś z otoczenia Stycznia albo Sierpnia... - Podkreślił przedtem, że od tej pory nie wolno używać prawdziwych nazwisk osób objętych nadzorem, wymyślono więc pseudonimy: „Styczeń” dla Danchina i „Sierpień” dla Blanca. - Tak więc - ciągnął - musimy wiedzieć o każdym, z kim ci dwaj spotykają się poza miejscem pracy. i Jeden z ich tak zwanych przyjaciół może być człowiekiem, którego szukamy...

Wczesnym popołudniem zespół detektywów rozpoczął obserwację.

Grelle zaakceptował wszystkie środki podjęte przez Boisseau.

- Rzykujemy, że sami staniemy się konspiratorami - zauważył kwaśno - ale nie ma innego sposobu.

- Czy nie mógłby pan w zaufaniu poinformować prezydenta o tym, co robimy... i dlaczego? - zaproponował Boisseau.

- I ryzykować, że spotka mnie to samo co Lasallea? Chyba nie zapomniałeś, że pułkownika zdymisjonowano za przekroczenie swoich uprawnień? Florian jest przekonany,

że potrafi bezbłędnie oceniać ludzi i nigdy nie uwierzy, iż ktoś z jego otoczenia mógłby być zdrajcą.

Wkrótce po tej rozmowie wybuchła - jak ją nazwano później w kołach paryskich - „Afera Lasallea”. Pierwszym ostrzeżeniem dla Grellea o nadchodzącej katastrofie było wezwanie go przez Rogera Danchina na tajne spotkanie w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

Był późny poranek 15 grudnia - dzień po tym, jak Danchin zapytał Grellea, czy uważa, że pułkownik Lasalle jest w kontakcie z Amerykanami - kiedy prefekt został pilnie wezwany na Place Beauvau.

Grelle przybył jako ostatni. Po obu stronach długiego stołu siedzieli wszyscy czołowi urzędnicy służby bezpieczeństwa, w tym - jak zauważył prefekt wchodząc na salę - komisarz Suchet z kontrwywiadu, człowiek, którego metod i osobowości Grelle zdecydowanie nie lubił. Duży i wypasiony, z pulchną twarzą i małymi oczkami, które prawie ginęły w otaczającym je tłuszczu, Daniel Suchet był człowiekiem lubiącym używać życia i wcale się z tym nie krył. „Dobrze jem, dobrze piję i dobrze uwodzę” - zwierzył się kiedyś Grelleowi.

Danchin gestem ręki wskazał nowo przybyłemu wolne krzesło.

- Wszystko, co zostanie powiedziane na tym spotkaniu, jest absolutnie poufne - poinstruował obecnych. - Nie do omawiania nawet z osobistymi asystentami, chyba że okaże się to konieczne w trakcie przeprowadzania operacji...

- Jakiej operacji? - spytał Grelle, - Pana to nie dotyczy - powiedział Danchin. - Będzie tym kierował Suchet. Ale potrzebne nam są pańskie informacje na temat codziennych zwyczajów i zajęć pułkownika Lasallea - ponieważ to pan ma kontakt z Hugonem.

- Niech pan nam je po prostu przekaże, panie prefekcie, prosimy - wmieszał się Suchet, składając swoje pulchne dłonie na stole i agresywnie pochylając się do przodu, - Nie chcę być niegrzeczny, ale jest to kwestia bezpieczeństwa. Im mniej ludzi jest zamieszanych - wie pan, o co mi chodzi...

- Nie mam pojęcia, o co panu chodzi. Jeżeli nie będę wiedział, co pan zamierza, nie będę w stanie pomóc. Być może pominę jakąś ważną informację...

- Ja to osądzę - odparował Suchet.

- Proszę, panowie - wtrącił się Danchin. - Jesteśmy tu po to, by sobie nawzajem pomóc...

- Więc niech on mi powie, co knuje - powtórzył Grelle.

- Postanowiliśmy aresztować pułkownika Lasallea.

Nastąpiła cisza i wszystkie głowy odwróciły się w stronę prefekta.

Jego reputacja była powszechnie znana. Grelle zapytał, czy może zapalić, i Danchin, który już palił, skinął niecierpliwie głową. Prefekt bez pośpiechu sięgnął po papierosa i utkwiał wzrok w Suchecie, który zamrugał oczami i odwrócił się.

- Czy to szalony pomysł komisarza Sucheta? - zapytał w końcu.

- Nie, mój - odparł spokojnie Danchin.

- Macie zamiar porwać Lasallea...

- „Aresztować”, tego słowa użył komisarz - warknął minister.

- Nie możecie aresztować człowieka w obcym kraju - powiedział spokojnie Grelle. - Możecie go tylko porwać i siłą przewieźć przez granicę. Jak mamy oczekiwać od społeczeństwa, że będzie szanować policję i respektować prawo, jeżeli sami przedstawiciele prawa działają jak mafia...?

- Ostrożnie - ostrzegł go Danchin. - Może wolałby pan wycofać się ze spotkania...

- Jak mafia - powtórzył Grelle. - Zwykle zbiry, które włamują się nocą do mieszkania człowieka, obezwładniają go i...

- Lasalle to zdrajca.

- Lasalle mieszka w Niemczech. Jeśli to zrobicie, wybuchnie międzynarodowy skandal.

- Myśleliśmy o tym. - Danchin przybrał bardziej pojednawczy ton. - Ogłosimy, że Lasalle z własnej woli potajemnie przekroczył granicę i że został zauważony, a następnie aresztowany na terytorium Francji. i; - De Gaulleowi udało się to z pułkownikiem Argoud - odezwał się Suchet.

- To nie wystarczy! - Pięść prefekta walnęła w stół. - Jeśli będziecie się upierać przy swoich planach, poinformuję o wszystkim prezydenta...

- Prezydent wie o tym spotkaniu - zauważył Danchin.

- Kiedy ma być przeprowadzona ta operacja, panie ministrze? - spytał Grelle.

- Możemy zacząć działać jutro w nocy.

- Więc ja muszę zacząć działać teraz. - Grelle wstał. - Zaproponował mi pan wycofanie się z tego spotkania. Czy mogę teraz skorzystać z pańskiej propozycji?

Rozmowa z Florianem była bardzo nieprzyjemna. Tak nieprzyjemna, że wilczur Kassim, czując narastające napięcie między dwoma ludźmi, których uważał za swoich przyjaciół, wczuł się chyłkiem pod kanapę. Za wysokimi oknami prezydenckiego gabinetu płatki śniegu opadały na pałacowy ogród i topniały na ziemi. Na biurku, pomiędzy dwoma mężczyznami, obok telefonów i lampy, leżała kartka papieru.

Napisana w pośpiechu przez Grellea rezygnacja. Florian pchnął kartkę przez biurko

tak, że spadła prefektowi na kolana.

- Ja nie będę w to zamieszany, jeśli to właśnie pana niepokoi - oświadczył lodowatym tonem. - Z tego, co słyszałem, Danchin zamierza powtórzyć metodę uprowadzenia pułkownika Argoud. Lasalle zostanie przewieziony z Niemiec i uwięziony gdzieś w Paryżu. Otrzyma pan telefon - a potem znajdzie Lasallea związanego w jakiejś furgonetce na bocznej uliczce. Pana obowiązkiem będzie aresztowanie go.

- To jest łamanie prawa, panie prezydencie...

- Żaden z nas nie będzie w to bezpośrednio zamieszany...

- Ale obaj będziemy wiedzieć. Prezydent Nixon spróbował kiedyś nielegalnych metod - i co z tego wynikło?

- Boi się pan, że to nie wyjdzie? - spytał Florian.

- Boję się, że to wyjdzie...

Wyraz twarzy Floriana zmienił się nagle. Odchylił się do tyłu na swoim ozdobnym krześle, złożył ręce i marszcząc brwi utkwiał wzrok w Grelleu. Lampa na biurku rzucała na ścianę ogromny, zniekształcony cień prezydenta.

- Chyba ma pan rację - powiedział cicho. - Wokół mnie jest za wielu polityków. Mam podrzeć tę kartkę czy pan to zrobi?

Trzy minuty po wyjściu prefekta Florian podniósł słuchawkę i odwołał operację.

Grelle opuścił Pałac Elizejski lekko oszołomiony. Kiedy usłyszał o spisku, którego celem było porwanie Lasallea, był pewien, że to pomysł przebiegłego Sucheta; potem pomyślał, że kryje się za tym Roger Danchin. Gdy jednak dowiedział się, że sam Guy Florian zatwierdził ten plan, zdumiało go to i przeraziło. Czy możliwe, żeby tak się mylił w ocenie charakteru prezydenta? Pod wpływem impulsu objechał wysoki mur zamykający pałacowy ogród i znalazł się na rue des Saussaies. Wszedł do budynku Surete, by zabrać z archiwum jeszcze dwie zakurzone kartoteki.

W Moguncji Alan Lennox czekał niecierpliwie w hotelu Central na odbiór francuskich dokumentów od Petera Lanza. O jedenastej rano zadzwonił pod numer we Frankfurcie, który dostał od szefa BND, i Lanz natychmiast podszedł do telefonu.

Niemiec zaczął przepraszać.

- Wątpię, żeby dokumenty, o których mówimy, były gotowe wcześniej niż jutro - wyjaśnił. - Gdybyś zechciał do mnie zadzwonić jeszcze raz o czwartej, może będę miał więcej wiadomości...

Dlaczego ten stary tak się spóźnia?

- To perfekcjonista. Chce, żeby produkt był dobry... ty zresztą też.

- Nie robi Mony Lisy...

- Ale może zrobi coś równie dobrego, równie przekonującego.

Alan, zaufaj mi.

Lanz odłożył słuchawkę i zacisnął usta. Nie był zadowolony z oszukiwania Anglika. Wątpił zresztą, czy mu się to udało. Był pewien, że Lennox wie, iż BND ma sposoby na zdobycie czystych francuskich dowodów. Dokumenty na nazwisko Jeana Bouviera, reportera, znajdowały się już w szufladzie biurka Lanza. Niemiec musiał jednak czekać na ostateczną zgodę z pałacu Schaumburg na wyjazd Anglika do Francji.

Kanclerz Franz Hauser - z którym Lanz widział się raz przed spotkaniem z Lennoxem poprzedniego dnia i raz po nim - wciąż nie był przekonany do pomysłu mieszania się w sprawę swego najważniejszego sprzymierzeńca.

- Jeśli ten Anglik zostanie złapany i zacznie gadać, Paryż nas zlincuje - powiedział Lanzowi. - Niech mi pan da parę godzin na przemyślenie tego. Jutro wieczorem podejmę ostateczną decyzję. Może stanie się coś, co rozstrzygnie to za mnie.

Właśnie tego wieczoru, gdy Franz Hauser miał podjąć decyzję, Guy Florian wygłosił w Lille swoje kolejne antyamerykańskie przemówienie.

Podobnie jak w ostatnią sobotę, Grelle i Boisseau spędzili wieczór w mieszkaniu prefekta, tym razem jednak zamiast sprawdzania kartoteki Lamparta, studiowali wojenne akta Rogera Danchina i Alaina Blanca. Kiedy skończyli czytać, dochodziła północ.

- Przynajmniej wiemy trochę więcej - zauważył Boisseau.

- Czyżby? - odezwał się powątpiewająco Grelle.

- Alain Blanc oficjalnie uczył się na odległej farmie w Prowansji - powiedział Boisseau, gdy tymczasem Grelle dolewał im kawy.

Uzgodnili, że Boisseau skoncentruje się na Blancu. - Wysłał go tam ojciec, żeby nie mieszał się w działalność Ruchu Oporu.

- Czy to go powstrzymało?

- Nie. Mieszkał na farmie, kontynuując studia, ale pozwolił miejscowej grupie partyzanckiej - która notabene została wybita doszczętnie w zasadzce w sierpniu czterdziestego czwartego - korzystać z domu jako składu broni i amunicji.

- Skreślasz go więc?

- Bynajmniej - odparł Boisseau. - Jediną osobą, która mogłaby potwierdzić jego obecność na farmie w krytycznym czasie, była opiekująca się nim gospodyni, niejaka madame Jalade. Umarła w lipcu czterdziestego szóstego, zaledwie rok po zakończeniu wojny. To był wypadek - jechała swoim starym samochodem do miasta i skończyła na dnie

osiemnasto - metrowego wężu.

- Nie było świadków? - spytał cicho Grelle.

- Ani jednego. Była sama. Jako przyczynę wypadku podano awarię systemu hamulcowego. Zginęła wkrótce po uwięzieniu Gastona Martina w Gujanie. Oczywiście mógł to być zbieg okoliczności...

- Mógł - zgodził się Grelle.

Następnie prefekt podzielił się tym, co odkrył czytając akta Rogera Danchina. Przyłączył się on do jednej z grup Ruchu Oporu w Masywie Centralnym, gdzie działał pod pseudonimem Grand - Pierre. Wkrótce został oficerem łącznikowym pomiędzy różnymi oddziałami, z których jeden dowodzony był przez Lamparta.

- Był sprytny - wyjaśnił Grelle. - Nie narażał się zbytnio, korzystał z łańcucha kurierów, by utrzymywać kontakt między grupami. Znał wiele szczegółów dotyczących działalności Ruchu Oporu - miał opinię najlepiej poinformowanego człowieka w tym rejonie.

- Skreślamy go? - spytał Boisseau.

- Obawiam się, że nie możemy. Z dokumentów nie wynika jasno, co robił w czterdziestym czwartym. I był na właściwym terenie - blisko Lozere.

- A więc to ciągle może być któryś z nich? - Boisseau wzruszył ramionami. - Jak często w naszej robocie - dużo potu i nic. Przynajmniej skończyliśmy z tymi stęchłymi aktami.

- Nie całkiem. - Grelle ważył w rękę dwie teczki. - Postanowiłem sprawdzić jeszcze kogoś... Gaston Martin powiedział, że widział wysokiego człowieka wchodzącego do pałacu między 7:30 a 8:30; człowieka, któremu salutowali strażnicy. Pamiętaj, że jesteśmy policjantami i musimy kierować się wyłącznie faktami. O ósmej wrócił do Pałacu Guy Florian. Sprawdziłem również jego wojenną przeszłość.

Kiedy Boisseau otrząsnął się z szoku, prefekt pokrótce przedstawił mu wojenną działalność prezydenta. Służył w sekcji organizacji zajmującej się przerzutem alianckich lotników z Francji przez granicę hiszpańską. Miał bazę w starym domu w Pirenejach, za St Jean - de - Luz, i stamtąd eskortował uciekających do Hiszpanii, gdzie czekał na nich urzędnik z brytyjskiego konsulatu w Bilbao.

- Czteryście kilometrów od Lozere - stwierdził Boisseau - więc raczej nie mógł być Lampartem.

- Raczej nie - zgodził się Grelle. - Ale jego brat Charles, bardzo podobny do Guya, chociaż starszy, też służył w tej samej organizacji. Gdyby Charles zgodził się odgrywać rolę Guya Floriana... pamiętaj, trasy ucieczek były otoczone tajemnicą, a agenci rzadko się

pokazywali poza terenem swoich działań...

- Nie wiedziałem, że on ma brata.

- Już nie ma. W lipcu czterdziestego piątego Charles wypłynął samotnie na Atlantyk i utonął. Morze wyrzuciło jego ciało na brzeg dwa tygodnie później.

- Aha... - Boisseau ssał swoją fajkę. - Wielu ludzi umarło młodo w tamtym czasie; wielu z nich związanych było z Lampartem.

Dziś późnym popołudniem dostałem z Lyonu raport na temat tych, którzy go chowali, i przedsiębiorcy pogrzebowego...

- A propos - przerwał mu Grelle. - Jutro lecimy do Lyonu.

Jest tylko jeden sposób na rozstrzygnięcie sprzeczności między zeznaniami Gastona Martina a dokumentami mówiącymi o śmierci Lamparta - otwarcie jego grobu. Rozmawiałem przez telefon z Hardym i teraz właśnie załatwia nakaz ekshumacji. No, ale co z tymi ludźmi, którzy chowali Lamparta?

- Wszyscy nie żyją. Zastrzeleni w zasadzce cztery dni później, ciała podziurawione jak rzeszoto kulami z mauzera.

- W czterdziestym czwartym wszędzie poniewierało się pełno mauzerów - zauważył Grelle. - A ksiądz?

- Nie było księdza, Lampart był ateistą...

- Jasne, to przecież komunista. Przedsiębiorca pogrzebowy?

- Zabity strzałem w głowę następnego ranka po pogrzebie. Ktoś włamał się do domu. Nigdy nie ustalono tożsamości sprawcy. Jest jeszcze jedna ciekawostka - ciągnął Boisseau. - Pewien młody rzeźbiarz, także komunista, który współpracował z tą grupą Ruchu Oporu, chciał zrobić coś dla upamiętnienia swego ukochanego przywódcy. Wyrzeźbił więc posąg, który ustawiono na grobie pół roku później. Prawdopodobnie ciągle tam jest. To kamienny lampart.

* * *

1x grudnia Sowieckie Komando przekroczyło granicę czesko - austriacką. Na ponure przejście w Gmund w prowincji Nieder - Ssterreich, gdzie czeskie wieże kontrolne wyglądały z daleka jak szubienice, przybyli kilka minut przed dziewiątą rano.

Senny austriacki urzędnik, który całą noc był na nogach i szykował się już do zejścia ze zmiany - był do nich od razu przychylnie nastawiony. Parę minut wcześniej widział, jak jego czescy koledzy po fachu przewracają rzeczy tych trzech turystów do góry nogami.

Postawiono ich z boku drogi i dokładnie przeszukano poobijanego starego peugeota.

Ich dokumenty zostały starannie obejrzone.

Każdy, kto nie był przyjacielem Czechów, musiał być w porządku, jeśli chodziło o wjazd do Austrii. Austriacki celnik nie miał pojęcia, że Vanek sam zadzwonił wcześniej do czeskiej kontroli granicznej, by zorganizować to małe przedstawienie; nie mógł też wiedzieć, że ich przyjazd tuż przed jego zejściem z posterunku był dokładnie zaplanowany. Zmęczony urzędnik raczej nie będzie zbyt drobiazgowo sprawdzał nowo przybyłych.

„Nasze papiery są absolutnie w porządku - wyjaśnił wcześniej Vanek swoim dwóm towarzyszom - ale sposobem na sukces w życiu jest dopomaganie szczęściu”.

Austriak podstemplował francuskie paszporty, uniesiono szlaban i peugeot z Vankiem za kierownicą wjechał w wąskie uliczki austriackiego miasteczka. Gdyby zaspany urzędnik próbował się zastanawiać, kim byli, musiałby uznać ich za francuskich turystów powracających z zimowych wakacji. Łatwo było wyciągnąć taki wniosek: wszyscy mieli na sobie francuskie kombinezony narciarskie.

- Pierwszy płotek przeskoczony - odezwał się wesoło Vanek.

Brunner chrząknął.

- Przed nami jeszcze ich pełno...

Przez dwie godziny Vanek jechał szybko pustą szosą prowadzącą do Wiednia. Dookoła, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się pola. Od czasu do czasu pojawiały się na nich zaprzężone w woły wozy. Niebo było pochmurne i szare, pola po obu stronach zasypane śniegiem, a droga przed nimi stanowiła czysty biały pas - ich peugeot był pierwszym samochodem, który zostawiał na śniegu ślady kół. Za miasteczkiem Horn Vanek zatrzymał się na pustkowiu. Wysiadłszy z wozu, spalił podstemplowane paszporty i saperką, którą podał mu Brunner, zakopał zwęglone resztki, starannie przysypując poruszoną ziemię śniegiem.

Gdy wrócił do peugeota, rozdał wszystkim nowe francuskie paszporty, które były duplikatami tych przed chwilą spalonych - tyle że nie miały pieczętek czeskich służb granicznych.

W południe dojechali do Wiednia, gdzie zostawili samochód na placu Opery - miał go później zabrać stamtąd urzędnik z czeskiej ambasady. Gdy przekraczali granicę w Gmund, numer rejestracyjny ich pojazdu został zanotowany; toteż teraz musieli się go pozbyć, by nie odkryto ich powiązań z Czechosłowacją.

Z nartami na ramieniu trzej mężczyźni, z Vankiem na czele, weszli przez główne wejście hotelu Sacher i skręcili w prawo, do kawiarni.

Następne pół godziny spędzili nad kawą i ciastkami. Vanek, cały czas trajkocząc po francusku, przyglądał się uważnie wszystkim, którzy przyszli po nich.

Dokładnie o 12:30 wyszli z kawiarni drzwiami prowadzącymi na boczną uliczkę. Przed hotelem Astoria czekał podstawiony dla nich mercedes. Kluczyki były w stacyjce. Stojący w pobliżu czeski urzędnik, który pilnował wozu, złożył gazetę i odszedł; zabierając zaparkowanego na placu Opéry peugeota zakończył swoją robotę.

Znowu z Vankiem za kierownicą pojechali na Westbahnhof, stację, z której odjeżdżają pociągi do Europy Zachodniej. Brunner - z pomocą Vanka - opracował dokładny harmonogram ich dalszej podróży.

Przybycie na Westbahnhof przed pierwszą dawało im ponad godzinę na zjedzenie obiadu w dworcowej restauracji przed odjazdem ekspresu, który miał ruszyć o 14:00. Pociąg wyjeżdżał właśnie ze stacji, gdy jakiś człowiek wszedł do stojącego przed dworcem mercedesa i odjechał.

W Moguncji dochodziło południe - Sowieckie Komando przybyło właśnie do Wiednia - kiedy Alan Lennox ponownie spotkał się z Peterem Lanzem z BND w dworcowej restauracji. Siedzący już od kilku minut przy stoliku Anglik skinął głową, gdy Lanz zajął miejsce i rzucił na krzesło między nimi egzemplarz „Der Spiegla”. Lanz wziął do ręki menu.

- Dokumenty są w środku - wymamrotał. - Przepraszam, że trwało to tak cholernie długo. Ale są dobre... - Zamówił u kelnera kawę.

Nie mógł podać Anglikowi prawdziwego powodu opóźnienia: powiedzieć, że właśnie wrócił z pałacu Schaumburg w Bonn ze zgodą kanclerza Hausera na wyjazd Lennox do Francji. „Ta wczorajsza przemowa Floriana w Lille zaniepokoiła mnie - wyjaśnił kanclerz Lanzowi. - Jeśli dalej będzie tworzył taką atmosferę, to w Paryżu podczas jego pobytu w Moskwie sytuacja może dojrzeć do zamachu stanu... Musimy się dowiedzieć, czy we francuskich władzach działa komunistyczny agent - i to szybko...” - Pod tą serwetką obok twojej ręki - odezwał się cicho Lennox - znajdziesz mój brytyjski paszport. Przechowaj go do mojego powrotu. Nie byłoby zbyt dobrze, gdyby znaleźli go przy mnie we Francji.

Lanz położył złożoną serwetkę na kolanach, zaczekał, aż kelner postawi kawę, i schował dokument do kieszeni.

- Jedziesz do Francji samochodem? - zapytał.

- Tak chyba będzie najlepiej, prawda? Chcę wyruszyć za jakieś dwadzieścia minut. Czy jest coś jeszcze, co powinienem wiedzieć?

- Obawiam się, że tak. - Lanz pochylił się nad stołem, uśmiechając się, jakby mówił o jakiejś błahostce. - Dowiedzieliśmy się właśnie, że Paryż ogłosił coś w rodzaju alarmu. Nie mamy pojęcia dlaczego. Ale na wszystkich francuskich punktach granicznych zaostrożono kontrolę.

- Dzięki, będę uważał. - Lennox nie wspominał, że już o tym wie. Nie dlatego, że nie ufał szefowi BND, ale kiedy pracował sam, dbał o to, by nikt nie wiedział, jaki będzie jego następny krok.

Położył lekko rękę na egzemplarzu „Der Spiegla”. - Te papiery wydają się trochę grube - zauważył, wypijając resztę kawy.

- Dołożyliśmy pięć tysięcy marek na twoje wydatki. Nie chcemy, żeby ci zabrakło pieniędzy...

- Powtórne dzięki. Gdybym chciał się z tobą kontaktować, to na ten numer we Frankfurcie?

- Nie, na inny. Tym razem w Bonn... - Lanz nie wyjaśnił, że oddelegowano go do stolicy Niemiec, by w sytuacji kryzysowej mógł się natychmiast skontaktować z Franzem Hauserem. - Znajdziesz ten nowy numer na wewnętrznej stronie koperty - powiedział. - Możesz mnie pod nim zastać o każdej porze dnia i nocy. Będę w tym biurze siedział, jadł i spał. Jeśli zadzwonisz, obiecuję, że to ja podniosę słuchawkę.

Lennox utkwiał wzrok w Niemcu. Nie spodziewał się takich względów.

- Dziękuję raz jeszcze - powiedział. - Ale ta podróż może potrwać ze dwa tygodnie, jeżeli wpadnę w kłopoty - i możesz trochę zeszywnieć, siedząc tak długo w zamkniętym pokoju.

- To wszystko, co mogę zrobić, na miłość boską. - Lanz rozłożył ręce. - Nie chciałbym brać tej roboty na siebie, zapewniam cię. Francuski system bezpieczeństwa działa bardzo sprawnie i kontakt z nim może ci nie wyjść na zdrowie. Jeśli będziesz w tarapatkach, dzwoń. Nie mogę niczego obiecać - nie na terenie Francji - ale mogę przynajmniej spróbować. Jeśli zrobi się gorąco, zwiewaj.

Grrelle siedział właśnie w helikopterze typu Alouette, lecąc na południe, do Lyonu, by wziąć udział w ekshumacji Lamparta, kiedy wpadł mu do głowy nowy pomysł. Od jakiegoś czasu nie odzywał się do Boisseau, który spoglądał w dół na zalane wodą obszary. Chwilami mogło się zdawać, że przelatują nad polami ryżowymi w Azji, a nie nad równinami Francji.

- Boisseau - odezwał się w końcu Grelle - dwie osoby z tej listy od Hugona mieszkają we Francji.

- Dwie - zgodził się Boisseau.

- Chcę, żebyś zorganizował ścisły nadzór nad nimi. Musi być bardzo dyskretny - obaj śledzeni nie mogą się tego domyślać.

- Czy nasi ludzie mają zatrzymać tego Anglika, Lennox, jeśli się pojawi?

- Nie! Jeżeli Lennox się zjawi, chcę o tym wiedzieć, a potem chcę, żeby on też był

dyskretnie śledzony. Ale nie wolno mu przeszkadzać.

- Będę musiał powołać się na pański osobisty autorytet, bo to przekracza nasze kompetencje.

Rzeczywiście przekraczało to kompetencje Grellea. Normalnie władza prefekta paryskiej policji kończy się na granicach miasta.

Jednak po próbie zamachu Florian obarczył Grellea odpowiedzialnością za swoje bezpieczeństwo na terenie całej Francji.

- Oczywiście - zgodził się Grelle. - Powiesz im, że to dotyczy bezpieczeństwa prezydenta Republiki Francuskiej. W celu sprawdzenia pasażerów jadących z Wiednia do Niemiec urzędnicy paszportowi wsiadają czasem do pociągu w Salzburgu, nieczęsto jednak; jest to jedna z najbardziej otwartych granic w Europie.

Sowieckie Komando przekroczyło granicę austriacko - niemiecką bez żadnej kontroli. Narty w wagonie bagażowym, francuskie dokumenty, franki i marki w portfelach - wszystko to wskazywało na francuskich turystów, wracających do domu z Austrii przez Niemcy.

Mimo to Vanek nie zaniedbywał dodatkowych środków ostrożności. Uznawszy, że dwóch podróżujących mniej rzuca się w oczy niż trzech, usiadł z Brunnerem w jednym przedziale pierwszej klasy, podczas gdy Lansky jechał sam w innym wagonie. Jadąc po zmroku przez pokrytą śniegiem Bawarię, dostrzegli w świetle księżyca białe Alpy na południu. Później, gdy pociąg zbliżał się do Monachium, przejechali niedaleko Pullach, siedziby BND. W Monachium byli o ósmej rano. Vanek i Brunner wzięli taksówkę do hotelu Cztery Pory Roku, najdroższego w mieście.

„Nikt nie szuka zabójców w najlepszych hotelach” - wyjaśnił im wcześniej Vanek.

Prywatnie Brunner miał prostsze wytłumaczenie tego wyboru.

Według niego Vanek uważał, że człowiekowi o jego talentach należy się wszystko, co najlepsze. Lansky tymczasem wynajął pokój w Continentalu. Aby przystosować się do nowych warunków, wieczorem wyszli na miasto. Wcześniej Vanek zadzwonił z budki do Lanskyego, by upewnić się, że dotarł na miejsce.

- Nie siedź w pokoju - rozkazał swemu podwładnemu. - Wyjdź i rozejrzyj się... - Nie zaprosił jednak Lanskyego, by dołączył do niego i Brunnera.

Wykorzystując swoją płynną niemieczkę, Vanek poderwał przy piwie dwie dziewczyny i później w czwórkę zjedli bardzo wystawną kolację. Kiedy Brunner, pognawszy za swoim dowódcą do toalety, zakwestionował tę taktykę, Vanek odpowiedział:

- Dwóch facetów z dziewczynami dużo mniej rzuca się w oczy niż dwóch samotnych obcokrajowców. Zresztą - dodał zapiając rozporek - to miłe dziewczyny...

Pod koniec wieczoru, gdy pili w nocnym klubie absurdalnie drogiego szampana, Vanek namówił jedną z dziewczyn, by wzięła go do swojego mieszkania. Oburzony Brunner dopadł Vanka i przypomniał mu, że powinni wracać do hotelu, by się wyspać.

- Wyspać? - zdziwił się Vanek. - Mój drogi kolego, mogę spędzić trochę czasu z dziewczyną, przespać się cztery godzinki i wstać rano w świetnej kondycji...

- Wcześniej rano mamy pociąg do Francji.

- Więc nie zaśpij - odparł Vanek. ą! Lennox, który zawsze był samotnym wilkiem, poczekał, aż Lanz opuści restaurację na mogunckim Hauptbahnhofie, po czym wzięł „Der Spiegla” i poszedł do toalety. W kabinie wyjął francuskie dokumenty, włożył pięć tysięcy marek do portfela i nauczył się na pamięć bońskiego numeru telefonu, podarł kopertę, wrzucił ją do muszli i spuścił wodę. Po wyjściu z ubikacji wcale nie poszedł po samochód - odwiózł go już bowiem do oddziału wypożyczalni. oczywistym celem do śledzenia. Kiedy ekspres nabierał szybkości, wzięł walizkę i poszedł do przestronnej toalety.

Wszedł tam jako Alan Lennox, Brytyjczyk, a po dziesięciu minutach wrócił do przedziału jako Jean Bouvier, Francuz. Miał na sobie francuskie ubranie i palił gitanea. W Metz kupił okulary w rogowej oprawce i kapelusz. Wiedział, jak bardzo nakrycie głowy zmienia wygląd człowieka. Kiedy kilka minut później sprawdzano bilety i musiał zrobić dopłatę do ekspresu, rozmawiał z konduktorem po francusku i trochę niegramatyczną niemiecką.

Gdy pociąg dotarł do Fryburga, ostatniego miejsca postoju przed granicą szwajcarską, Lennox przeżył chwilę wahania. Mieszkał tu jeden z trzech świadków z listy Lasallea - Dieter Wohl. W końcu jednak wzruszył ramionami i został w pociągu. W tej chwili ważne było, by wydostać się z Niemiec, zgubić ślad. Fryburg leżał blisko Alzacji, po drugiej stronie Renu, mógł więc złożyć Wohlowi wizytę później, po spotkaniu się z Francuzami. Punktualnie o 15:36 „Rheingold” zatrzymał się na Dworcu Głównym w Bazylei. Przyjechał do Szwajcarii.

Po wyjściu ze stacji przeszedł przez ulicę do hotelu Victoria, gdzie wynajął pokój na jedną noc. Miał jeszcze mnóstwo czasu na znalezienie odpowiedniego sklepu i kupienie drugiej walizki. Po powrocie do hotelu przepakował się. Angielskie rzeczy włożył do starej walizki, a kupione w Metz francuskie - do nowej, szwajcarskiej. Potem poszedł na dworzec i zostawił starą walizkę w skrytce bagażowej.

Zamykając drzwiczki wiedział, że wcale nie jest pewne, czy jeszcze kiedykolwiek ją zobaczy.

Grelle spóźnił się na ekshumację Lamparta. Zajęty trzema dużymi operacjami - prowadzeniem śledztwa w sprawie zamachu na prezydenta, dbaniem o jego bezpieczeństwo

oraz badaniem tajemnicy Lamparta - potrzebował każdej wolnej chwili, jaką mógł znaleźć w ciągu dnia. I tak obywatel się już czterema godzinami snu w nocy, drzemiąc za dnia, kiedy tylko mógł - w samochodzie, w helikopterze, a nawet w biurze, jeśli udało mu się znaleźć trochę czasu pomiędzy różnymi zajęciami.

Kiedy wraz z Boisseau zjechali z szosy na błotnistą leśną drogę, Grelle również drzemał. Żandarm z latarką wskazał im ciemny wjazd, który inaczej by przeoczyli. Było już całkiem ciemno - ekshumację przeprowadzano w nocy dla zachowania pełnej tajemnicy - w dodatku lał deszcz i w świetle reflektorów poryta koleinami droga wyglądała jak dwa małe strumyki. Prefekt otworzył oczy.

- Jeśli ten deszcz potrwa jeszcze dłużej - mruknął z niezadowolaniem - to cała Francja znajdzie się pod wodą.

Wjechali w jodłowy las. Zdawało się, że mokre pnie zakołysały się, gdy droga skręciła gwałtownie i opony zabuksowały w błocie. Deszcz tłukł o dach samochodu. Jakieś dwa kilometry od miejsca, w którym opuścili szosę, Boisseau minął zakręt i reflektory, przebijając się przez ukośne strugi deszczu, oświetliły niesamowitą scenę. Łukowe lampy rzuciły światło na wykop, osłonięty płócienną konstrukcją przypominającą namiot. Po bokach piętrzyły się zwały wykopanej ziemi, a ludzie z łopatami byli już po ramiona w dole.

Grelle zobaczył, że są na szerokiej polanie. Policyjne samochody stały dookoła na dywanach zwiędłej paproci orlicy. Od grobu ciągnął się widoczny w świetle lamp błotnisty szlak. Kilka metrów dalej prefekt dostrzegł niewyraźną sylwetkę kamiennego lamparta, zdjętego z grobu.

W ulewnym deszczu rzeźba wyglądała jak żywa, niczym prawdziwe zwierzę przyczajone do skoku.

- Zobaczą, jak im idzie - powiedział Boisseau po wyłączeniu silnika. - Nie ma sensu, żebyśmy obaj wylazili na ten deszcz.

Przez okno zajrzał agent w ociekającym wodą płaszczu. Z ronda jego czapki zaczęło kapać do samochodu i zakłopotany urzędnik zdjął ją.

- Niech pan to włoży z powrotem, na miłość boską - warknął Grelle. - Macie coś?

- Znaleźli trumnę... - Mężczyzna miał chłopięcą twarz i był wyraźnie podekscytowany tym, że rozmawia z prefektem paryskiej policji. - W ciągu paru minut ją wyciągną.

- Przynajmniej jest trumna - mruknął Grelle. Nie czuł żadnego podniecenia. Nawet jeśli w środku było jakieś ciało, wątpił, czego mogłoby to dowieść; w końcu od roku tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego minęło kilkadziesiąt lat. Mimo swojego pesymistycznego nastawienia załatwił jednak, by wydział medycyny sądowej w Lyonie był

gotowy zabrać się do pracy natychmiast, gdy dostarczy się im szczątki.

Grelle wyszedł za Boisseau na deszcz. Włożył ręce w kieszenie płaszcza i nasunął kapelusz na czoło. I tak prędzej czy później musiałby zmoknąć, a nie chciał siedzieć w ciepłym samochodzie, podczas gdy inni taplali się w błocie. Zapadał się po kostki, ale na szczęście miał kalosze. Stał w blasku lampy, wpatrując się w kamiennego lamparta przycupniętego w deszczu. Zimne krople spływały mu po nosie.

Gdy wiązali łańcuchy wokół trumny w głębi wykopu, przez dudnienie deszczu przebił się nowy dźwięk - huk grzmotu. Usunięto namiot, żeby ciężarówka mogła podjechać tyłem do krawędzi: Kierowca poruszył dźwżkiem i uruchomił dźwig. Ludzie wyszli z wykopu. Byli cali w błocie.

Sceneria przypominała film grozy - wiatr zginający wierzchołki drzew, nie kończąca się ulewa, blask lamp łukowych. Robotnicy w jasnych kurtkach, stłoczeni wokół grobu, znieruchomieli w oczekiwaniu. Opleciona łańcuchami trumna została zaczepiona na haku - jedynym robiącym coś człowiekiem był teraz kierowca ciężarówki.

Obracając się na swym siedzeniu, operował dźwżkami. Trumna powoli wynurzyła się z cienia, przechylając się ostro przy wtórze warkotu maszyny i bębnienia deszczu. Wszyscy stali spokojnie. Grelle wsadził w kącik ust papierosa, ale nie zapalił go, widząc surowe spojrzenie żandarma. Jasna cholera, pomyślał, czy on się spodziewa, że zdejmę kapelusz?

Spojrzał ponownie w lewo, na kamiennego lamparta, teraz oświetlonego. Pysk miał otwarty, jakby rozwścieczony tym, co się działo.

Oficer dowodzący całą operacją wykrzyknął jakiś rozkaz. Wisząca już nad ziemią trumna okręciła się w powietrzu i została wsunięta przez stalowe ramię do środka płóciennego namiotu. Pojawił się człowiek z piłą mechaniczną i ostrożnie zaczął przepiłowywać wieko trumny nieco powyżej miejsca, w którym było zamknięte. Boisseau podszedł tam, ale po chwili wrócił do prefekta.

- Śruby przerdzewiały, a woleli nie używać dłut i łomów - wstrząsy mogłyby zamienić szczątki w proszek.

Grelle nic nie odpowiedział. Stał bez ruchu, aż w końcu nie zapalony papieros w jego ustach zupełnie rozmókł. Na polecenie Boisseau przyciągnięto bliżej lampy, które świeciły teraz bezpośrednio przez otwór namiotu na trumnę.

- Ciekawe, czy czegoś się dowiemy? - mruknął Boisseau z nutą podniecenia w głosie.

- Nie założylbym się...

- Mówią, że według nich trumna nie była ruszana od wielu lat.

Ziemia nad nią jest ubita na beton.

- A tamten cholerny posąg?

- Też nie ruszany od lat...

Mężczyzna z piłą skończył robotę. Byli gotowi. Dwóch ludzi zaczęło powoli zsuwać pokrywę z trumny. Dopóki nie zdjęli całego wieka, nie można było zajrzeć do środka. Trwało to bardzo długo - mężczyźni pracowali zgięci pod dachem namiotu i musieli uważać, gdzie stąpają, bo ziemia zrobiła się bardzo grząska. W końcu odsunęli się i w blasku lamp wszyscy mogli popatrzeć na zawartość trumny.

Zamarli w pełnym grozy osłupieniu.

- O Boże! - To Boisseau pierwszy odzyskał mowę.

W trumnie spoczywał doskonale zachowany szkielet ogromnego psa. Wielka czaszka leżała pomiędzy kośćmi łap. Ukryte w cieniu oczodoły zdawały się wpatrywać w zebranych olbrzymimi czarnymi źrenicami.

Cesar... - Prefekt chrząknął. - Makabryczne i... genialne. Nie mógł zabrać ze sobą psa. Bo to by go zdradziło. A potrzebował czegoś do obciążenia trumny.

Boisseau pochylił się nad szkieletem i przyjrzał mu się.

- W czaszce jest chyba dziura od kuli.

- Ciekawe, czy ten sukinsyn sam go zabił? - Grelle miał kiedyś angielskiego teriera ostrowłosego, który zginął pod kołami samochodu.

Nigdy nie wziął innego psa. - Powiedz im, żeby zamknęli pokrywę i zawieźli wszystko do Lyonu. Jedziemy! - rzucił bezbarwnym głosem.

Zostawili ludzi ładujących trumnę wraz z jej zawartością na ciężarówkę i odjechali błotnistą drogą. Posąg miał zostać w lesie, obok grobu, którego strzegł tak długo, a który teraz wypełniał się już wodą.

Boisseau, widząc wyraz koncentracji na twarzy swego szefa, nie odzywał się, aż skręcili na szosę.

- Zdziwiony? - zapytał, gdy nabierali szybkości.

- Nie bardzo - chociaż nie spodziewałem się psa. Cała ta sprawa niepokoiła mnie, odkąd przeczytałem akta - coś tu nie pasowało. Facet podejmował wszystkie środki ostrożności, żeby nie można go było zidentyfikować, a potem - gdy już był prawie koniec - tak po prostu dał się zastrzelić? Jeżeli przeżył aż do tamtego czasu, to powinien dalej żyć. Jestem pewien, że żyje...

- A więc gdzie jest?

- To akurat wiem dokładnie. W Paryżu. Kłopot w tym, że nie wiem, kto to jest.

- Danchin albo Blanc - według Gastona Martina. Koszmar.

- Będzie gorzej - zapewnił go Grelle.

Grelle pozostał w Lyonie tylko tyle, by móc zebrać jeszcze trochę informacji i poznać wyniki fluoroskopowego badania szkieletu.

- Oceniam wiek kości na mniej więcej trzydzieści, może czterdzieści lat - oświadczył prefektowi ekspert. - To znaczy przez tyle czasu leżały w lesie.

A więc zwierzę mogło być zastrzelone i pochowane w sierpniu czterdziestego czwartego.

Wracając helikopterem do Paryża, Grelle zdał Boisseau relację z tego, czego się jeszcze dowiedział.

- Dostałem informacje na temat tego rzeźbiarza, który zrobił posąg. Wkrótce po tym, jak skończył lamparta, znaleziono go zastrzelonego w jego domu. Dom był splądrowany, więc zakładano, że przeszkodził włamywaczowi. Ta daje jakieś pojęcie o bezwzględności człowieka, którego szukamy. Całkowicie zatarł za sobą ślady - tak mu się przynajmniej wydawało. Do czasu, gdy wskrzesił go Lasalle.

- Co teraz zrobimy? - spytał Boisseau.

- Wytropimy go.

* * *

Dwóch mężczyzn spacerowało samotnie po paryskim ogrodzie. Jeden z nich był wysoki i pochylał się lekko, by słyszeć, co mówi jego dużo niższy towarzysz. Drugi mężczyzna był gruby i miał krótkie, silne nogi. Mówił z szacunkiem, ale stanowczo, jakby spodziewając się oporu, który musi pokonać. Chociaż w promieniu dwudziestu metrów od nich nie było nikogo, rozmawiali prawie szeptem.

- Musimy dodać Lasallea do listy. To bardzo niebezpieczny człowiek i na tym etapie nie możemy ryzykować pozostawienia go przy życiu. W przeciwnym razie dalej będzie myszkować, aż się czegoś dokopie.

- Uważam, że to nierozsądne - powtórzył wysoki mężczyzna. - Dałem wam trzy nazwiska i to wystarczy. Każdy, kogo dodacie do listy, zwiększa ryzyko. Coś się nie uda...

- Wszystko się uda. Korzystają z najlepszych ludzi, jakich mają do takiej roboty. O ile wiem, komando jest już w drodze do Francji.

Powinni wykonać zadanie w ciągu sześciu dni... - Niski mężczyzna wyjął chusteczkę i wydmuchał nos. Był trochę przeziębiony; pogoda w Paryżu była naprawdę nie do zniesienia. - Nie słyszał pan choćby plotki, że ktoś coś wie? - zapytał.

- Nic. Niech po prostu szybko się z tym załatwią - rzucił ostro jego rozmówca. - I

proszę mi dać znać, kiedy będę mógł przestać się tym martwić. W tej chwili mam dosyć innych spraw na głowie.

Niższy mężczyzna zerknął szybko na towarzysza, czując w jego słowach napięcie. Rozumiał to - sam był spięty.

- A Lasalle? - spytał. - Skoro odwołano operację porwania go, z tym problemem też musimy sobie poradzić.

- Możecie się skontaktować z komandem? Na wypadek, gdyby coś wyskoczyło?

Niski po krótkim wahaniu odpowiedział:

- Będą się z nami kontaktować w regularnych odstępach czasu.

Mam nadzieję, że nikogo nie pominął pan na liście?

- Nikogo! Ale myślę, że już za długo rozmawiamy...

- A Lasalle? - nalegał niższy z mężczyzn. - To będzie wyglądało jak wypadek, obiecuję panu. Ludzie, którzy się tym zajmą, to eksperci...

- Eksperci? - Wysoki człowiek wyprostował się, na jego twarzy malował się wstręt. - W czasie wojny traktowało się takie akcje jak rzecz naturalną, ale w czasie pokoju... Tak czy siak, to musi być zrobione. W pewnym sensie wojna trwa dalej. Jeśli chodzi o Lasallea, jeszcze poczekamy. Jestem pewien, że nie ma pojęcia, co się stanie, gdy prezydent Francji pojedzie do Moskwy...

* * *

CZEŚĆ DRUGA
KOMANDO ŚMIERCI

17 21 GRUDNIA

Był to trzymany w tajemnicy koszmar niemal każdej służby bezpieczeństwa na Zachodzie od najwcześniejszych dni zimnej wojny - i późniejszego sztucznego okresu tak zwanego odprężenia - fakt, że gdzieś w kraju znajduje się jakiś zakamuflowany komunista. Nie utrzymuje kontaktów z rosyjskim wywiadem, nie przekazuje informacji - po prostu czeka. Dzięki osobistym zdolnościom robi karierę polityczną, pnie się po szczeblach władzy, aż znajdzie się u jej szczytu.

To tego typu człowieka najbardziej obawiają się szefowie wywiadu w Londynie, Waszyngtonie i innych stolicach. Nie ma sposobu wykrycia go, udowodnienia mu czegokolwiek. Nie interesuje go przekazanie Moskwie szczegółów systemu sterowania rakiet - ma nadzieję przekazać cały kraj.

Pierwszym, który wyczuł istnienie spisku, był pułkownik Rene Lasalle, wtedy jeszcze zastępca szefa wojskowego kontrwywiadu. To on zainteresował się postacią nieuchwytnego Lamparta i rozpoczął swoje prywatne śledztwo. Konflikt z Guyem Florianem, który zdymisjonował go za przekroczenie kompetencji, położył temu kres. Dziwnym kaprysem losu właśnie Marcowi Grelleowi przypadło podjęcie tropu tam, gdzie Lasalle został zmuszony go porzucić. w piątek, 17 grudnia - w dniu, kiedy Sowieckie Komando wjechało do Francji - Marc Grelle został oderwany od swych licznych obowiązków przez coś, co wtedy wydawało się zaledwie incydem, który zostanie odnotowany w aktach i zapomniany. O dziesiątej rano usłyszał o alarmie na lotnisku Orly, gdzie algierscy terroryści usiłowali zniszczyć mający właśnie wystartować samolot linii El Al.

- Lepiej pojedźmy rzucić na to okiem - powiedział do Boisseau. - Myślałem, że ochrona na Orly jest niezawodna...

Grelle miał powód do zmartwienia: za parę dni Guy Florian miał polecieć z Orly do Marsylii, by w przeddzień wyjazdu do Moskwy ! i wygłosić tam ważne przemówienie.

Po przybyciu na lotnisko tonące w powodzi deszczu dowiedzieli się, że Camille Point, oficer dowodzący żandarmerią lotniska, panuje nad sytuacją. W oddali, ledwo widoczny w strugach deszczu, stał na końcu rezerwowego pasa startowego nietknięty izraelski samolot - cel zamachu. Boisseau zostawił na chwilę Grellea z Camilleem Pointem i poszedł do wyposażonego w radio wozu patrolowego. Całe lotnisko roiło się od uzbrojonej policji.

- Jeden z moich ludzi dostrzegł terrorystę w samą porę - wyjaśnił Point. - Celował ze swojej broni w maszynę El Al, która właśnie miała startować z dwustu osobami na pokładzie. Mouton - ten żandarm - strzelił do niego i nie trafił, ale terrorysta się przestraszył i zaczął uciekać, porzucając broń. Chodźmy na dach, to pokażę panom.

- Uciekł?

W głosie Grellea brzmiał niepokój. Od pewnego czasu wiadomo było, iż w Paryżu działa algierska komórka terrorystyczna i prefekt dałby wiele, by zgarnąć całą bandę. Wydał rozkaz - zatwierdzony przez Rogera Danchina - że gdy w grę wchodził terrorysta, policjanci mieli strzelać tak, by zabić. Boisseau, który przybiegł właśnie od wozu patrolowego, usłyszał pytanie.

- Tak, zwiął... - zaczął.

- Cholera! - rzucił wściekle Grelle.

- ... ale mamy go pod obserwacją - ciągnął Boisseau. - Przy użyciu tego nowego systemu, który zorganizował pan do przejazdu prezydenta na Roissy dwudziestego trzeciego grudnia. Jest w tej chwili przekazywany od jednego samochodu patrolowego do drugiego.

I chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, że jest śledzony. Właśnie usłyszałem, że jedzie po Peripherique w stronę północnego Paryża...

- Boisseau przerwał, kiedy kierowca stojącego w pobliżu wozu machnął na niego. Wrócił po odebraniu nowego raportu radiowego i skinął głową w stronę prefekta. - Ciągłe jest pod nadzorem i ciągle jedzie na północ. Ryzykujemy, że go stracimy, czy otaczamy go?

- Nie otaczajcie... i nie zgubcie go - odparł Grelle.

- Właśnie tak im powiedziałem.

To jest warte ryzyka, powiedział sobie Grelle, wchodząc za Pointem na dach budynku. Gdyby udało im się dojść śladem Algierczyka do ! i.. jego kryjówki, a może nawet dalej trzymać go pod obserwacją, istniała szansa zgarnięcia całej grupy za jednym zamachem. Na dachu Grelle zatrzymał się i rozejrzał. Pięciu umundurowanych żandarmów zebrało się wokół pękatego przedmiotu leżącego na płachcie. Ekspert od odcisków palców, który właśnie skończył oglądanie broni, wstał i zwrócił się do Boisseau:

- Mam już to, czego potrzebowałem. Przyjemna zabaweczka, co?

- Gral? - zaciekał się prefekt.

- Tak, proszę pana - odparł pełen zapału młody żandarm.

„Gral” to używana przez NATO nazwa rosyjskiej rakiety klasy ziemia - powietrze w jej przenośnej wersji. Pociski i wyrzutnie do nich, które swobodnie może nieść jeden człowiek, od czasu do czasu były dostarczane przez Moskwę pewnym arabskim organizacjom terrorystycznym. Po załadowaniu jedną rakieta wyrzutnia ważyła nie więcej niż osiemnaście kilogramów. Miała zasięg od półtora do trzech kilometrów.

Zaledwie kilka lat wcześniej na lotnisku Heathrow w Londynie oddziały szturmowe British Army przeprowadziły zakrojoną na wielką skalę operację antyterrorystyczną.

Donoszono wtedy, że jakaś grupa terrorystów uzbrojona w grala czeka, by zestrzelić przylatujący z Kissingerem na pokładzie samolot. Broń ta, podobna z wyglądu do bazooki, ma ciężką kolbę i skomplikowany celownik teleskopowy, zakładany na grubą lufę. Obok wyrzutni leżały dwie rakiety. Point położył się przy nie uzbrojonej wyrzutni i wycelował ją w stojący na pasie startowym samolot El Al.

- Powinien pan spojrzeć - odezwał się do prefekta. - Ciarki mnie przechodzą na myśl o tym, jak łatwo ten sukinsyn mógł znieść z powierzchni ziemi dwieście osób. Buvon zna się na tym cholerstwie.

Jest z sekcji antyterrorystycznej.

Grelle przeraził się, gdy położywszy się na miejscu Pointa, spojrzął przez celownik. Izraelska maszyna, chociaż za zasłoną deszczu, znalazła się tak blisko, iż wydawało mu się, że może wyciągnąć rękę i jej dotknąć. Po chwili Buvon objaśnił im zasadę działania broni i pokazał, jak się ładuje pociski.

- Rakieta ma czujnik temperatury. Kiedy znajdzie się w powietrzu, zmierza prosto do źródła najwyższej temperatury znajdującego się w jej zasięgu - w tym przypadku, gdyby izraelski samolot właśnie wystartował, poleciałaby do ciepła emitowanego przez odrzutowe silniki maszyny...

- Czy pilot samolotu może coś zrobić? - zapytał Grelle, manipulując przy broni. - Ma jakąś szansę ratunku?

- Absolutnie żadnej - odparł stanowczym tonem Buvon. - Nawet gdyby zobaczył, jak rakietka nadlatuje, i zmienił kurs - czujnik temperatury po prostu również zmieniłby kierunek rakiety i dalej leciałaby na cel, aż do zderzenia.

Pamiętając o tym, że już za kilka dni Florian miał odlecieć z tego lotniska do Marsylii, Grelle podjął natychmiastową decyzję.

- Zabieram to świństwo ze sobą do Paryża - oznajmił. - Włóżcie mi to na tył samochodu.

Z Boisseau za kierownicą pojechali do kwatery głównej Surete na rue des Saussaies, gdzie pod osobistym nadzorem prefekta przeniesiono broń do skarbcza, znajdującego się w większym, również zamkniętym pomieszczeniu. Zażądawszy wszystkich kluczy od obu pomieszczeń, Grelle otrzymał trzy, a gdy zapytał, czy to wszystkie, dostał wymijającą odpowiedź:

- Początkowo były cztery, ale jeden nie pasował. O ile wiem, został zniszczony.

- Absolutnie nikomu nie wolno tam wchodzić bez mojego zezwolenia - rozkazał prefekt. - Gdyby wojskowi chcieli na to rzucić okiem, muszą przyjść do mnie po klucze.

Ledwo wrócili do prefektury, Boisseau otrzymał telefon. Natychmiast przyszedł do biura szefa.

- Algierczyk wlaźł do nory i wiemy gdzie. Jest w opuszczonym bloku mieszkalnym przy bocznej uliczce od Boulevard de la Chapelle, w osiemnastym arrondissement. Rue Reamur 17...

- To cuchnąca królikarnia - zauważył Grelle. Była to dzielnica arabska w obwodzie Goutte - d'Or, na obszarze od ponad trzydziestu lat zamieszkanym przez Arabów. - Widać jeszcze kogoś z bandy?

- W pobliżu nie ma nikogo i sądzimy, że facet jest sam. Kierowca jednego z wozów patrolowych rozpoznał go jako Abou Benefeikę, ale to nie jest pewne.

- Mam nadzieję, że się nie wymknie?

- Nasi ludzie obstawili przednie i tylne wejście do budynku. Są tam też dobre punkty obserwacyjne, skąd możemy pilnować go dzień i noc. Mamy go przyprowadzić czy niech dojrze?

- Niech dojrze. hotelu Victoria w Bazylei Alan Lennox usłyszał wiadomość o alarmie na Orly przez radio. Nie zaprzętał sobie tym głowy; pogotowia terrorystyczne na Orly już się zdarzały. Siedział w pokoju paląc papierosa i od czasu do czasu spoglądając na zegarek. Uważał, że istnieje jedyna właściwa chwila na przekroczenie granicy do Francji - po jedenastej rano. Wcześniej ludzie z kontroli paszportowej zaczynają właśnie służbę; na początku dnia są zawsze nerwowi i czujni, a podróżnych jest jeszcze niewielu.

Dokładnie o jedenastej Lennox wyszedł z Victorii i po przejściu przez ulicę znalazł się na Hauptbahnhof. Na bazylejskim dworcu znajduje się jedyny w swoim rodzaju w Europie. Francuski posterunek kontroli granicznej. Praktycznie będąc ciągle na ziemi szwajcarskiej, wszyscy Francuzi powracający z Bazylei do domu przechodzą przez specjalny punkt kontrolny, zupełnie niezależny od kontroli szwajcarskiej. Prowadzą go francuscy urzędnicy, którzy zajmują się jedynie swoimi rodakami. Była to doskonała okazja do przetestowania fałszywych dokumentów dostarczonych przez Petera Lanza.

W razie kłopotów - to znaczy gdyby odkryto, że papiery są sfałszowane - oddano by go w ręce szwajcarskiej policji. Mógłby im wtedy podać nazwisko i numer telefonu Lanza i nie wątpił, że - wobec dyskretnej współpracy między władzami szwajcarskimi a niemieckimi - przekazano by go Niemcom. Lennox nigdy nie podejmował niepotrzebnego ryzyka i dzięki temu do tej pory żył.

Ze szwajcarską walizką w ręku stanął w szybko posuwającej się kolejce.

- Dokumenty...

Miał pecha: kontrolę przeprowadzał jeden z młodszych urzędników, człowiek o przebiegłych oczach, którego zapału do pracy nie przytępiły jeszcze lata patrzenia w paszporty z zagiętymi rogami. Urzędnik dokładnie porównał fotografię ze stojącym przed nim człowiekiem, po czym gdzieś zniknął. Lennox z gitaneem sterczącym z kącika ust oparł się o kontuar i spojrzawszy na kobietę obok wzruszył ramionami. Ci cholerni biurokraci, wydawał się mówić. Urzędnik wrócił, ciągle trzymając paszport w ręku.

- Jakie kraje pan odwiedzał?

- Szwajcarię i Niemcy... - Zawsze, gdy tylko można, najlepiej jest mówić prawdę. Lennox przybrał znudzoną minę, gdy młodzieniec dalej oglądał dokument, jakby był to pierwszy paszport, jaki widział; jakby był pewien, że coś jest nie tak.

- Ile czasu nie było pana we Francji?

- Trzy tygodnie...

Zawsze tylko odpowiadaj na pytania. Nic nie dodawaj, nie ozdabiaj swojej relacji żadnymi szczegółami. To najstarsza sztuczka, używana przez urzędników na całym świecie - zmuś podejrzanego do gadania, a prędzej czy później sam się wyłoży.

Francuz oddał paszport. Lennox chwycił swój bagaż, przeszedł nie zatrzymywany obok celników i wszedł na peron, gdzie czekał pociąg do Francji. W ciągu dwóch godzin będzie w Strasburgu.

Ekspres z Monachium miał przybyć do Strasburga za dwie godziny.

Siedząc w narożniku przedziału pierwszej klasy, Carel Vanek czytał francuski kryminał i palił od czasu do czasu, napełniając przedział aromatem drogich cygar. Nie podobało się to siedzącemu naprzeciwko Brunnerowi.

- Po powrocie będziemy się musieli rozliczyć z wydatków... - zauważył.

- W społeczeństwie kapitalistycznym atmosfera bogactwa otwiera wszystkie drzwi - odparł Vanek, przewracając stronę swojej książki.

Prawda była taka, że Vanek po prostu lubił drobne przyjemności życia, a Brunnera uważał za prostaka. Teraz, gdy zbliżali się już do Strasburga, umysł miał tylko w połowie zaprzątnięty czytaniem kryminałem. Myślał o Dieterze Wohlu, Niemcu zamieszkałym we Fryburgu. Z trzech ludzi, którym komando miało „złożyć wizytę” - eufemizm Vanka oznaczający likwidację - Niemiec był w tej chwili najbliższy. Wydawało się logiczne, że Dieter Wohl będzie pierwszym, którego odwiedzą.

Pomysł ten jednak od początku nie podobał się Czechowi i teraz również miał te same obiekcje. Jeśliby nie udało się upozorować „wypadku” Wohla, niemiecka służba bezpieczeństwa zostałaby zaalarmowana w momencie najbardziej dla nich niedogodnym -

gdy dopiero rozpoczynali podróż. Poza tym mieli przecież wracać do domu przez Niemcy. Tak więc, choć z zupełnie innych powodów, Vanek podjął tę samą decyzję co Alan Lennox - najpierw jechać do Francji.

Zamknął książkę i wypuścił kłęb dymu w stronę Brunnera. Lansky znowu podróżował sam w innym wagonie; była to dobra taktyka, a do tego odpowiadała Vankowi, który nie lubił młodszego Czecha. Wkrótce mieli dojechać do Kehl, ostatniej stacji w Niemczech, zanim pociąg - I i. przez most na Renie - wjedzie do Francji. Vanek postanowił, że wysiądą w Kehl - chociaż prościej byłoby jechać dalej, do Strasburga.

Twierdził bowiem - niezupełnie bezpodstawnie - iż kontrola graniczna dokładniej przypatruje się międzynarodowym ekspresom. W Kehl mogli kupić i, trochę ubrań i później pojechać do Strasburga lokalnym pociągiem.

Vanek wyjął i obejrzał swoje dokumenty. Przybędą do Strasburga jako trzech francuscy turyści, powracający z krótkich zimowych wakacji w Bawarii. Nie istniało już nic, co łączyłoby ich z Czechosłowacją.

Leon Jouvel, rue de l'Epine 49, Strasburg - pierwsza pozycja na liście, którą pułkownik Lasalle wręczył Alanowi Lennoxowi.

Pięćdziesięcioletni Jouvel był niskim, zażywnym mężczyzną o siwej czuprynie i krzaczastych siwych wąsach. Miał pulchne dłonie, które lubiły ścisnąć kolana ładnych dziewcząt, kiedy sądził, że mu to ujdzie bezkarnie. Louise Vallon, pracująca w sklepie telewizyjnym, którego był właścicielem, łatwo sobie z nim radziła. „On jest bardzo ufny - zwierzała się przyjaciółce. - Ale ostatnio wygląda na bardzo przygnębionego, nawet przestraszonego...” To, co przerażało Leona Jouvela, wydarzyło się ponad trzydzieści lat temu i teraz jakby wróciło, by go nawiedzić. W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym, działając w Ruchu Oporu w Lozere, był radiooperatorem Lamparta. Tak samo jak wszyscy inni - nie miał pojęcia o wyglądzie komunistycznego dowódcy. Zawsze wiedział, kiedy Lampart jest blisko, ponieważ wilczur Cesar warczał wtedy ostrzegawczo. Jouvel bał się tej bestii, ale posłuszny instrukcjom za każdym razem odwracał się do psa plecami i czekał z notatnikiem, aż Lampart przyjdzie i poda mu wiadomość do przekazania. Po zapisaniu tekstu spieszył do ukrytego nadajnika. Wiedział tylko, że przywódca był bardzo wysokim mężczyzną - pewnego słonecznego dnia zobaczył jego cień.

Z powodu swojej pracy i częstotliwości tych krótkich spotkań Jouvel znał głos Lamparta lepiej niż ktokolwiek w grupie. Przez ostatnie półtora roku - odkąd Guy Florian został prezydentem - Jouvel bardzo się zmienił. Wszyscy jego przyjaciele komentowali tę zmianę. Zwykle jowialny i gadatliwy, stał się nerwowy i małowówny; często nie słyszał, co

się do niego mówi. To liczne wystąpienia prezydenta w telewizji tak rozstroiły tego pulchnego człowieczka.

Był wdowcem i dawniej miał zwyczaj skracania sobie wieczorów plotkowaniem z przyjaciółmi w barach i kafejkach. Teraz jednak przesiadywał samotnie w swoim mieszkaniu, oglądając dzienniki telewizyjne i programy polityczne, czekając, aż Guy Florian pojawi się, aż przemówi. Siedział wtedy przed telewizorem z zamkniętymi oczami i słuchał z napięciem. Podobieństwo głosów było uderzające, ale bał się nawet myśleć, że jego podejrzenia mogą okazać się prawdą.

Siedząc tak z zamkniętymi oczami mógłby przysiąc, że słucha stojącego za nim Lamparta, przekazującego mu jeszcze jedną wiadomość do nadania, w tych odległych dniach tam w górach. Badał sposób mówienia prezydenta, modulacje głosu, zauważał drobne wahania, poprzedzające potok obelg, którymi Florian obrzucał Amerykanów. Początkowo powiedział sobie, że to niemożliwe: przecież Lampart zginął w Lyonie w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym.

Potem jednak zaczął wracać myślami do przeszłości. Przypomniał sobie pogrzeb Lamparta, w którym uczestniczył. Czterech mężczyzn niosących trumnę - wszyscy zginęli kilka dni później w zasadzce - bardzo się spieszyło, by uporać się z robotą. Brakowało szacunku należnego zmarłemu.

Wizyta pułkownika Lasallea, który przyjechał po cywilnemu, przeraziła Jouvela.

- Chodzi mi o Lamparta - powiedział pułkownik. - Jeśli przekazywał panu wszystkie te polecenia ustnie, to na pewno mógłby pan rozpoznać jego głos, gdyby go pan znowu usłyszał.

- To było tak dawno temu...

Jouvel miał nadzieję, że w trakcie tej rozmowy z jednym z najlepszych we Francji specjalistów od przesłuchań udało mu się nie zdradzić ze swoim szalonym podejrzeniem. Jak wielu Francuzów, nie ufał ani wojsku, ani policji, wolał iść własną drogą i nie zadawać się z władzą.

Ale czy przekonał tego małego pułkownika o bystrym spojrzeniu, że naprawdę nic nie wie? Jeszcze wiele tygodni później pociał się na myśl o tej wizycie. A teraz, zaledwie osiem dni przed świętami, wydarzył się ten incydent.

Po zamknięciu sklepu o szóstej wieczorem przeszedł mostem z Quai des Bateliers do starej, opustoszałej dzielnicy. Po zmroku na rue de l'Epine stare pięciopiętrowe budynki tonały w ciemnościach, a kroki na bruku odbijają się niesamowitym echem. Tego wieczoru Jouvel był pewien, że słyszał, jak ktoś za nim idzie. Obróciwszy się gwałtownie, dostrzegł cię,

który szybko przylepił się do ściany.

Zmusił się do pójścia z powrotem - przywiodło mu to na myśl te wszystkie chwile, gdy z lękiem odwracał się tyłem do złośliwego wilczura Lamparta. Idąc zacięciem ulicą, Jouvel drżał ze strachu: pocił się tak bardzo, że aż zaparowały mu okulary. Doszedł do drzwi, koło których widział podejrzaną ruch, ale nie, był pewien, czy ktokolwiek tam jest. Udając, że poprawia okulary, przetarł je szybko palcami. Para zniknęła i Jouvel ujrzał potężnie zbudowanego mężczyznę o tłustej twarzy, który wpatrywał się w niego. Omal nie zemdleł.

Mężczyzna ubrany w ciemny płaszcz i miękki kapelusz uniósł do ust flaszkę, napił się i głośno beknął. Walące serce Jouvela zaczęło zwalniać. To tylko zwykły pijak. Bez słowa poszedł dalej, do domu.

Stojący w drzwiach detektyw policyjny Armand Bonheur również się pocił. Dobry Boże, prawie wszystko zepsuł. A instrukcje inspektora były wyraźne: „Cokolwiek by się działo, Jouvel nie może podejrzewać, że jest śledzony. Ten rozkaz nadszedł prosto z Paryża...” Skręciwszy w bramę numeru 49 Jouvel przeszedł wybrukowane podwórze do budynku. Wszedł na drugie piętro i otwierał właśnie swoje mieszkanie, gdy zza sąsiednich drzwi wyjrzała rudowłosa dziewczyna. Uśmiechnął się do niej.

- Dobry wieczór.

Rozczarowana dziewczyna zrobiła za jego plecami obraźliwy gest.

„Głupi stary alfons”. - Dla Denise Viron wszyscy powyżej czterdziestki nadawali się tylko na cmentarz.

W mieszkaniu Jouvel szybko włączył telewizor. Zaparzywszy sobie w kuchni herbatę, wrócił do pokoju, usadowił się w starym fotelu i czekał. Kilka minut później na ekranie pojawiła się głowa i ramiona Floriana. Jouvel zamknął oczy.

- „Amerykanie chcą zamienić Europę w jeden wielki supermarket, gdzie sprzedawaliby oczywiście amerykańskie towary...” Ciągle jednak Jouvel nie był pewien. Chyba zaczynam wariować, pomyślał.

Pan Jouvel? Dzisiaj go nie ma, ale jutro wraca do Strasburga.

Otwieramy o dziewiątej...

Louise Vallon, asystentka Jouvela, odstawiła telefon i nie myślała więcej o tej rozmowie. Musiała zaraz obsłużyć jakiegoś klienta.

W pobliskim barze Carel Vanek odłożył słuchawkę i wyszedł na Quai des Bateliers, gdzie Brunner czekał na niego w Citroenie DS 23, który wypożyczyli właśnie w oddziale Hertza na Boulevard de Nancy.

- Nie ma go dziś, wyjechał - powiedział Vanek siadając za kierownicą - ale będzie

jutro. Co daje nam akurat trochę czasu na poznanie miasta.

Kiedy Sowietkie Komando przybyło lokalnym pociągiem z Kehl, rozdzielili się, podobnie jak w Monachium. Lansky przeszedł na drugą stronę dużego wybrukowanego placu przed dworcem i wynajął pokój w hotelu Terminus na nazwisko Lambert. Po zostawieniu w dworcowej przechowalni bagażu, trzech par nart, które nigdy nie miały być odebrane, Vanek i Brunner wzięli w pewnym odstępie czasu dwie oddzielne taksówki do hotelu Sofitel, gdzie zameldowali się osobno jako Duval i Bonnard. Spotkali się następnie przed hotelem, poszli na Boulevard de Nancy i wynajęli Citroëna.

Przed opuszczeniem pokoju w Sofitelu Vanek zajął do Bottina - francuskiej książki telefonicznej - by sprawdzić adres Leona Jouvela. Tak; był taki sam, jak ten podany na liście, rue de l'Epine 49, ale był też drugi - adres sklepu telewizyjnego na Quai des Bateliers.

Korzystając z kupionego w kiosku z gazetami planu miasta, dwaj Czesi objechali Strasburg, by odnaleźć oba adresy, zanim Vanek wykonał pierwszy telefon z baru. Następnie odjechał trochę dalej i tam dopiero przekazał samochód towarzysowi. Przez resztę popołudnia i większą część wieczoru trzej mężczyźni mieli poruszać się po mieście na własną rękę, zaznajamiając się z jego topografią i atmosferą.

- Kupcie gazety, wchodźcie do barów i kafejek, gawędźcie z kim tylko możecie - instruował ich Vanek. - Spróbujcie wtopić się w tłum. Przejedźcie się autobusem, dowiedzcie się, o czym ludzie mówią. Chcę, żebyście do wieczora byli bardziej francuscy niż sami Francuzi.

Zgodnie z własnymi instrukcjami Vanek również ruszył poznawać miasto. W przeciwieństwie do Brunnera chodził teraz wszędzie na piechotę, wiedząc, że to najprostszy sposób na zorientowanie się w obcym terenie. Według planu starówka stanowiła właściwie wyspę, otoczoną - niczym wielką fosą - rzeką Il, która opływa serce Strasburga. Do tego dawnego centrum, zbudowanego w większości w XIV wieku, prowadziły rozrzucone wzdłuż całego obwodu mosty.

Na wąskiej, cichej rue de l'Epine było już szaro, kiedy o czwartej Vanek wszedł w bramę pod numerem 49.

Przy wejściu do budynku odszukał tabliczkę z nazwiskiem Leona Jouvela. Pukał właśnie do drzwi mieszkania na drugim piętrze, gdy otworzyły się sąsiednie i rudowłosa dziewczyna spojrzała na niego taksująco.

- Pojechał na dzień do siostry, wraca rano - poinformowała Czecha. - Czy mogłabym jakoś pomóc?

Vanek, który dokładnie i z należnym uznaniem przyjrzał się jej biodrom i innym

szczegółom anatomii, nie miał żadnych kłopotów z wyciągnięciem od Denise Viron potrzebnych mu informacji. Wy tłumaczył, że jest specjalistą od badań rynku.

- Pan Leon Jouvel jest jedną z osób wybranych do odpowiedzi na naszą ankietę... na temat potrzeb emerytalnych - wyjaśnił.

W ciągu kilku minut dowiedział się, że Jouvel jest wdowcem, że mieszka sam, że nie hoduje żadnych zwierząt - chciał się upewnić, i czy w mieszkaniu nie ma psa - że cały dzień spędza w sklepie, skąd wraca dopiero o wpół do siódmej wieczorem, że nie jest towarzyski, więc goście bywają u niego rzadko.

- Gdyby zechciał pan wejść - powiedziała dziewczyna, wygładzając spódnicę na długich, zgrabnych nogach - może mogłabym pomóc jeszcze w czymś...

Vanek zawsze miał zdrowy apetyt na kobiety, dbał jednak o to, by nigdy nie mieszać interesów z przyjemnością. A jak dotąd, dziewczyna nie przyjrzała mu się zbyt dokładnie w mrocznej sieni. Wy tłumaczył jej, że ma jeszcze tego dnia przeprowadzić wywiady z pięcioma osobami, i pożegnał się mając niejasne wrażenie, że w ciągu najbliższych paru dni wpadnie do niej ponownie. Zgodnie z wcześniejszą umową, o ósmej spotkał się z Brunnerem i Lanskyem na Place Kleber. Na stłoczone dachy Strasburga sypał śnieg.

Vanek wziął towarzyszy do baru i znalazł stolik w głębi.

- ... dlatego trzeba się pośpieszyć - mówił kilka minut później. - Złożysz mu wizytę jutro wieczorem, zaraz po wpół do siódmej, jak tylko wróci do domu. - Do odwiedzenia Leona Jouvela wybrał Lanskyego. - Jest wdowcem i mieszka sam. Ma mieszkanie na drugim piętrze, a budynek jest spokojny. Nikt się tam nie kręci poza rudą dziewczyną, która mieszka obok. Ona może być kłopotliwa - najwyraźniej szuka kogoś, kto by jej grzał łóżko.

- Nie podoba mi się to - odezwał się Brunner. - Działasz za szybko. Powinniśmy dokładniej sprawdzić tego człowieka...

- Nie mamy czasu - warknął Vanek. - Za pięć dni, dwudziestego drugiego grudnia, mamy skończyć całą robotę, czyli odwiedzić trzy osoby, w tym jedną w Niemczech. Tak więc strategia jest prosta - załatwiamy się szybko z pierwszymi dwoma...

- Jeśli nikogo tam dzisiaj nie ma, lepiej wstępnie się rozejrzeć - powiedział Lansky wstając. - Spotykamy się jutro na dworcu autobusowym na Place de la Gare?

- Pośpiech jest niebezpieczny - mruknął Brunner.

Vanek nachylił się tak, że ich twarze prawie się zetknęły.

- Pomyśl, człowieku! - powiedział spokojnie. - To będzie sobota, wieczór - nie odkrywają ciała co najmniej do poniedziałku rano...

Do otwarcia mieszkania Jouvela Stryczek posłużył się zestawem francuskich

wytrychów, który w ostatniej chwili został przywieziony samolotem z Kijowa do Taboru. Mieszkanie składało się z salonu z kolorowym telewizorem, dwóch sypialni, kuchni i łazienki.

Pierwsze, co zrobił po wejściu, to zaciągnął zasłony, a następnie z pomocą kieszonkowej latarki rozejrzał się po wnętrzu. Wszędzie było czysto i porządkie - musi o tym pamiętać przy wykonywaniu zadania.

Czech nie przyniósł ze sobą sznura - taki zakup może być niebezpieczny, jeśli policja zarządzi potem dokładną kontrolę. Szukał teraz czegoś na miejscu - szarfy, paska, czegokolwiek dość mocnego, by utrzymało człowieka. W staromodnej szafie znalazł to, czego szukał - wełniany szlafrok z długim paskiem.

Sprawdził dokładnie wytrzymałość paska, przywiązując jeden koniec do nóżki starej kuchenki gazowej w kuchni i ciągnąc mocno.

W razie potrzeby mógł go jeszcze później zanurzyć w wodzie.

Odrzucił sugestię Brunnera, że Jouvel powinien utonąć w wannie - to wiązało się z rozbieraniem, co dłużej trwało. A samobójstwo jest czymś, co policja zawsze chętnie przyjmuje, jeśli chodzi o samotnego człowieka.

Następnie sprawdził klamkę po wewnętrznej stronie drzwi łazienki, by upewnić się, czy jest mocna. Brunner powiedział mu, że ludzie często wieszają się na drzwiach od łazienki - może zależy im na odrobinie intymności?

Dwadzieścia minut to maksymalny czas, przez jaki włamywacz może przebywać w czyimś domu - Lansky zaplanował swoją wizytę na dwanaście minut. Odsunął już zasłony i był gotowy do wyjścia, gdy usłyszał jakieś głosy na korytarzu. Dwa głosy - męski i żeński - ten drugi należący prawdopodobnie do dziewczyny z sąsiedniego mieszkania, o której wspomniał Vanek. Rozmawiano po francusku, ale nie mógł uchwycić treści. Począł, aż głosy ucichły, zamknęły się jakieś drzwi i korytarzem oddaliły się kroki. Kiedy wyszedł, w budynku panowała cisza. Za niecałe dwadzieścia cztery godziny, o siódmej następnego wieczora, wróci tu, by po raz pierwszy i ostatni ujrzeć Leona Jouvela.

Ostrożnie wynurzył się z bramy na rue de l'Epine. Dzisiaj jednak detektyw Armand Bonheur był pięćdziesiąt kilometrów stąd, w Sarrebourgu, i siedział zmarznięty i przygnębiony w samochodzie pilnując domu, w którym Leon Jouvel składał wizytę swojej starszej siostrze.

Lansky odczekał jeszcze chwilę, aż z ulicy zniknie jedyna widoczna i osoba, mężczyzna odchodzący w stronę Place Kleber. Mężczyzną tym był Alan Lennox.

O ósmej wieczorem w piątek 17 grudnia, mniej więcej w tym czasie, gdy Sowieckie

Komando wchodziło do baru na Place Kleber, Andre Wiewiórka przedstawił swoją propozycję Marcowi Grelleowi w jego biurze w Paryżu. Czy nie byłoby warto, żeby poleciał do Strasburga porozmawiać z Leonem Jouvelem, a następnie zobaczył się z drugim świadkiem w Colmarze?

- Jeśli Lasalle ma rację i ci ludzie znali Lamparta, to może będą w stanie coś mi powiedzieć.

Grelle zastanowił się nad tą propozycją i w końcu odrzucił ją.

Kłopot polegał na tym, że potrzebował swojego zastępcy w Paryżu do pomocy w budowaniu systemu bezpieczeństwa, jaki miał chronić prezydenta.

- Niech to jeszcze zaczeka - zdecydował.

Jadąc pociągiem ze Szwajcarii, Alan Lennox przybył do Strasburga, kiedy Sowieckie Komando ciągle jeszcze było w Kehl, po drugiej stronie Renu. W mieście były dwa czy trzy hotele pierwszej klasy - wybrał Sofitel, który wygląda jak postawione pionowo pudełko od butów i przypomina hotele amerykańskie. Zameldowawszy się na nazwisko Jean Bouvier, poszedł na czwarte piętro do swojego pokoju, którego okna wychodziły na betonowe patio.

Podobnie jak Vanek, przede wszystkim zajrzał do książki telefonicznej i zauważył, że Leon Jouvel ma dwa adresy, z których jeden odpowiada temu z listy Lasallea, drugi zaś jest adresem sklepu telewizyjnego. Zadzwoił z pokoju hotelowego, ale nikt nie odbierał.

Louise Vallon miała właśnie w sklepie największy ruch i nie zamierzała wcale biegać jeszcze do telefonu. Anglik odłożył w końcu słuchawkę i postanowił poszukać Jouvela w domu.

Z kupionego na dworcu przewodnika dowiedział się, że rue de l'Epine leży niedaleko od hotelu, założył więc z powrotem płaszcz i wyszedł w wirujący śnieg, który przypominał o Bożym Narodzeniu.

W przeciwieństwie do Paryża, w Strasburgu wyraźnie widać było oznaki nadchodzących świąt; Place Kleber udekorowano ogromnymi choinkami, oświetlonymi w nocy. Po niecałych dwudziestu minutach Lennox stanął w bramie domu przy rue de l'Epine 49.

Leon Jouvel. Nazwisko to widniało na tabliczce przy drzwiach na drugim piętrze. Anglik zapukał kilka razy, ale nie było odpowiedzi.

Tym razem rudowłosa Denise Viron nie wyjrzała z sąsiedniego mieszkania - w porze lunchu była jeszcze w łóżku i twardo spała.

Lennox wyszedł z budynku i poszedł coś zjeść.

Po południu zaszedł do sklepu na Quai des Bateliers. Panował tam tłok. Młoda

blondynka za ladą ledwo dawała sobie radę z tłumem klientów. Nie widać było żadnego mężczyzny, również na zapleczu, gdzie udało się Lennoxowi zajrzeć. Postanowił więc pod wieczór wrócić do mieszkania Jouvela. Jeśli chce się porozmawiać z człowiekiem i przyprzeć go do muru - najlepiej zrobić to w jego własnym domu, kiedy skończył już pracę i jest odprężony. Lennox ponownie poszedł na rue de l'Epine 49 o wpół do dziewiątej.

Denise Viron właśnie wychodziła, ubrana w błyszczący zielony płaszcz, który według niej wspaniale pasował do jej ekscytującej osoby, gdy Lennox stanął przed drzwiami Leona Jouvela. Mierząc go wzrokiem i zastanawiając się, czy naprawdę wychodzi, stanęła za progiem.

Padające z mieszkania światło mocno podkreślało jej figurę o pełnych piersiach.

- Nie będzie go dzisiaj - odezwała się. - Czy mogłabym panu w czymś pomóc?

Lennox, który uniósł już rękę, by zapukać do drzwi, zaledwie przed kilkoma minutami otworzonych wytrychem przez Lanskyego, zdjął kapelusz. Zrobił kilka kroków w stronę dziewczyny. Cofnęła się lekko do swojego mieszkania i skubiąc długie rude włosy patrzyła na niego z lekko rozchylonymi ustami. To dziwka, pomyślał.

- Mówi pani o Leonie Jouvelu? - spytał po francusku. - ?

Jest pani pewna, że dzisiaj nie wróci Dziewczyna ściągnęła nadmiernie umalowane usta.

- Popularni dzisiaj jesteśmy, co? Mam na myśli Jouvela. Dopiero co rozpytywał o niego jeden z tych facetów od badań rynku.

- Od badań rynku...?

- Zgadza się. Wie pan, jacy oni są wścibscy. Osobiście uważam, że to impertynencja, takie zadawanie tych wszystkich intymnych pytań...

- Kiedy wróci pan Jouvel? - przerwał jej z uśmiechem Lennox.

- Jutro, w sobotę. Tamten gość od badań rynku...

- Czy jest ktoś, komu mógłbym zostawić wiadomość? Może żona?

- On jest wdowcem. Nie interesują go kobiety. - Spojrzała ponad ramieniem Anglika. - Osobiście uważam, że kiedy się dochodzi do tego etapu, życie nie jest warte...

- Nikt więcej z nim nie mieszka?

- Nie. Mieszka sam. - Dziewczyna zmarszczyła brwi, jakby zdobywała się na ogromny wysiłek intelektualny. - Zabawne, zadaje pan prawie dokładnie takie same pytania jak tamten drugi facet.

Co i ten Jouvel nagle zrobił się taki popularny? Całymi tygodniami siedział sam wpatrzony w pudło, a teraz...

- Całą sobotę jest w domu? - spytał Lennox.

- Znowu pan zaczyna... - Denise Viron zaczynała już nudzić ta rozmowa. - Całą sobotę jest w sklepie - warknęła. - I nie jest to dobra pora, żeby go tam odwiedzać - sobota to jego wielki dzień.

Nie znajdzie go pan w domu przed wpół do siódmej wieczorem. Pan też jest od badań rynku? - zapytała uszczypliwie.

- Znałem go kiedyś - odparł wymijająco Lennox i przeprosił.

Schodząc po schodach usłyszał trzaśnięcie drzwi. Denise Viron ponownie zapięła płaszcz, który rozpięła w trakcie rozmowy. Jednak będzie musiała wyjść - i to w taką pogodę!

O wpół do szóstej wieczorem w sobotę detektyw Armand Bonheur ziewnął i spojrzął na zegarek. Wkrótce znowu będzie na nocnej warcie.

Musiał zmienić kolegę, który w tej chwili dyskretnie obserwował sklep Leona Jouvela na Quai des Bateliers. Bonheur miał czekać, aż Jouvel zamknie, i iść za nim, a następnie mieć oko na wszystkich wchodzących i wychodzących z numeru 49 na rue de l'Epine. Miał już dość tych dyżurów. Czego zresztą, do cholery, Paryż chce od faceta takiego jak Jouvel?

Nawet Borisowowi, trenerowi Lanskyego, nie byłoby go łatwo rozpoznać, gdy opuszczał hotel Terminus z grupą ludzi, którzy właśnie wyszli z windy. Ubrany w niemiecki garnitur i tyrolski kapelusz, kupiony podczas krótkiego postoju komanda w Kehl, miał na nosie okulary w rogowej oprawce z grubymi szklami, jakich używają starsi ludzie. Nawet chód mu się zmienił - powłócząc nogami szedł przez omiotany wiatrem Place de la Gare z rękoma głęboko w kieszeniach płaszcza, który również nabył w Kehl. Pod pachą niósł pomięty i pobrudzony parasol. Opatulony szalem, przygarbiony, wlokący nogi za sobą Antonin Lansky wyglądał teraz jak człowiek koło siedemdziesiątki.

Po dojściu do dworca wszedł do oszklonej restauracji, która wychodziła na plac. Usiadł za stołem i zamówił po niemiecku kawę. Siedząc wśród ludzi czekających na pociągi, od czasu do czasu spoglądał na zegarek. Miał złożyć Jouvelowi wizytę gdzieś pomiędzy wpół do siódmej a siódmą, by zaskoczyć go zaraz po przyjściu do domu.

O szóstej Alan Lennox siedział za stolikiem przy oknie kawiarni obok sklepu Jouvela i pił kawę. Było już całkiem ciemno i w świetle ulicznych latarni bruk na bulwarze lśnił po niedawnej śnieżycy.

Anglik postanowił skorzystać z rady Denise Viron, pozwolić Leonowi Jouvelowi - którego widział przez wystawę sklepu - skończyć swój wielki dzień i dopiero potem zabrać się za niego. Ponieważ była sobota, uważał za prawdopodobne, że w drodze do domu Jouvel zajdzie do baru - a gdzie lepiej wyciągnąć coś z człowieka niż w barze?

Jako wyszkolony obserwator, Lennox automatycznie zarejestrował mężczyznę w płaszczu, który stał pod latarnią po przeciwnej stronie bulwaru i czytał gazetę. Pewnie czeka na dziewczynę, domyślił się Anglik - co jakiś czas stojący spoglądał na zegarek i rozglądał się, jakby spodziewając się kogoś. Lennox skończył trzecią filiżankę kawy - zamówił przedtem cały dzbanek. Należność dla kelnera leżała już na stole, tak że mógł w każdej chwili opuścić kawiarnię. Pięć po szóstej zażywny, niski człowieczek z krzaczastymi wąsami wyszedł ze sklepu i zamknął go.

Gdy Jouvel powiedział „dobranoc” swojej asystentce i przeszedł przez bulwar, Lennox wynurzył się z kafejki i przystanął przy krawężniku, zapalając papierosa. W tej części Strasburga nie było zbyt wielu przechodniów, a sklepikarz miał w dodatku na sobie rzucający się w oczy żółty płaszcz. Lennox schował swoją francuską zapalniczkę Feudor i miał właśnie zejść z chodnika, gdy nagle zatrzymał się w pół kroku. Mężczyzna spod latarni wsadził sobie gazetę pod ramię, po czym poszedł za Jouvelem. Zbieg okoliczności - pewnie akurat znudziło mu się czekanie na dziewczynę, pomyślał Anglik.

Gdy samochody stanęły na światłach, Lennox ruszył szybko, a potem zwolnił. Na moście, prowadzącym przez rzekę Il na Stare Miasto, dostrzegł mężczyznę z gazetą, przed nim zaś Jouvela. Po drugiej stronie rzeki sklepikarz zajrzał przez oświetlone okna do restauracji, jakby zastanawiając się, czy wejść do środka. Idący za nim człowiek również przystanął i schylił się, udając że zawiązuje sznurowadło. Dla Lennoxa stało się oczywiste, że tamten również śledzi Jouvela.

Gdy Francuz minął restaurację i przeszedł przez ulicę, by skręcić w rue de l'Epine - co oznaczało, że idzie prosto do domu - Lennox zmienił kierunek, by podejść pod numer 49 inną drogą. Mężczyzna z gazetą zszedł z mostu i ruszył za Jouvelem. Na tej samotnej, pustej ulicy drugi cień trochę za bardzo rzucałby się w oczy.

Obeznany już z bezpośrednim otoczeniem, Lennox przeszedł szybko na rue des Grandes Arcades, a następnie boczną uliczką prowadzącą na rue de l'Epine, dochodząc akurat na czas, by zobaczyć, jak Jouvel skręca w bramę. Trochę z tyłu człowiek z gazetą zniknął w jakiejś niszy.

Z bramy wychodziła właśnie - ubrana w swój jasno - zielony płaszcz - Denise Viron; ujrzawszy Lennoxa zatrzymała się.

- Wrócił pan zobaczyć się ze mną? - zapytała z nadzieją w głosie.

- Może innego wieczoru - odparł.

Ich głosy niosły się wąskim kanionem pustej ulicy do miejsca, gdzie czekał Armand Bonheur. Instrukcje, które otrzymał, były zbyt zawile jak na jego gust. Ma trzymać Jouvela

pod nadzorem. Ma nie pozwolić sklepikarzowi domyślić się, że jest obserwowany. Ma mieć oko na Anglika nazwiskiem Lennox, którego opis nie był zbyt precyzyjny.

Słyszając odpowiedź na zaproszenie dziewczyny, udzieloną doskonałą francuszczyzną, Bonheur nawet przez moment nie pomyślał o Angliku, o którym mu mówiono. Przygotował się na długie czekanie.

Także sama forma nadzoru była dla Bonheura bardzo niewygodna - nie mógł wejść do budynku, by obserwować Jouvela z bliska.

Jedynym plusem było to, iż budynek nie miał tylnego wyjścia i każdy, kto wchodził pod numer 49, musiał przejść przez bramę. Minęła właśnie siódma - znowu zaczęło padać - gdy detektyw dostrzegł powłóczęgę nogami staruszka z parasolem, zbliżającego się do numeru 49.

Lennox zapukał do drzwi Jouvela zaledwie parę chwil po tym, jak Francuz wszedł do mieszkania. Wyjaśnił, że jest reporterem paryskiej gazety „Le Monde”, która zamierza wydrukować cykl artykułów poświęconych Ruchowi Oporu. Wiedział, że Jouvel był aktywnym członkiem grupy z Lozere i chciałby z nim porozmawiać o tamtych czasach. Zapewnił Jouvela, że nic nie zostanie opublikowane bez jego zgody. Będzie też, dodał jakby mimochodem, pewne honorarium...

- Jakiego rodzaju honorarium? - zainteresował się Jouvel.

Stał w progu, ciągle w płaszczu, czując zamęt w głowie. Zadał to pytanie, by choć trochę zyskać na czasie. Od ponad roku zastanawiał się, czy zwrócić się do władz ze swoim podejrzeniem, i nagle, jakby na zamówienie, podsuwano mu doskonałą okazję. Ale czy powinien rozmawiać z tym człowiekiem?

- Dwa tysiące franków - rzucił niedbale Lennox. - To znaczy jeśli informacje będą tego warte. Tak czy owak, gotów jestem zapłacić dziesięć procent tej sumy za piętnaście minut pańskiego czasu.

- Niech pan wejdzie - powiedział Jouvel.

Przez pierwsze dziesięć minut mówił prawie wyłącznie Lennox, starając się, by Jouvel się rozluźnił. Reakcja Francuza zaskoczyła go.

Jouvel siedział w fotelu naprzeciwko, wpatrując się w niego nieprzytomnym spojrzeniem, jakby próbował podjąć jakąś decyzję. Gdy Lennox wspomniał o Lamparcie, Jouvel na moment zamknął oczy.

- Lampart...? - Spytał ochryple. - Współpracowałem z nim blisko jako radiooperator, ale on przecież nie żyje...

- Czyżby?

To krótkie pytanie, postawione instynktownie, gdy Lennox wyczuł wahanie w wypowiedzi Jouvela, wywołało dziwną reakcję: Francuz przełknął ślinę, wlepił wzrok w Anglika, a potem odwrócił głowę i wyjąwszy z kieszeni chusteczkę, wytarł w nią wilgotne dłonie.

- Oczywiście jeśli pan woli - podjął Lennox - możemy wydrukować pańską opowieść jako pochodzącą od „anonimowego, lecz godnego zaufania świadka”. Wtedy nikt pana z tym nie skojarzy, a i tak dostanie pan pieniądze...

Coś pękło w Jouvelu. Teraz, gdy miał do kogo mówić, nacisk, pod jakim żył od czterech miesięcy, stał się nie do zniesienia.

Opowiedział Anglikowi całą historię. Lennox, który dla zachowania pozorów wyciągnął reporterski notatnik, pilnował się, by nie patrzeć na Francuza, gdy ten mówił podniecony:

- To musi się panu wydawać śmieszne... za każdym razem, gdy słyszę go w telewizji... wiem, że Lampart został zastrzelony w czterdziestym czwartym, a jednak...

Gdy tak niemal wykrzykiwał te słowa, wyglądał jak spowiadający się, który zrzuca z siebie ciężar jakiegoś grzechu. Początkowo Lennox słuchał tego pełen sceptycyzmu, ale w miarę opowieści Jouvela zaczął się zastanawiać.

- Sposób, w jaki nieśli trumnę na miejsce pogrzebu... żadnego szacunku... brutalnie... jakby w środku nic nie było... Po upływie piętnastu minut Lennox podniósł się zamierzając wyjść. Francuz zaczynał już się powtarzać. Zamiast dwustu franków Anglik dał mu ponad pięćset z funduszy, jakie dostał od Lanza.

- Niech pan wróci jutro - nalegał Jouvel. - Może będę miał coś więcej do powiedzenia... - Była to nieprawda, ale podekscytowany mały sklepikarz - niepewny teraz, czy dobrze zrobił - chciał mieć szansę wycofania swego oświadczenia, gdyby rano poczuł, że popełnił błąd.

- Zadzwoń jutro - obiecał Lennox.

Szybko opuścił mieszkanie, zanim Francuz zdążył zapytać o numer telefonu czy adres, pod którym mógłby go zastać. Głęboko zamyślony zszedł po mrocznych schodach, ale na podwórzu znów był czujny i skoncentrowany - podróżował z fałszywymi papierami, powinien więc się mieć na baczności podczas każdej chwili spędzonej we Francji.

Kiedy wychodził przez bramę, zderzył się z przygarbionym staruszką pod parasolem. Mężczyzna poślizgnął się na mokrym bruku i zgubił okulary. Z głowy zsunął mu się tyrolski kapelusz. W świetle latarni Lennox dostrzegł w przelocie jego twarz. Starzec zaklął po niemiecku.

- Stokrotnie przepraszam - odparł Lennox po francusku, schylając się po okulary o grubych szklach i z ulgą stwierdzając, że są całe. Spod parasola wysunęła się dłoń w rękawiczce i bez słowa przyjęła okulary. Gdy mężczyzna powłókł się do budynku, Anglik wzruszył ramionami, po czym poszedł rue de l'Epine w stronę Place Kleber, wciąż myśląc o tym, co powiedział mu Leon Jouvel.

Na wpół zamarznięty w swojej niszy, detektyw Armand Bonheur nadal wykonywał służbowe obowiązki: przy świetle zapalniczki zapisywał wszystko, co się działo, w swoim notesie. 18:30 - Jouvel wraca do domu; 18:31 - Denise Viron wychodzi; 18:31 - przychodzi przyjaciel Viron; 19:02 - przyjaciel viron wychodzi (z podsłuchanej rozmowy wywnioskował, że Denise Viron dobrze zna Lennox); 19:02 - przychodzi człowiek z parasolem; 19:32 - człowiek z parasolem wychodzi.

* * *

Następnego ranka policja odkryła ciało Leona Jouvela, wiszące na kłamce drzwi w łazience.

„To będzie sobota wieczór - nie odkryją ciała aż do poniedziałku rano...” - Powiedział Carel Vanek. Była to przebiegła i rozsądna kalkulacja, ale nawet najbardziej przebiegłe plany mogą zostać zniweczone przez jakieś nieprzewidziane okoliczności. Niedziela 19 grudnia była blisko świąt, toteż przed zamknięciem sklepu w sobotę Leon Jouvel przekonał swoją asystentkę, że powinna przyjść nazajutrz rano na parę godzin, by pomóc w przygotowaniach do spodziewanej poniedziałkowej gorączki zakupów.

- Zapłacę ci podwójnie - obiecał jej. - I w gotówce, więc nie przejmuj się poborcą podatkowym. Będę tu o dziewiątej, nie spóźnij się...

Parę minut po dziewiątej Louise Vallon, która miała własny klucz do sklepu, zdziwiona niepunktualnością Jouvela, zadzwoniła do niego.

Nikt nie odbierał. Zadzwoniła ponownie o 9:15, a potem, zaczynając się już niepokoić, dzwoniła w regularnych dziesięciominutowych odstępach. O dziesiątej zatelefonowała na policję.

Inspektor dowodzący nadzorowaniem Jouvela, człowiek o nazwisku Rochat, sam pojechał na rue de l'Epine. Po rozmowie z lekarzem i obejrzeniu mieszkania, Rochat - początkowo podejrzliwy - nabrał przekonania, że Leon Jouvel popełnił samobójstwo. Szybko zresztą znalazł dowody na poparcie tej hipotezy. Przyjaciele sklepikarza powiedzieli mu, że Jouvel od wielu miesięcy czymś się zamartwiał; że skarżył się na brak snu; że przestał spędzać wieczory w barze, jak to miał kiedyś w zwyczaju. Nikt nie umiał powiedzieć, czym

Jouvel się tak zamartwiał, ale inspektor Rochat sądził, że wie, kiedy omawiał tę sprawę ze swoim detektywem, Bonheurem.

- Samotny wdowiec - najpierw przestają go interesować przyjaciele, potem samo życie. To logiczne...

Przyjęta przez inspektora hipoteza nie wytrzymała jednak próby czasu - rozleciała się dokładnie po trzech godzinach, gdy Rochat otrzymał telefon z paryskiej prefektury informujący go, że Andre Boisseau jest już w drodze do Strasburga. Zapominając o niedawnym dekrete Pałacu Elizejskiego, inspektor stwierdził zimno, że kompetencje paryskiej prefektury nie sięgają poza stolicę.

- Ta sprawa należy do mnie - oznajmił sztywno. Po chwili przeżył kolejny szok, gdy jego rozmówca okazał się prefektem we własnej osobie.

- Podlega to mojej władzy - poinformował go uprzejmie Grelle - gdyż może dotyczyć bezpieczeństwa prezydenta Republiki Francuskiej.

Pomimo irytacji Rochat zachował tyle przytomności umysłu, by przed wyjściem na oględziny mieszkania Jouvela zadzwonić do Paryża i poinformować zastępcę prefekta o domniemanym samobójstwie. Po odłożeniu słuchawki Boisseau poszedł prosto do biura prefekta, który pracował także w niedzielę.

- Leon Jouvel - oznajmił - zmarł właśnie w Strasburgu.

Przypuszcza się, że popełnił samobójstwo. Nie uważam, żeby Rochat - facet, który prowadzi śledztwo - był zbyt bystry. Ma pięćdziesiąt sześć lat i ciągle jest tylko inspektorem.

- Czy trzeba uznać tę śmierć za podejrzaną? - spytał Grelle.

- Niekoniecznie, ale przez te lata zmarło zbyt wielu ludzi, którzy byli związani z Lampartem. Teraz dowiadujemy się o Jouvelu...

Grelle uśmiechnął się ponuro.

- Ponieważ wciąż do niczego nie dochodzimy, chciałbyś sprawdzić gdzie indziej...

Było prawdą, że ich śledztwo w Paryżu nie przynosiło rezultatów.

Dyskretna obserwacja Danchina i Blanca nie dostarczyła niczego obiecującego. Danchin, jak zawsze oddany swojej pracy, prawie nie opuszczał Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Na pierwszym piętrze gmachu ministerstwa miał mieszkanie wychodzące na Place Beauvau, toteż często - w przeciwieństwie do innych ministrów - nie wychodził nawet na obiad.

Alain Blanc również spędzał długie godziny w swoim ministerstwie, dwukrotnie jednak odwiedzał pewien adres w Passy, gdzie spotykał się ze swoją kochanką, Gisele Manton. Ją także śledzono i Grelle miał szczegółową listę miejsc, w których była - i osób, z

którymi się spotykała. Nic nie wskazywało na to, by którykolwiek z obu ministrów miał powiązania z Sowietami. Grelle zaczynał się niepokoić. Może popełnił w tej sprawie jakiś okropny błąd?

- Lepiej rzuć okiem na Strasburg - powiedział swojemu zastępcy. - Poleć tam i zaraz wracaj. Potrzebny mi jesteś tu, w Paryżu...

Po wyjeździe Boisseau prefekt osobiście zadzwonił do Strasburga, by poinformować, że jego człowiek jest już w drodze. Odkładając słuchawkę był skłonny zgodzić się z oceną młodszego kolegi: inspektor Rochat raczej prochu nie wymyśli.

Z POWODU NAGŁEJ ŚMIERCI WŁAŚCICIELA, PANA JOWELA, SKLEP BĘDZIE NIECZYNNY DO ODWOŁANIA

Lennox utkwiał wzrok w napisanym na maszynie zawiadomieniu, przyklejonym do szklanych drzwi, po czym załomotał klamką. Dziewczyna w środku dała mu znak, by odszedł, ale gdy nie ustępował, podeszła rzucając mu wściekłe spojrzenie i otworzyła drzwi. Zanim zdążyła zacząć mu ubliżać, odezwał się:

- Jestem przyjacielem Leona - to dla mnie wielki szok, rozumie pani. Czy może mi pani powiedzieć, co się stało?

Ponieważ był taki uprzejmy - i ponieważ teraz widziała go dobrze i spodobało jej się to, co zobaczyła - Louise Vallon, która właśnie wróciła z przesłuchania u inspektora Rochata, wpuściła go do sklepu i opowiedziała mu wszystko, co wiedziała o śmierci Leona Jouvela.

Lennox odniósł wrażenie, że chociaż udało jej się wycisnąć z oczu łzy, raczej podobała jej się dramaturgia tego wszystkiego. Dowiedział się, że znaleziono Jouvela wiszącego na drzwiach od łazienki i uznano, iż zgon nastąpił pomiędzy szóstą trzydzieści a ósmą trzydzieści poprzedniego wieczoru.

- Chcieli wiedzieć, czy ktoś go odwiedzał o tej porze - powiedziała płaczliwie dziewczyna. - Ostatnie słowa, jakie do mnie powiedział, brzmiały...

Lennox przerwał jej, wyjaśniawszy, że nie ma zbyt wiele czasu.

- To nie była zbyt bliska przyjaźń - zakończył, świadom, że ta rozmowa może zostać powtórzona policji - ale od czasu do czasu prowadziliśmy ze sobą interesy.

Powiedział, że nazywa się Zuger i że musi złapać pociąg do Stuttgartu, po czym opuścił sklep. Odszedł kawałek w kierunku dworca i jednym z mostów wrócił na Stare Miasto.

Policyjny wóz patrolowy, który widział już wcześniej, ciągle stał przed numerem 49 na rue de l'Epine, odszedł więc stamtąd jak najdalej. Kiedy wałęsał się w zamyśleniu po starych uliczkach Strasburga, trudno mu było pogodzić się z myślą, że Leon Jouvel popełnił

samobójstwo. W drodze do domu, zaledwie jakąś godzinę przed śmiercią, był śledzony przez nieznanego mężczyznę z gazetą... Umówił się z Lennoxem na rano, spodziewając się otrzymania większej ilości pieniędzy w zamian za więcej informacji. Człowiek, który zamierza się zabić, raczej nie interesuje się pieniędzmi. To brzydko pachnie, powiedział do siebie Lennox. A nawet śmierdzi.

Jedząc lunch zastanawiał się, czy jechać od razu do następnego świadka na liście, Roberta Philipa z Colmaru. W końcu jednak postanowił poczekać do poniedziałku. Miejscowa gazeta powinna zamieścić relację ze sprawy śmierci Jouvela, co mogło cośkolwiek rozjaśnić.

Robert Philip, Avenue Raymond Poincare 8, Colmar - druga pozycja na liście, którą pułkownik Lasalle wręczył Alanowi Lennoxowi. Była to także druga pozycja na liście, którą Carel Vanek miał w głowie.

W sobotę wieczorem trzej członkowie Sowieckiego Komanda zapłacili rachunki w swoich hotelach i opuścili Strasburg, jadąc przez burzę śnieżną do odległego o sześćdziesiąt kilometrów Colmaru. O 21:30 przybyli do tego miasta domów o stromych dachach i krętych uliczkach - niczym z baśni Andersena - i znowu Vanek podjął rutynowe środki ostrożności, zostawiając Lanskyego z jego walizką pod dworcem, tak że tylko oni dwaj z Brunnerem przyjechali razem do hotelu.

Lansky wszedł na dworzec, dowiedział się o pociąg do Lyonu na następny dzień, zapalił gauloisea i czekał na przyjazd pociągu - jakiegokolwiek. Potem wyszedł na dwór wraz z trzema pasażerami, którzy przyjechali ze Strasburga, przeszedł przez Place de la Gare do hotelu Bristol, gdzie byli już Vanek i Brunner, i wynajął pokój na nazwisko Froissart. Recepcjonista, widząc że nowy gość nie ma samochodu, przyjął, iż wysiadł właśnie z pociągu ze Strasburga.

Na górze Vanek sprawdził adres Philipa w książce telefonicznej i umiejscowił go na planie Colmaru, który dostał od portiera.

Podniósł wzrok, gdy do jego pokoju wślizgnął się Brunner.

- Wybraliśmy doskonały punkt - poinformował go. - Philip mieszka zaraz za rogiem...

- Jeśli jest w domu - zauważył pesymistycznie Brunner.

- Dowiedzmy się...

Vanek nie skorzystał z telefonu w pokoju, by zadzwonić do Philipa - to oznaczałoby łączenie przez hotelową centralę.

Wyszedł z Brunnerem do samochodu i pojechali jakiś kilometr dalej, do centrum handlowego, skąd Vanek zatelefonował z baru pod znaleziony w książce numer. Głos, który

się odezwał, był arogancki i szorstki.

- Robert Philip...

- Przepraszam, pomyłka - wymamrotał Vanek i przerwał połączenie. - Jest w domu - powiedział Brunnerowi. - Chodźmy się rozejrzeć w okolicy. i Avenue Raymond Poincare była opustoszałą ulicą z małymi, I ponurymi piętrowymi rezydencjami, stojącymi za ogrodzeniem. Pod numerem 8 w dużym wykuszowym oknie na parterze paliło się światło, ale całe piętro było pogrążone w ciemności.

- Chyba można obejść od tyłu - odezwał się Brunner, starając się dostrzec jak najwięcej szczegółów, gdy citroen wolno przejeżdżał obok willi.

- Musimy jeszcze sprawdzić, czy mieszka sam - zauważył Vanek. - Jutro jest niedziela. Jeśli uda nam się to sprawdzić za dnia, sądzę, że moglibyśmy złożyć wizytę panu Robertowi Philipowi już jutro wieczorem...

- Pewnego dnia pośpieszysz się za bardzo...

- Jutro jest dziewiętnasty grudnia - odparł spokojnie Vanek. - Zostały nam cztery dni na odwiedzenie jeszcze dwóch ludzi - w tym jednego w Niemczech. Tylko szybkość może nam zapewnić bezpieczeństwo. Ale tym razem nie będzie to robota dla Stryczka. Jedno samobójstwo już mieliśmy, więc Robert Philip musi zginąć w wypadku.

Po przybyciu helikopterem do Strasburga, Boisseau wyciągnął wszystko z inspektora Rochata, który prawie się nie zorientował, w czym rzecz. Boisseau był świadom tego, że musi postępować ostrożnie - Grelle nie był w zbyt zażyłych stosunkach z prefektem Strasburga i miejscowym nie w smak był przyjazd jego zastępcy. Po pół godzinie zasugerował, że później zaprasza Rochata na drinka, ale czy najpierw mógłby zobaczyć mieszkanie denata?

To Boisseau wy dobył z detektywa Bonheura informację o tym, że dwóch mężczyzn weszło pod numer 49 pomiędzy 18:30 a 19:15, że drugi z nich powłóczył nogami i miał parasol, że pierwszy wyszedł o 19:02, a drugi pół godziny później.

- Właśnie w tym mniej więcej czasie Jouvel musiał umrzeć - zwrócił uwagę Rochatowi.

Kiedy przesłuchał pozostałych lokatorów budynku, odkrył, że nikt nie mógł zidentyfikować powłóczącego nogami starca - co znaczyło, że tam nie mieszkał. - To oczywiście niczego nie dowodzi - oznajmił Rochatowi. - Ale po co tu przyszedł, jeśli nie możemy znaleźć nikogo, u kogo był?

A pół godziny to zbyt dużo czasu, żeby bez celu gdzieś wchodzić. wał Boisseau przesłuchał też Denise Viron, rudowłosą sąsiadkę denata, i otrzymał od niej szczegółowy opis dwóch zupełnie różnych ludzi, którzy poprzedniego dnia dopytywali się o Leona Jouvela.

Dokładnie zanotował sobie oba opisy. Żaden z tych ludzi nie mógł być powłóczącym nogami staruszką. - Czy któryś z nich był może Anglikiem? - zapytał. Denise się przecząco potrzęsła głową, prowokująco krzyżując przy tym nogi.

Inspektor Rochat zmarszczył brwi, Boisseau jednak z uznaniem obejrzał sobie nogi dziewczyny, częstując ją kolejnym papierosem.

- Czy ludzie często pytali o Jouvela? - kontynuował. - Miewał wielu gości? - Prawie wcale. Ci dwaj to wyjątki.

Boisseau nie winił Rochata za to, że nie dotarł do tej informacji.

Było jasne, iż jego zwierzchnicy czuli się urażeni wtargnięciem prefekta paryskiej policji na swoje terytorium i kazali inspektorowi jak najszybciej wyjaśnić sprawę. Toteż gdy zaczęło to wyglądać na samobójstwo, Rochat przerwał dochodzenie.

- Jest pan zadowolony? - zapytał Rochat odwołując zastępcę prefekta Paryża na lotnisko.

- A pan? - odparował Boisseau.

- Technicznie wszystko było tak, jak powinno. Tylko ekspert mógł to podrobić.

- Pańska uwaga mnie niepokoi - stwierdził Boisseau. w niedzielę rano pięćdziesięciodwuletni Robert Philip - w tym samym wieku co Guy Florian, choć na tym podobieństwo między nimi się kończyło - wstał z łóżka późno i zdenerwował się, bo jego towarzyszka, Noelle Berger, jeszcze spała. Brutalnie potrzęsając jej nagim bladym ramieniem, odezwał się z właściwą sobie subtelnością:

- Wstawaj, flądrowo jedna, chcę jakieś śniadanie... Żyjąc w separacji z żoną, pocieszał się teraz serią przelotnych związków, pilnując przy tym, by żaden z nich nie trwał zbyt długo.

Jak mawiał swoim kumplom od kieliszka: „Wpuść je na tydzień do domu, a już myślą, że są u siebie...” Średniego wzrostu i tuszy, ale dość ciężkiej figury, miał strzechę rudawych włosów obciętych en brosse i grube wąsy tego samego koloru. Mruczając coś pod nosem zszedł na dół i odciągnął zasłony w salonie. Przy przeciwnym krawężniku zazwyczaj pustej ulicy stał jakiś citroen z podniesioną maską, pod którą zaglądało dwóch mężczyzn. Na chodniku leżała rozłożona skrzynka z narzędziami. - Macie teraz za marnowanie benzyny - wymamrotał Philip po drodze do kuchni, zawiązując w pasie swój jedwabny szlafrok. Kilka minut później podobnie ubrana Noelle Berger, niska blondynka o obfitych kształtach, zeszła do salonu w poszukiwaniu papierosa.

- Widzisz dziewczynę? - szepnął Vanek z głową wsadzoną głęboko pod maskę. - To będzie skomplikowane.

- Najlepiej byłoby ją załatwić z dala od domu - odparł Brunner.

- Jeśli w ogóle z niego wyjdzie, cholera. Jest niedziela.

Podczas wojny Robert Philip był zbrojmistrzem Lamparta - człowiekiem zajmującym się zdobywaniem broni i amunicji dla jego oddziału. Zazwyczaj wiązało się to z napadaniem na niemieckie składy amunicji, był więc jednym z ważniejszych ludzi w sztabie komunistycznego przywódcy. Po wojnie zajął się handlem bronią i wkrótce stał się posiadaczem dużej willi oraz sporego konta bankowego.

W tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym, kiedy oddziały Ruchu Oporu na południu budowały ogromne magazyny broni dla potrzeb przyszłej Republique Sovietique du Sud, której utworzenia Lampart był już bliski, Robert Philip skrzętnie kierował część broni do potajemnych kryjówek. Niepowodzenie komunistycznego zamachu przyjął z wielką ulgą. Widząc, że zwycięża de Gaulle, oświadczył, iż całe życie był gaullistą, i przekazał generałowi połowę zawartości swoich skrytek. Drugą połowę zachomikował.

W następnych latach dostarczał broń wszystkim, którzy jej potrzebowali. Fidelowi Castro w jego początkach - korzystając ze związków z komunistami, jakie nawiązał w Lozere; terrorystom EOKA walczącym z Anglikami na Cyprze; kurdyjskim powstańcom wojującym z rządem irackim - każdemu, kogo przycisnęło na tyle, by zapłacił wygórowane ceny za słabej jakości towar. „Prześcignąłem - chwalił się kiedyś towarzyszowi w barze - moich współczesnych.” Jego żona, Yvonne, miała teraz mieszkanie w Paryżu. „Splaciłem ją - lubił mawiać. - Nie uznaję złego traktowania kobiet...” O drugiej po południu opatulona futrem Noelle Berger wyszła z willi, zostawiając Roberta Philipa samego w domu, i przeszła parę kroków, które dzieliły ją od dworca. Citroena, który stał przedtem pod numerem 8, dawno już tam nie było, i jedyną osobą w okolicy był chudy osobnik o kościstej twarzy, gapiący się na wystawę sklepową.

Na dworcu Noelle kupiła powrotny bilet do Strasburga. Nie zwróciła uwagi na mężczyznę, który stanął zaraz za nią i również kupił bilet do tego samego miasta, ale tylko w jedną stronę.

Instrukcje Vanka dla Lanskyego były jasne.

- Nie sądzę, żeby była jego żoną - powiedział. - Wygląda o wiele za młodo. Jeśli wyjdzie, idź za nią - chyba żeby miała walizkę, co by znaczyło, że się wyprowadza. Wtedy zostaw ją...

Noelle Berger postanowiła pojechać do Strasburga na świąteczne zakupy, by dać Philipowi czas na uspokojenie się. Niech się trochę podusi we własnym sosie, myślała, to potem ucieszy się wieczorem, kiedy wróce. W Strasburgu sklepy otwierano o drugiej - by więcej utargować, jako że święta były tak blisko - i Noelle wydała na rue des Grandes

Arcades sporo pieniędzy Philipa. Niech ma, na co zasłużył, powiedziała sobie. Później jednak zmiękla i kupiła mu jasno - żółtą kurtkę. Raz, gdy stała na zatłoczonym chodniku, ktoś omal nie zepchnął jej pod koła autobusu, ale odwróciwszy się, ujrzała za sobą tylko jakąś grubą kobietę. Pod koniec popołudnia udała się, objuczona zakupami, do spokojnej dzielnicy nad rzeką. Dzielnica nazywała się Petite France. Postanowiła przed powrotem do Colmaru wstąpić na herbatę do przyjaciółki. - Na skraju samotnego Place Benjamin Zhia rzeka Il rozdziela się na trzy odnogi, zanim połączy się znowu trochę dalej, i w tym miejscu wodę przecina zawila sieć kładek dla pieszych. Jest tam śluza na zamkniętym kanale, gdzie woda z hukiem przelatuje przez wąski przesmyk, oraz upusty wychodzące spod budynku z tyłu. Łoskot wody jest zupełnie ogłuszający. Noelle poszła na skróty i weszła na kładkę, nie widząc w pobliżu nikogo. W połowie drogi, mimo że nie słyszała nic poza hukiem wody, coś sprawiło, że się odwróciła. Latinsky z uniesionymi rękami stał o krok za nią. Wytrzeszczyła w niedowierzaniu oczy, gdy ręce tamtego chwyciły ją i pchnęły. Krzyknęła, ale jej krzyk zginął w kotłującej się wodzie, która wciągnęła ją i poniosła w stronę Quai des Bateliers.

Jej gwiazdkowe zakupy podskakiwały na powierzchni - wyglądały dziwacznie i jakby uroczyście, zwłaszcza jasnożółta kurtka, która wysunęła się z opakowania.

Dwadzieścia minut później Lansky wsiadał do pociągu, który o siódmej miał go dowieźć do Colmaru. Przy dwóch osobach w jednym domu trudno jest zorganizować przekonujący podwójny „wypadek”.

* * *

Wieczorem w sobotę 19 grudnia Grelle czekał w swoim biurze na powrót Boisseau ze Strasburga, nie siedział jednak z założonymi rękami. Przez większą część dnia pochłonięty był udoskonalaniem środków bezpieczeństwa, które miały być zastosowane podczas przejazdu prezydenckiej kolumny na Lotnisko de Gaullea - zwane też często Roissy - rankiem 23 grudnia, w dniu wyjazdu Floriana do Rosji.

Marc Grelle stał się teraz ekspertem od zabójstw - zarówno od stosowanych metod, jak i ludzi, którzy je stosowali.

Przeanalizował dokładnie trzydzieści jeden zamachów na życie generała de Gaullea.

Lista użytych technik była bardzo długa.

Zabójstwo przez zdalną detonację ładunku wybuchowego pod poruszającym się pojazdem; snajper wyposażony w karabin z celownikiem teleskopowym; zabójstwo z bezpośredniej odległości - przez pchnięcie nożem lub strzał; w przebraniu - przy użyciu skradzionych mundurów policyjnych czy wojskowych; motocyklista doganiający prezydencki

samochód; samobójcza katastrofa powietrzna - jeden samolot wpada na drugi, wiozący prezydenta; zabójstwo przy użyciu aparatu - strzelby czy psów z przywiązаныmi ładunkami, wyszkolonych, by biec do miejsca, w którym miał przemawiać prezydent; wreszcie zasadzka drogowa.

Ta ostatnia metoda była wyraźnie faworyzowana i Grelle rozumiał dlaczego. Zasadzka drogowa była najgroźniejsza, gdyż brali w niej udział świetnie wyszkoleni ludzie, którzy potrafili reagować w ostatnim ułamku sekundy. De Gaulle znalazł się najbliżej śmierci właśnie wtedy, kiedy jego kolumna wpadła w taką zasadzkę.

Z tym katalogiem zamachów w głowie, Grelle zabrał się do rozpracowywania każdego z nich. Gdy jego zastępca wrócił ze Strasburga, też siedział nad tym.

Była dziewiąta wieczór i Boisseau, który od lunchu nie miał nic w ustach, posłał kogoś do brasserie na rogu po coś do jedzenia.

Zjadł potem przy biurku prefekta, zdając jednocześnie relację ze swojej podróży.

- Widzi pan - ciągnął - samobójstwo Jouvela jest technicznie logiczne, nie ma co do tego wątpliwości, a niewielu ludzi potrafi „podrobić” ten rodzaj śmierci. Przeoczyliby pewne szczegóły...

- Może mamy do czynienia z profesjonalnym zabójcą?

- Nie podobają mi się - zauważył Boisseau, maczając kawałek chleba w sosie - ci dwaj faceci, którzy rozmawiali z tą dziwką i zadawali jej prawie identyczne pytania dotyczące Jouvela.

Normalnie nikt go nie odwiedzał, nikt się nim nie interesował. A więc kim byli ci dwaj obcy - nie mówiąc już o tym z parasolem, którego żaden z lokatorów nie rozpoznał?

- Spójrz na fakty - poradził Grelle. - Jouvel z powodzeniem mógł popełnić samobójstwo i ci trzej ludzie prawdopodobnie nie mają znaczenia. Cóż, nie doszliśmy na razie do niczego - ani Roger Danchin, ani Alain Blanc nie kontaktowali się w tym czasie z żadnym znanym nam łącznikiem sowieckim. W tej chwili wszystko jest ślepą uliczką... - Wyjął z szuflady listę świadków sporządzoną przez pułkownika Lasallea i rzucił na nią okiem. - Ale kluczem do całej sprawy może być człowiek, którego nie jesteśmy nawet w stanie umieścić pod nadzorem. Dieter Wohl z Fryburga.

- Mógłby pan zadzwonić do Petera Lanza z BND - zasugerował Boisseau. - On zawsze chętnie nam pomaga...

- Nawet tu, na naszym własnym terytorium, musimy postępować z dyskrecją. Tym bardziej nie mogę wypuścić tego za granicę. - Grelle przeciągnął się i ziewnął. - Boże, ależ jestem zmęczony. Nie, musimy czekać - i mieć nadzieję na jakąś wskazówkę.

Były oficer Abwehry, Dieter Wohl, stał przy oknie swojej zaciemnionej sypialni w piętrowym domu na peryferiach Fryburga, uniwersyteckiego miasta leżącego na skraju Schwarzwaldu, i spoglądał przez pola w stronę zachodu, w stronę Francji, która znajdowała się zaledwie kilka kilometrów dalej, po drugiej stronie Renu. Wspominał.

Miał teraz sześćdziesiąt jeden lat. Gdy patrzył w kierunku Alzacji, na jego ustach pojawił się lekki uśmiech. To wszystko było tak dawno temu. Teraz, dzięki Bogu, po obu stronach Renu panował pokój.

Będąc emerytowanym policjantem i wdowcem, miał mnóstwo czasu, by myśleć o przeszłości.

Tym, co najpierw poruszyło wspomnienia, był nagłówek we „Frankfurter Allgemeine Zeitung” sprzed jedenastu dni, reportaż o próbie zamachu na francuskiego prezydenta. Szokująca sprawa.

Wohla zaintrygowało nazwisko niedoszłego zbrojcy, niejkiej Lucie Devaud. Ciekawe... Tak brzmiało nazwisko kobiety, która zginęła w zatopionym samochodzie, kiedy Lampart wjechał do rzeki.

Po przeczytaniu relacji w gazecie Wohl wydobył z głębi biurka jeden ze swych starych wojennych pamiętników. Prowadzenie pamiętników było kategorycznie zabronione przez regulamin wojskowy, wielu żołnierzy łamało jednak ten zakaz; nawet generałowie i marszałkowie, którzy potem zbijali fortuny, publikując swoje wspomnienia.

Mając mnóstwo czasu, Wohl przeczytał cały swój pamiętnik z tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku. W miarę czytania wszystko do niego wróciło.

Jako gorliwy młody oficer Abwehry, stacjonujący we francuskim departamencie Lozere, Wohl postanowił schwytać Lamparta. Skrupulatnie zbierał i notował każdy strzęp plotki dotyczącej tajemniczego przywódcy Ruchu Oporu: jego pasję do utrzymywania wszystkiego w tajemnicy, znakomitą sieć agentów, agresywnego psa Cesara - wszystko.

Raz - i tylko raz - Wohl był bliski pojmania Lamparta; kiedy otrzymał poufną informację, że jego przeciwnik będzie w określonym czasie jechał pewną wiejską drogą. Za mostem, który Lampart miał przejechać, zastawiono zasadzkę. Gęsty las opadał w tym miejscu stromo na brzeg rzeki i Wohl z lornetką zajął pozycję wyżej, wśród drzew. Zbliżało się południe, gdy dostrzegł pomiędzy drzewami nadjeżdżający z dużą prędkością samochód. Przez lornetkę widział zamazany przez listowie pojazd.

Za kierownicą siedział mężczyzna, a obok niego jakaś dziewczyna, której włosy powiewały z tyłu na wietrze. Kobieta w samochodzie - tego Wohl nie przewidział. Musi być łączniczką, stwierdził. Wyteżył wzrok, by dojrzeć jakieś szczegóły. Był podekscytowany - po

raz pierwszy oglądał Lamparta. Problem polegał na tym, że nie mógł dostrzec jego twarzy - wszystko było zamazane przez zasłonę liści i ruch samochodu. Dojeżdżając do rzeki, komunistyczny przywódca musiałby jednak zwolnić: przed samym mostem był ostry zakręt. A za mostem blokada drogowa.

Lampart jednak nie zwolnił ani trochę. Zawsze jeździł szybko, by utrudnić strzelanie do siebie. Z piskiem opon i w tumanie pyłu samochód minął zakręt. Wspaniała jazda, przyznał Wohl, obserwując to przez lornetkę. Gdy pojazd wynurzył się z chmury kurzu w połowie drogi na most, Lampart musiał dostrzec blokadę. Nie zwalniając wjechał na barierkę, przebił ją i wylądował w rzece, która w tym miejscu miała sześć metrów głębokości. Widząc znikający samochód Wohl nie mógł uwierzyć własnym oczom. Rozległa się spóźniona seria z broni maszynowej.

Spadając samochód przekoziółkował i poleciał dachem do dołu.

Kiedy opadł na dno i woda wdarła się do środka, Wohl był całkiem pewien, że Lampart zginął, ale mimo to wolał najpierw posłać tam swoich żołnierzy. Minęły trzy godziny, zanim wóz naprawczy z dźwigiem wyciągnął samochód na powierzchnię.

Wohl stał na moście, gdy ociekający wodą pojazd ukazał się nad rzeką. Przeżył kolejny szok. W samochodzie nie było ani śladu Lamparta, na przednim siedzeniu znajdowała się tylko młodzianka, może dwudziestoletnia dziewczyna. Po kilku dniach, korzystając z kartoteki odcisków palców policji Vichy, Wohl zidentyfikował ją jako Lucie Devaud. Dokonujący oględzin zwłok lekarz oznajmił oficerowi Abwehry, że niedawno urodziła dziecko.

Wypadek ten sprawił, że członkowie grup Ruchu Oporu na terenie Lozere podzielili się na dwa obozy. Jedni uznawali postępek Lamparta za właściwy: poświęcił wszystko, by zdążyć na umówione spotkanie.

Inni nie byli tacy miłosierni - Lucie Devaud znana była jako odważna łączniczka - i utrzymywali, iż mógł wyciągnąć dziewczynę, gdyby nie był tak zajęty ratowaniem własnej skóry. Później jednak wydarzenia wojenne odsunęły tę sprawę i poszła w zapomnienie, zwłaszcza gdy sam Lampart zginął w Lyonie.

Ponad trzydzieści lat później wszystko to wróciło do Dietera Wohla, kiedy przeczytał w gazecie nazwisko kobiety, która usiłowała zabić Guya Floriana. A teraz sam pisał wspomnienia, więc chciał spróbować nakłonić ludzi, którzy mogliby coś wiedzieć, do odezwania się - potrzebował więcej materiału do swojej książki. W piątek 10 grudnia wysłał list do „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, wspominając o swoim wojennym pamiętniku, i napomknął o niejkiej Annette Devaud, która także była członkiem oddziału Lamparta. Podał

nawet jej ostatni znany adres sprzed trzydziestu lat. Zacytował też zdanie z jednej z prowokujących audycji pułkownika Lasallea: „Kim jest ta Lucie Devaud, która wczoraj wieczorem próbowała zabić pewnego europejskiego męża stanu?” W zakończeniu swojego listu zapytywał:

„Ciekawe, czy Annette Devaud wciąż żyje w Saverne?” Osiągnął swój cel szybciej, niż mógł się spodziewać. We wtorek 14 grudnia jego list został wydrukowany we „Frankfurter Allgemeine Zeitung” i tego samego dnia przeczytał go Paul - Henri le Theule, oficer wywiadu przydzielony do francuskiej ambasady w Bonn.

Trzydziestoosmioletni Le Theule, który po koniec wojny był jeszcze dzieckiem, nic nie wiedział o Lamparcie, ale jego uwagę przyciągnęła krótka wzmianka o pułkowniku Rene Lasalleu. Nie mając lepszego materiału dla swoich zwierzchników, wyciął list i dołączył go do skromnego stosiku, czekającego na dyplomatyczną pocztę do Paryża.

Dostarczono ją tam w sobotę 18 grudnia, ale dopiero w niedzielę rano Roger Danchin, przedzierając się przez stos papierkowej roboty, natknął się na ten wycinek i pokazał go Alainowi Blancowi, który akurat był u niego. Po podyktowaniu notatki dla Pałacu Elizejskiego, Danchin wysłał ją razem z wycinkiem i jeszcze przed lunchem Guy Florian zobaczył oba dokumenty. O trzeciej po południu przybył do pałacu radziecki ambasador Leonid Worin, i po krótkiej rozmowie z prezydentem wrócił szybko do swojej ambasady na rue de Grenelle.

Po powrocie ze Strasburga do Colmaru o siódmej wieczorem w sobotę Lansky poszedł do hotelu Bristol, gdzie znalazł czekających na niego z niecierpliwością dwóch towarzyszy. Kiedy powiedział im, że Noelle Berger nie żyje, Vanek odetchnął z ulgą.

- To oznacza, że Philip jest teraz sam w domu. Musimy jednak przyspieszyć naszą wizytę... - stwierdził.

- Dlaczego? - zapytał Lansky. - W niedzielę późno wieczorem byłoby dużo bezpieczniej...

- Philip wkrótce zacznie się o nią niepokoić - wyjaśnił Vanek. - Jeżeli zostawimy go tak zbyt długo, może zadzwonić na policję.

W czasie pobytu Lanskyego w Strasburgu obaj pozostali mężczyźni kontynuowali zbieranie informacji na temat Roberta Philipa, na zmianę obserwując nr 8 z małego parku leżącego kawałek dalej przy Avenue Raymond Poincare i udając, że karmią ptaki lub czekają na kogoś. Dlatego właśnie uszli uwagi wozu patrolowego, który od czasu do czasu sunął wzdłuż alei i sprawdzał tę samą willę.

O trzeciej po południu rzucając chleb wróblom Vanek zobaczył, że Philip wychodzi z

domu, podchodzi do bramy i opiera się o nią, paląc papierosa. Czech wślizgnął się za drzewo i z pomocą lunety, którą zawsze nosił przy sobie, przyjrzał się Francuzowi z bliska. Między sztachetami dostrzegł, że pod modnym szlafrokiem z wielbłądziej wełny Philip ciągle jeszcze ma na sobie spodnie od pizamy. W niedzielę Francuz rzadko się ubierał, wałęsanie się po domu w nocnym stroju było jego sposobem wypoczyniania. Myślał też, że kiedy Noelle wróci, będzie mu o wiele łatwiej zaciągnąć ją do łóżka, jeśli pozostanie w pizamie. Sam w domu, Philip pożądał swojej ostatniej kochanki.

Zbliżała się dziewiąta, gdy Brunner wszedł po stopniach prowadzących na ganek willi nr 8 i zadzwonił. O tej porze, w niedzielę, pokryta śniegiem Avenue Raymond Poincare była opustoszała i bardzo cicha. Za zasłoniętym wykuszowym oknem na froncie paliło się światło i dzwonienie Brunnera spowodowało szybką, choć ostrożną - reakcję. Boczna zasłona od strony ganku została odchylona i w oknie stanął Philip, wciąż ubrany w szlafrok, z kieliszkiem w dłoni.

Podjejrliwie przyjrzał się Czechowi, po czym opuścił zasłonę. Chwilę później przytrzymywane mocnym łańcuchem drzwi otworzyły się na kilkanaście centymetrów.

- Pan Robert Philip? - zapytał Brunner.

- Tak. O co chodzi?

Philip spodziewał się zobaczyć objuczoną pakunkami Noelle Berger, toteż przybycie nieznajomego trochę go zaskoczyło. Brunner pokazał mu legitymację Surete Nationale, którą nosił przy sobie od czasu wyjazdu komanda z Taboru.

- Surete, proszę pana. Obawiam się, że mam złe nowiny dotyczące pańskiej znajomej. Mogę wejść na chwilę?

Chociaż bardzo zaniepokojony o kochankę, Philip był człowiekiem ostrożnym - nie przetrwałby inaczej tych wszystkich lat wśród handlarzy bronią.

- Nigdy pana nie widziałem - powiedział po chwili. - A tak się składa, że znam prawie wszystkich policjantów w Colmarze...

- To mnie nie dziwi. - Brunner wykonał ręką niecierpliwy gest. - Przeniesiono mnie tu ze Strasburga zaledwie w zeszłym tygodniu...

- Niech pan poczeka, włożę coś na siebie...

Drzwi zatrzasnęły się Brunnerowi przed nosem. Stojąc w hallu Philip zmarszczył brwi, wyczuwając coś zastanawiającego w tym nieznanym gościu. Sięgnął po telefon na bocznym stoliku, ale w tym momencie coś twardego wbiło mu się w plecy przez szlafrok. Jakiś głos powiedział cicho:

- Jeśli piśniesz, zastrzelę cię. Zabierz rękę od tego telefonu i stań twarzą do ściany...

Podczas gdy Brunner rozmawiał z Francuzem w półotwartych drzwiach, Vanek poszedł boczną ścieżką na tył domu. Wcześniej już przebył tę drogę - wkrótce po zapadnięciu zmroku, kiedy Philip zaciągnął zasłony od frontu - i znalazł oszklone drzwi, zamknięte i bez klucza w dziurce. Teraz, używając wytrycha, wszedł do środka i zaskoczył Philipa w hallu. - Nie ruszaj się... - Vanek ponownie przycisnął lufę lugera do pleców Francuza, a następnie odciągnął zasuwę i zwolnił łańcuch we frontowych drzwiach. Brunner wszedł i szybko zamknął drzwi za sobą. - Zarygluj je z powrotem - rozkazał Vanek. - Nikt cię nie widział? Dobra.

Popychając przed sobą Philipa, wszedł po schodach na górę, oddał lugera Brunnerowi i szybko rozejrzał się po piętrze. W sypialniach i.. wszystkie zasłony były zaciągnięte. To, czego szukał - łazienkę - znalazł w głębi, za dużą podwójną sypialnią. Zapaliwszy światło, zbadał ją wzrokiem, po czym skinął głową na Brunnera, który wepchnął Philipa do środka.

- Co się dzieje, do cholery?! - wybuchnął Francuz. - Posterunek jest zaraz za rogiem i...

- Siedziba Police Nationale znajduje się na rue de la Montagne Verte, czyli ponad kilometr stąd - poinformował go spokojnie Vanek. - A teraz rozbieraj się.

- Brat z żoną mają wpaść...

- Dalej!

Brunner wbił mu w plecy lufę lugera. Philip zaczął się rozbierać, zdejmując szlafrok i pizamę, aż stanął przed nimi nagi, gruby i owłosiony. Choć przerażony, zdobył się jeszcze na tyle odwagi, by ponownie zapytać gniewnie, o co chodzi.

- Nie słyszałeś o włamywaczach? - zdziwił się Vanek. - Wiadomo, że człowiek bez ubrania nie będzie biegał po ulicach szukając pomocy - zwłaszcza w taką noc jak ta. A przed wyjściem wyrwiemy kabel telefoniczny. Rutynowa robota. Nie czytasz gazet?

Kazali mu się położyć w wannie i wtedy Brunner odkręcił wodę.

Francuz, z każdą sekundą bardziej przerażony, po raz trzeci zapytał, co się dzieje. Vanek odpowiedział mu:

- Chcemy wiedzieć, gdzie jest sejf. Słyszeliśmy, że masz sejf, i teraz powiesz nam, gdzie on jest.

- Nie ma żadnego sejfu... - Jeśli nam nie powiesz, mój kolega złapie cię za nogi i wciągnie pod wodę...

- Nie ma żadnego sejfu! - wrzasnął Philip.

- Jesteś pewien? - spytał Vanek z powątpiewaniem, celując lugerem w pierś Francuza. Wanna szybko nappełniała się wodą. - Nie chcielibyśmy, żebyś nas okłamywał - ciągnął. - I

bardzo się zdenerwujemy, jeśli przeszukamy dom i znajdziemy...

- Nie ma żadnego sejfu! Pieniądze są w moim portfelu w sypialni - ponad tysiąc franków...

Brunner zakreślił kurki i wbił wzrok w Philipa. Pochylił się, chwycił go mocno za szczękę i przysunął twarz do jego twarzy. Vanek przeszedł na drugi koniec wanny i złapał Francuza w kostkach. Pół siedząc, pół leżąc, Philip napiął mięśnie, przygotowany na to, że go wciągną pod wodę. Wciąż krzyczał, że w domu nie ma sejfu. Nagle poczuł, że ucisk na kostkach słabnie.

- Może on jednak mówi prawdę - powiedział Vanek zrezygnowanym głosem.

Philip rozluźnił się. Szybkim, wściekłym ruchem Brunner szarpnął trzymaną szczęką w górę i do dołu. Tył głowy Francuza z trzaskiem uderzył o wannę. Czech zbadał puls.

- Nie żyje - oznajmił i puścił ciało, które ześlizgnęło się pod wodę; twarz zmieniła się w drgającą plamę.

- Wszystko jest tak, jak trzeba - skonstatował Vanek. - Lekarz potwierdzi, że zginął od uderzenia głową, zanim się zanurzył. Skończmy z tym szybko...

Sprawdził podwójną sypialnię, zaglądając pod łóżko, na toaletkę, do szafy. Brak większej ilości damskiej garderoby potwierdził jego przypuszczenia, że dziewczyna, za którą Lansky pojechał - do Strasburga, była tu jedynie przelotnym gościem. Zabrał się do usuwania śladów jej obecności. Wziął walizkę z wygrawerowanymi inicjałami N. B. I wrzucił do niej ubrania dziewczyny, jej strój nocny, kosmetyki, sześć par butów, pobrudzoną szminką szczoteczkę do zębów z łazienki i dwie chusteczki do nosa z haftowanymi rogami spod poduszki.

Policja i tak znajdzie w domu jakieś ślady po niej, ale gdy nie będzie ubrań, wzruszą tylko ramionami. Ostatnią rzeczą, jakiej Vanek życzyłby sobie w ciągu kilku najbliższych dni, były policyjne poszukiwania zaginionej kobiety. Zamykał właśnie walizkę, kiedy usłyszał, jak Brunner z pomocą wziętej z kuchni patelni rozlewa wodę z wanny na podłogę. Przed zejściem na dół zajrzał do łazienki.

- No i jak? - spytał Brunner.

Mydło, które wrzucił do wanny, rozpuszczało się, woda zaczynała robić się mętna. Robert Philip miał właśnie nieszczęśliwy wypadek.

Stojąc w wannie nadepnął na mydło, poślizgnął się i upadł, uderzając głową o brzeg. Woda przelała się na podłogę, mocząc piżamę i szlafrok.

- Przyniosłem z salonu tę popielniczkę - powiedział Brunner.

Na stołku stała popielniczka z niedopałkiem papierosa, którego Philip palił, kiedy

otwierał drzwi.

- Doskonale - odparł Vanek.

Pamiętając o tym, by zostawić w łazience zapalone światło, zszedł za Brunnerem na dół, z walizką Noelle Berger w ręku, po czym zgasił światło w salonie. Pozostawione na całą noc mogłoby przyciągnąć uwagę.

Wyszli drogą, którą przedtem Vanek wszedł do środka - przez tylne oszklone drzwi. Kiedy znaleźli się na zewnątrz, ponownie zamknęli drzwi wytrychem, a następnie Vanek poczekał w małym parku, aż jego towarzysz sprowadzi Citroëna. Jazda nad Ren zajęła im tylko dwadzieścia minut. Po drodze zatrzymali się na chwilę przy opustoszałej budowie, skąd Vanek wziął kilka cegieł, żeby bardziej obciążyć walizkę. Kilka minut później patrzył, jak porywa ją bystry prąd. Usiadł za kierownicą i o wpół do jedenastej byli już w swoich pokojach w Bristolu, gotowi do snu. Mieli wyruszyć wcześniej rano - by w Niemczech złożyć wizytę Dieterowi Wohlowi.

W poniedziałek rano, w Strasburgu, Alan Lennox obudził się wcześniej, wstał z łóżka w hotelu Sofitel i wziął spod drzwi lokalną prasę, którą zamówił u portiera. Przeczytał ją, siedząc w szlafroku i pijąc kawę, przyniesioną mu przez obsługę. Ledwo zauważył duży nagłówek na pierwszej stronie, szukał bowiem w środku informacji o samobójstwie Leona Jouvela. Okazała się dłuższa, niż się spodziewał; po weekendzie brakowało lokalnych wiadomości. Nie dowiedział się z niej jednak niczego więcej ponad to, co usłyszał od Louise Vallon, asystentki Jouvela - tyle że wymieniono niejakiego inspektora Rochata jako prowadzącego tę sprawę i podawano adres posterunku policji.

Skończywszy kawę i rogaliki, Lennox wziął prysznic, ogolił się i ubrał, a następnie zapłacił rachunek. Z ciężkiego nieba sypał śnieg, gdy brał taksówkę na dworzec, gdzie zostawił w przechowalni swój bagaż. Colmar leżał w odległości tylko trzydziestu minut jazdy pociągiem i Lennox w skrytości ducha miał nadzieję, że uda mu się w jeden dzień odszukać Roberta Philipa i porozmawiać z nim, o ile oczywiście Francuz gdzieś nie wyjechał. Przybył akurat na czas, by wsiąść do odjeżdżającego o 9:15 pociągu do Colmaru. Gdy pociąg opuścił Strasburg i ruszył na południe przez równinę, za którą na zachodzie można było dostrzec Wogezy, Lennox przeczytał artykuł z pierwszej strony, pominięty w hotelu.

Kolejny międzynarodowy kryzys wisiał w powietrzu.!

Dowództwo tureckiej marynarki wojennej w Bosforze otrzymało właśnie sygnał z czarnomorskiego portu rosyjskiego, Odessy, że bardzo duży konwój o kryptonimie K - 12 będzie płynął przez Bosfor i Dardanele w drodze na Morze Śródziemne. Było to zgodne z porozumieniem, według którego Rosja Sowiecka zawsze prosiła o formalne pozwolenie,

zanim wysłała swoje statki przez te kontrolowane przez Turków cieśniny.

Ale kiedy Rosjanie sprecyzowali skład konwoju, tak to wstrząsnęło tureckim dowódcą marynarki, że bez zwłoki zadzwonił do Ankary.

Turecki minister obrony został obudzony w środku nocy i natychmiast zawiadomił kwaterę główną NATO w Brukseli. Uznano za konieczne, by nowiny przedostały się do prasy. Tym, co spowodowało alarm, była wielkość konwoju. Radziecki komunikat wymieniał sześć ciężkich krążowników (w tym cztery przenoszące rakiety), jeden lotniskowiec, dwanaście niszczycieli i piętnaście dużych transportowców. Było to mocno niepokojące. Co takiego mogło przewozić piętnaście transportowców? Dokąd zmierzał ten ogromny konwój?

Gdy pociąg przyjechał do Colmaru, Lennox złożył gazetę i zapomniał o tej sensacyjnej historii. W końcu nie miało to nic wspólnego z jego zadaniem i cała uwaga Anglika skupiona już była na zbliżającej się rozmowie z Robertem Philipem.

Do godziny ósmej wieczorem w sobotę 18 grudnia każdy minister obrony w Europie Zachodniej i Ameryce Północnej otrzymał kopię sowieckiego komunikatu - również Alain Blanc, który poświęcił mu dużo więcej uwagi niż Alan Lennox. Za pięć dni prezydent miał polecieć do Rosji i Blancowi wcale nie spodobała się ta wiadomość.

W niedzielę rano odbył krótką rozmowę z Guyem Florianem. Prezydent miał jednak zupełnie odmienne zdanie na ten temat.

- Z pewnością nigdy nie odważyliby się spowodować światowego kryzysu w przededniu mojej wizyty w Moskwie - powiedział ministrowi. - Za bardzo zależy im na dobrych stosunkach z nami.

Alain Blanc opuścił Pałac Elizejski nie przekonany i jeszcze bardziej zaniepokojony niż przedtem. Dlaczego Florian nabrał nagle takiego zaufania do Rosjan?

Po przybyciu do Colmaru Lennox kupił w dworcowym kiosku przewodnik po mieście i stwierdził, że Avenue Raymond Poincare znajduje się zaledwie kilka metrów od miejsca, w którym właśnie stał.

Gdy ruszył aleją, przeżył nieprzyjemny wstrząs: przed staromodną piętrową willą stały dwa wozy patrolowe, a przy nich umundurowani policjanci. Jeszcze zanim zrównał się z domem po przeciwnej stronie ulicy, już wiedział, że to numer 8. Nie zatrzymując się poszedł dalej.

Było to powtórzenie sceny pod numerem 49 na rue de l'Epine z poprzedniego dnia. Piętnaście minut później, po zatoczeniu koła - by uniknąć powtórnego mijania policjantów przed willą - wszedł do baru hotelu Bristol naprzeciwko dworca.

- Co te policyjne samochody robią na Avenue Raymond Poincare? - zapytał obojętnie,

popijając zamówiony koniak.

Barman aż się palił do udzielenia informacji; w takim małym mieście jak Colmar poczta pantoflowa jest szybka i niezawodna.

Miejscowa gruba ryba, Robert Philip, zmarł w swojej wannie poprzedniego wieczoru. Tragedia wyszła na jaw, kiedy przyszła sprzątaczką i zastała drzwi zaryglowane i zabezpieczone łańcuchem.

- Miała klucz - tłumaczył barman - więc Philip zawsze zaraz po wstaniu zwałniał zasuwę i łańcuch, żeby mogła wejść sama. Policja znalazła go pływającego w wannie. Gość nie będzie już latał za spódnicami...

Lennox zamówił jeszcze jednego drinka, ale barman wiedział niewiele więcej. Poza tym, że policja przyszła do hotelu i zadawała mnóstwo pytań na temat dwóch mężczyzn, którzy spędzili tu dwie noce.

- Mieli Citroëna - opowiadał barman. - Tak twierdzi nocny portier. Ja sam ich nie widziałem. Ale nie widzę związku...

Gdy Anglik wychodził z hotelu, weszło do niego dwóch policjantów, co sprawiło, że postanowił jak najszybciej wyjechać z Colmaru; było raczej pewne, że gadatliwy barman zrelacjonuje im swoją niedawną rozmowę z nieznanym, który właśnie wyszedł. Udał się na dworzec, kupił bilet do Lyonu, po czym wsiadł do pociągu do Strasburga, który właśnie wjechał na peron. Kiedy przyszedł konduktor, okazał swój kupiony wcześniej powrotny bilet do Strasburga. Z trzech świadków, którzy znali Lamparta, został teraz tylko jeden. Dieter Wohl z Fryburga.

W przeciwieństwie do inspektora Rochata ze Strasburga, inspektor Dorre z Colmaru miał tylko czterdzieści lat i nie przyjmował niczego za dobrą monetę. Zadzwoił do Boisseau dwie godziny po tym, jak odkryto śmierć Roberta Philipa, tłumacząc, że od powrotu do domu Philip nie był pod nadzorem, choć oczywiście okolicę rutynowo objeżdżał wóz patrolowy.

- Bardzo brakuje nam ludzi - usprawiedliwiał się - więc nie byłem w stanie zorganizować nikogo do właściwego nadzoru...

Boisseau domyślił się, że po prostu ktoś wyżej postawiony nie okazał się pomocny - ponieważ miał Paryżowi za złe wtargnięcie na ich podwórko. Tym razem nie musiał nawet zadawać żadnych sondujących pytań: Dorre trajkotał jak karabin maszynowy.

- Zgodnie z orzeczeniem lekarza nie ma żadnej wątpliwości, że Robert Philip zginął, gdy poślizgnął się i uderzył głową o krawędź wanny. Był wtedy sam w domu, a nie ma żadnych śladów włamania.

Była tam jakaś kobieta, prawdopodobnie jednak tylko kilka godzin.

Philip był właśnie taki... - Nastąpiła krótka przerwa, po czym Dorre zaczął mówić dalej: - Przepraszam, lecz jestem zaziębiony i musiałem wydmuchać nos. Tak więc, wedle opinii naszych ekspertów, jest to przypadkowa śmierć. Ale ja w to nie bardzo wierzę... Słyszałem, że innego człowieka, którego również kazaliście objąć nadzorem - niejakiego Leona Jouvela - znaleziono powieszzonego w Strasburgu niecałe czterdzieści osiem godzin temu. Moi koledzy zadowolili się wersją, iż Jouvel popełnił samobójstwo. Ale mnie to się wydaje mocno podejrzanе, panie Boisseau - dwóch ludzi, o nadzór nad którymi prosicie, umiera w swoich domach jeden po drugim. Oficjalne orzeczenie - samobójstwo i wypadek. Mówię panu, coś tu musi być nie tak.

- Jeśli jest coś konkretnego... - zaczął Boisseau, lecz nie dano mu dokończyć.

- Przepraszam, panie dyrektorze, ale nie skończyłem jeszcze.

Pewna kobieta, która dobrze знаła Roberta Philipa, przejeżdżała wczoraj rano przed jego willą i zauważyła niebieskiego citroena zaparkowanego po drugiej stronie ulicy. Dwaj mężczyźni usiłowali naprawiać go, ale ona sądzi, że obserwowali dom Philipa. Doniosła mi o tym, gdy zobaczyła dziś rano wozy patrolowe przed willą.

Myślała, że było tam jakieś kolejne włamanie...

- Numery rejestracyjne...? - Zdołał wtrącić Boisseau.

- Niestety nie, ale jeszcze nie skończyłem. Przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić wszystkie miejscowe hotele, i dowiedzieliśmy się, że w sobotę, o wpół do dziesiątej wieczorem, dwóch mężczyzn przybyło do hotelu Sofitel, położonego najbliżej dworca. Jest on zaledwie parę metrów od willi zmarłego Roberta Philipa. Przyjechali niebieskim citroenem i mamy jego numery rejestracyjne. Właśnie je rozsyłamy.

Rysopisy obu mężczyzn też. To może nie mieć żadnego związku, ale mnie ta śmierć wcale się nie podoba.

- Gdyby to nie był wypadek... - odezwał się Boisseau - musiałyby to być robota wysoce wykwalifikowanych profesjonalistów.

- Właśnie, to by musieli być wyszkoleni zabójcy - oświadczył Dorre - bo jeśli mam rację, śmierć Leona Jouvela również była zaaranżowana. Niech pan nie sądzi, że próbuję się czepiać, usiłując z każdego wypadku zrobić zbrodnię, ale powtarzam, dwóch ludzi objętych nadzorem, którzy umierają jeden po drugim - to nie wygląda zbyt dobrze. Interesująca jest także geografia, prawda?

- Geografia...?

- Ze Strasburga do Colmaru nie jest daleko. Dam panu znać, jak tylko dostaniemy informację na temat tego citroena... Jadąc szybko, ale nie przekraczając dozwolonej

prędkości, Vanek dotarł na Boulevard de Nancy w Strasburgu o dziewiątej rano, godzinę przed tym, zanim inspektor Dorre puścił w obieg numery rejestracyjne ich samochodu. Oddał Citroëna w oddziale Hertza i poszedł do restauracji, gdzie wcześniej zostawił Brunnera i Lanskyego.

- Korzystaliśmy już z tego wozu dosyć długo - oznajmił towarzyszom - a dwie wizyty przy użyciu jednego środka transportu to więcej niż wystarczająco.

Nie pozwalając im dokończyć drinków wyprowadził ich na zewnątrz, gdzie znowu się rozdzielili. Vanek i Brunner wzięli taksówkę na dworzec, a Lansky pojechał za nimi swoim samochodem. Na dworcu spotkali się, ale bilety kupili osobno. Lansky wsiadł do pociągu, położył torbę na półce i zapalił papierosa. Pozostali dwaj mężczyźni poszli do innego wagonu. Piętnaście minut później pociąg przejechał Ren i zatrzymał się w Kehl. Sowieckie Komando dotarło do Niemiec.

* * *

Poniedziałek był złym dniem dla Lennox. Po powrocie do Strasburga, gdy zamierzał odebrać walizkę z przechowalni, a potem pojechać innym pociągiem do Niemiec, natychmiast dostrzegł oznaki wzmożonej aktywności policji. Kiedy wysiadał z pociągu, na peronie stał umundurowany policjant, który przyglądał się badawczo wszystkim pasażerom zmierzającym do schodów.

W głównej hali było więcej policjantów - Lennox był pewien, że niektórzy w cywilu - a przy przechowalni stało dwóch żandarmów, sprawdzających dokumenty ludzi odbierających bagaże. Anglik oddalił się i wszedł do oszklonej kawiarni wychodzącej na Place de la Gare.

Usiadł za stołem i zamówił kawę. Pijąc kawę obserwował dworzec.

To, co zobaczył, nie dodawało otuchy.

Przyjechała kolejna furgonetka policyjna, z której wysypało się do hali dworcowej następnych, kilkunastu policjantów. Energiczny inspektor Dorre z Colmaru skontaktował się wcześniej ze swoimi strasburskimi kolegami - odnaleziono już w wypożyczalni Hertza na Boulevard de Nancy Citroëna - i zwierzchnicy Rochata, którzy doszli do wniosku, że popełnili przedtem błąd, byli teraz gotowi do współpracy. Porzucenie samochodu prowadziło do logicznego wniosku, że jego niedawni użytkownicy muszą teraz podróżować pociągiem albo samolotem. Uruchomiono wszystkie siły do obserwacji dworca kolejowego i pobliskiego lotniska. Ale sieć zarzucona na Sowieckie Komando zagrażała również Lennoxowi.

Prześlizgnięcie się przez granicę z fałszywymi papierami to jedno; ryzykowanie

dokładnej kontroli podczas takiej zmasowanej akcji policyjnej to już jednak zupełnie inna para kaloszy. Zapłaciwszy za kawę, Lennox przeszedł przez Place de la Gare na dworzec autobusowy, gdzie wskoczył do pierwszego autobusu, jaki mu się nawinął. Autobus jechał do Haguenau, miejsca, o którym Anglik nigdy nie słyszał, na wszelki wypadek kupił więc bilet do końca trasy. Ryzyko wyjazdu do Niemiec mógł podjąć najwcześniej następnego dnia; wszelkie tego typu obławy są najostrzejsze w ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin.

Problemem był też nocleg - kiedy policja kogoś szuka, sprawdza każdy hotel w bliższej i dalszej okolicy.

Złapał późny powrotny autobus z Haguenau i pierwszą rzeczą, jaką zauważył po wyjściu na Place de la Gare, był rząd policyjnych furgonetek stojących przed dworcem. Przeglądając rano gazetę w poszukiwaniu relacji ze śmierci Leona Jouvela, zauważył wzmiankę o całonocnej sesji Parlamentu Europejskiego, odbywającej się w mieście.

Zjadł kolację w restauracji na jakiejś bocznej ulicy, po czym pojechał taksówką do budynku parlamentu. Dzięki dokumentom przedstawiającym go jako reportera, wpuszczono go do środka bez zbędnych pytań. Rozsiadł się w galerii prasowej na własną całonocną sesję.

Przed wyjściem z hotelu poszedł jeszcze do toalety i ogolił się przyborami kupionymi w Haguenau; nie byłoby roztropną rzeczą prezentować nie ogoloną fizjonomię w dostojnych murach mównicy Europy. Ten środek ostrożności okazał się jednak niepotrzebny - w galerii prasowej było niewielu innych reporterów. Debata ciągnęła się w nieskończoność, Lennoxowi udawało się więc od czasu do czasu urwać jakąś godzinę na sen. Rano jeszcze raz miał przekroczyć Ren i przejść do Republiki Federalnej Niemiec. yyy138 inspektor Jacques Dorre zaalarmował w końcu Marca Grellea.

Kiedy Boisseau zrelacjonował prefektowi swoją rozmowę z Colmarem, ten osobiście zadzwonił do Dorre, który miał już więcej informacji.

Powiedział Grelleowi, że citroen, którym dwóch mężczyzn przyjechało do hotelu w Colmarze, został oddany do oddziału Hertza w Strasburgu.

- Tak - powiedział następnie - rysopis tego człowieka, który zwrócił samochód, zgadza się z rysopisem jednego z dwóch mężczyzn nocujących w hotelu Bristol osiemnastego i dziewiętnastego grudnia - a dziewiętnastego Robert Philip umarł w swojej wannie...

- Jeżeli ci dwaj, Jouvel i Philip, zostali zamordowani - podsunął Grelle - musi to być robota zawodowca. Żaden amator nie mógłby tak przekonująco podrobić obu zgonów, zgadza się pan?

- Zgadzam się - odparł Dorre. - Ale wygląda na to, że mamy do czynienia z ruchomym zespołem co najmniej dwóch zabójców - może trzech...

Grelle mocniej ścisnął słuchawkę.

- Jak pan do tego doszedł? - zapytał.

- Osobiście sprawdziłem rejestr w Bristolu. Dziesięć minut po tym, jak Duval i Bonnard się wprowadzili, jakiś trzeci mężczyzna, Lambert, też wziął pokój. Nie ma nic, co by łączyło tych trzech - poza faktem, że wszyscy przyjechali wieczorem osiemnastego i wyjechali rano dwudziestego, czyli dzisiaj. A o tej porze roku hotel jest prawie pusty...

Grelle podziękował mu za współpracę i odłożył słuchawkę.

- Może być jakaś grupa zabójców poruszająca się po Alzacji - powiedział do Boisseau.

- To wszystko teoria, ale gdyby okazała się prawdą, to kim oni, do cholery, mogliby być?

- Przypuszczalnie tylko Lasalle i ten Anglik, Lennox, mają listę - zauważył Boisseau. - Ale Lasalle nie załatwia przecież chyba własnych świadków? Jedyne, co miałyby sens, to gdyby robił to ktoś zatrudniony przez Lamparta: - Lampart nie może mieć listy...

Grelle urwał i obaj mężczyźni wpatrywali się w siebie w ciszy.

Godzinę później niestrudzony Dorre połączył się z nimi ponownie.

Wyjaśnił, że współpracuje ze swymi strasburskimi kolegami i na jego sugestię Rochat zaczął sprawdzać wszystkie hotele w mieście. Szybko wytropiono nazwiska Duval, Bonnard i Lambert. Noc w piątek, 17 grudnia, dwaj pierwsi spędzili w Sofitelu, Lambert natomiast w hotelu Terminus. A wieczorem 18 grudnia Leon Jouvel się powiesił.

- Tak więc - powiedział Dorre - ci sami trzej ludzie, ich rysopisy, chociaż niezbyt precyzyjne, zgadzają się, przyjechali następnie tu, do Colmaru, i byli w mieście, gdy zmarł Robert Philip.

- To jest to! - zawołał Grelle. - Kiedy nadejdą pańskie trzy rysopisy, roześle je po całej Francji. Mamy też ich nazwiska. Chcę mieć to trio zatrzymane i przesłuchane, gdy tylko wypłynie na powierzchnię...

O szóstej wieczorem 20 grudnia we Fryburgu było już ciemno. Dieter Wohl stał wyglądając pomiędzy zasłonami swojej równie ciemnej sypialni. Czuł się bardzo dobrze w ciemności, co było chyba pozostałością z czasów wojny, kiedy to często obserwował podejrzany dom zza okna pogrążonego w mroku pokoju. Wohl nie należał do ludzi strachliwych, chociaż mieszkał sam w swoim piętrowym domu, stojącym samotnie przy drodze, trzy kilometry za Fryburgiem - w tej chwili jednak był zaintrygowany. Dlaczego jakiś samochód stanął prawie przed samym jego domem i stał tam do tej pory?

Poprzedniej nocy zmieniła się pogoda; śnieg stopniał, temperatura wzrosła i teraz niebo pokryte było chmurami, przez które przeświecał księżyc, oświetlając pustą wiejską drogę i drzewa na polach za nią.

Większość ludzi nie usłyszałaby przyjazdu tego samochodu, ale Wohl, eks - policjant - wstąpił do służby po wojnie - miał koci słuch.

Czarny mercedes SL 230, zauważył w świetle księżyca. Jeden człowiek siedział za kierownicą, podczas gdy dwaj pasażerowie udawali, że oglądają silnik. Dlaczego przyszło mu do głowy, że udawali? Ponieważ, choć maska była podniesiona, wciąż zerkali na jego dom i rozglądali się dookoła, jakby badając teren. Ich spojrzenia były przelotne - tak przelotne, iż prawdopodobnie tylko równie doświadczony obserwator jak Wohl mógł je zauważyć.

- Ponosi mnie wyobraźnia - wymamrotał.

Jeden z mężczyzn odszedł od samochodu na pole ciągnące się wzdłuż domu, z ręką przy rozporku. Poszedł się tylko wysikać, zdecydował Wohl. Wciąż nie zapalając światła, Niemiec przeszedł do bocznej sypialni, gdzie zasłony nie były zaciągnięte. Trzymając się w głębi pokoju, obserwował stojącego pod żywoplotem mężczyznę. Wszystko było doskonale niewinne, poza tym że tamten zerkał ciągle na ogród za domem i ścianę willi. Ukryty w cieniu Wohl poczekał, aż mężczyzna skończy i wróci do samochodu. Po chwili obaj pasażerowie zamknęli maskę i wsiedli do mercedesa. Niemiec patrzył z sypialni na frontie, jak kierowca zapala. Silnik zaskoczył za pierwszym razem i odjechali w stronę Fryburga. Chyba się starzeję, pomyślał Wohl, i widzę podejrzaną rzecz tam, gdzie ich nie ma. Zszedł na dół, by popracować nad swoimi wspomnieniami. Pół godziny później zadzwonił telefon.

- Herr Wohl? Herr Dieter Wohl? Dobry wieczór. Tu Instytut Badań Morgenthau. Jesteśmy organizacją badań rynku i przeprowadzamy ankietę w związku z kampanią na rzecz zwiększenia państwowych emerytur. Został pan wybrany...

Ankieter, człowiek nazwiskiem Bruckner, pytał o sytuację finansową Wohla, zanotował, że jest on samotnym wdowcem, właścicielem domu, że nigdy nie wyjeżdża na wakacje oraz odpowiedzi na wiele innych stosownych pytań. Podziękowawszy wylewnie Wohlowi dzwoniący powiedział, że być może będzie chciał go odwiedzić, ale przedtem umówi się telefonicznie. Czy któryś z trzech najbliższych wieczorów odpowiadałby? Tak? To doskonale...

Po odłożeniu słuchawki Wohl wrócił do biurka w salonie i zabrał się z powrotem do żmudnej pracy nad wstępem do swoich wspomnień.

Nie mógł się jednak skoncentrować; jego podejrzliwy umysł wciąż powracał do niedawnego telefonu.

Zaledwie osiem godzin wcześniej Vanek zadzwonił z Kehl pod specjalny numer w Paryżu, który dostał od swojego instruktora Borisowa. Codziennie, od przyjazdu z Monachium - oprócz niedzieli w Colmarze - dzwonił z poczty pod ten numer, lecz nie

przekazywano mu żadnych nowych instrukcji. Telefonując z Kehl spodziewał się tego samego. Słyszając z drugiej strony ten sam głos co zwykle i nazwisko Jurgensen, Vanek przedstawił się:

- Mówi Salicetti...

- Jest pewne poszerzenie umowy - powiedział szybko tamten. - W oddziale we Fryburgu musicie odebrać wojenny pamiętnik i rękopis wspomnień klienta. Jasne?

- Jasne...

- Potem musicie złożyć wizytę innemu klientowi - zapisz adres.

Niejaka madame Annette Devaud, Saverne... - Jurgensen przeliterował nazwę miasta. -
To w Alzacji...

- Tylko tyle? Bardzo mglisty adres...

- To wszystko, co mamy. Do widzenia!

Vanek spojrział na zegarek. Rozmowa trwała zaledwie trzydzieści sekund. Zupełnie spokojny podczas tej wymiany zdań, zaklął teraz pod nosem, patrząc z budki na ludzi stojących w kolejce po znaczki.

„Poszerzenie umowy” ani trochę nie przypadło mu do gustu - oznaczało, że po wizycie we Fryburgu będą musieli ponownie przekroczyć granicę z Francją. A był już 20 grudnia, co dawało zaledwie 72 godziny na dokończenie całego zadania.

Alan Lennox przyjechał do Kehl we wtorek 21 grudnia rano. Na strasburskim dworcu nie było już tylu policjantów. Po początkowym wybuchu aktywności - który nie przyniósł żadnych rezultatów - niechęć miejscowej policji do Paryża z powodu mieszania się w lokalne sprawy ponownie dała o sobie znać. A kiedy ogłoszono antyterrorystyczny alarm na lotnisku w Strasburgu, który okazał się zresztą bezpodstawny, przerzucono tam szybko większość ludzi i nadzór nad dworcem kolejowym ograniczono do minimum.

Lennox odebrał bagaż z przechowalni i wszedł do pociągu. Bez kłopotów przeszedł przez kontrolę graniczną - nikt nie szukał człowieka nazwiskiem Bouvier - i dotarł do Kehl. Natychmiast zadzwonił do Petera Lanza pod specjalny boński numer i opowiedział szefowi BND o wszystkim, co się wydarzyło.

- Obaj francuscy świadkowie zmarli nagle w przeciągu dwudziestu czterech godzin. Jeden z nich częściowo zidentyfikował naszego człowieka... Ale tylko na podstawie głosu, podkreślam... jako Guya Florianiana.

Lanz zapytał:

- Czy uważasz, że można na nim polegać? W końcu mamy inne zeznania...

- Nie wiem - odparł Lennox.

- Co teraz zrobisz?

- Trzeci świadek mieszka we Fryburgu - nie wspominałem o tym wcześniej, ale teraz jadę się z nim zobaczyć. Tak, to jeden z twoich rodaków. Nie, wolałbym nie wymieniać nazwiska...

- W takim razie - stwierdził Lanz - dziś wieczorem sam też będę we Fryburgu. Będziesz mógł się ze mną skontaktować w hotelu Colombi. Uważaj na siebie. Franz Hauser, niedawno obrany kanclerzem Republiki Federalnej Niemiec, zgodził się przyjąć Petera Lanza w pałacu Schaumburg o jedenastej wieczorem, czyli zaledwie godzinę po telefonie Lennox z Kehl. Zapracowany Hauser rzadko kładł się spać przed północą.

Poprosił niedawno Lanza, by przeniósł swoją tymczasową kwaterę z Pullach w Bawarii do Bonn. „Przy takim rozwoju sytuacji w Europie potrzebuję pana w zasięgu ręki” - oznajmił szefowi BND.

Hauser został wybrany dzięki obietnicy, że podejmie najostrożniejsze środki przeciw terrorystom, którzy stanowili plagę Niemiec. Uważał, że skoro Amerykanie wycofali się z Europy, kontynent sam musi się bronić. „Razem z naszymi przyjaciółmi, Francją, Wielką Brytanią i innymi sprzymierzeńcami musimy zbudować taką siłę, żeby dowódcy Armii Czerwonej wiedzieli, iż Europa może być tylko ich cmentarzem, jeśli kiedykolwiek popełnią ten błąd i przekroczą granice...” - twierdził.

Punktualnie o jedenastej Lanza wprowadzono do gabinetu kanclerza. Hauser, który nie cierpiał etykiety, obszedł swoje biurko, by usiąść obok szefa służby bezpieczeństwa.

- Czy są jakieś informacje od tego Anglika? - zapytał.

Gdy Lanz wyjaśniał, co się stało, drobna, czujna twarz kanclerza zmarszczyła się w koncentracji.

- Jeśli to jest związane z przemieszczaniem się sowieckiego konwoju K - 12 - zauważył - możemy być w przededniu katastrofy.

Rosjanie uderzą, zanim uda nam się dokończyć budowanie naszego systemu obronnego...

- Panie kanclerzu - zaprotestował Lanz - chyba pan nie wierzy, że Florian mógłby być tym szefem komunistycznego Ruchu Oporu, tym Lampartem?

- Nie, to rzeczywiście niemożliwe - zgodził się Hauser. - Ale może nim być jeden z jego ministrów. Do tego dochodzi fakt, że ciała Lamparta nie znaleziono, kiedy jego grób pod Lyonem został otwarty.

A propos, jak się pan o tym dowiedział?

- Kontakt, który mamy po drugiej stronie Renu...

- W porządku; niech pan zachowa dla siebie swoje tajemnice. Ale niepokoją mnie pogłoski o zamachu stanu w Paryżu. Zakładając, że Lampartem jest Alain Blanc, minister obrony narodowej, możemy przypuszczać, że planuje przejęcie władzy w czasie pobytu Floriana w Moskwie...

- Nie przyszło mi to do głowy - przyznał Lanz.

- Jeśli Moskwa współpracuje z Lampartem, to czyż nie mogli zaprosić Floriana do Moskwy, by usunąć go z drogi, gdy Lampart będzie przejmował Francję? - zauważył Hauser.

- Dlaczego ten sowiecki konwój płynie teraz na Morze Śródziemne? Potrzeba nam więcej informacji, Lanz. Natychmiast!

Po przybyciu do Fryburga Lennox zostawił bagaż na dworcu, sprawdził w książce telefonicznej, czy Dieter Wohl wciąż mieszka pod podanym na liście adresem, a następnie zadzwonił do niego. Przedstawił się jako Jules Jean Bouvier, reporter francuskiej gazety „Le Monde”. Miała ona zamiar rozpocząć cykl artykułów na temat francuskiego Ruchu Oporu, ze szczególnym uwzględnieniem operacji w Lozere. Dziennikarz wiedział, iż Herr Wohl służył w czasie wojny na tym terenie, więc...

Wohl początkowo się wahał, potem jednak przyszło mu do głowy, że odrobina reklamy nie zaszkodzi, więc się zgodził.

Lennox wziął taksówkę do leżącego na peryferiach domu byłego oficera Abwehry. Gospodarz czekał na niego w drzwiach. Będąc człowiekiem ostrożnym, posadził gościa w salonie i poprosił o jakiś dowód tożsamości.

- Każdy może sobie wydrukować legitymację prasową - powiedział beznamiętnym tonem, gdy Lennox pokazał mu swoje dokumenty.

Pół godziny zajęło Anglikowi zdobywanie zaufania Niemca. Kiedy wspomniał o Lamparcie, dostrzegł błysk w oczach Niemca.

- Na tym właśnie się koncentruję - powiedział Wohl. - Uważam to za wspaniały materiał: tajemnica otaczająca prawdziwą tożsamość Lamparta. To chyba nigdy nie zostało wyjaśnione, prawda?

Podszedł do biurka, na którym obok zniszczonego, oprawionego w skórę pamiętnika leżała część rękopisu. Potem opowiedział Lennoxowi o wszystkich swoich staraniach, jakie podejmował w czterdziestym czwartym roku, by schwytać przywódcę Ruchu Oporu.

Lennox zapisał kilkanaście stron swego notatnika i stwierdził, że Niemiec właściwie nie posiada żadnych istotnych informacji. Lecz Wohl napomknął nagle o zasadzce na Lamparta i podał nazwisko dziewczyny, która zginęła w zatopionym samochodzie. Lucie Devaud.

- To była paskudna sprawa - stwierdził. - Tak zostawić tę dziewczynę... Wóz był pod sześcioma metrami wody, a moi ludzie stali w pewnej odległości od mostu. Jestem przekonany, że Lampart mógł ją uratować, gdyby tylko spróbował. Ale nie spróbował...

- Lucie Devaud - powtórzył Lennox. - Tak się nazywała kobieta, która usiłowała zabić Guya Floriana. Czy to ma ze sobą jakiś związek?

- Sam się nad tym zastanawiałem - powiedział Wohl. - Annette Devaud była bardzo blisko Lamparta - kierowała jego grupą kurierów. O ile wiem, wkrótce po wojnie oślepla.

Lennox siedział bez ruchu, nie odzywając się. Lasalle wspomniął o Annette Devaud, potraktował ją jednak jako osobę bez znaczenia z powodu ślepoty. Czy możliwe, żeby Francuz się pomylił? Jeśli Annette rzeczywiście była tak bliską współpracownicą Lamparta...

- W zeszłym tygodniu napisałem do „Frankfurter Allgemeine Zeitung” - mówił dalej Wohl - i napomknąłem o przypadku utopionej dziewczyny. Nadmienilem też o tym, że inna Devaud - Annette - która miała do czynienia z Lampartem, wciąż może jeszcze żyje we Francji.

Podąłem nawet jej ostatni znany adres, czego chyba nie powinienem robić. Oto on: Annette Devaud, Farma Drwała, Saverne, Alzacja. To było dawno temu, ale niektórzy Francuzi pozostają w jednym miejscu na zawsze... - Wohl pokazał Anglikowi adres zapisany na końcu pamiątnika i kilkakrotnie podkreślony. - Żyję tu całkiem sam - powiedział przeproszającym tonem - i czasem przychodzą mi do głowy śmieszne pomysły. Zaledwie wczoraj myślałem, że jacyś ludzie obserwują mój dom.

A potem był ten niedorzeczny telefon z Instytutu Badań Rynku...

Mówił dalej, a Lennox uważnie słuchał.

Właściwie Wohl nie przykładał do tego wagi, ale po tym, co się stało w Strasburgu i Colmarze, zastanowiło mnie to - stwierdził Lennox.

O czwartej po południu spotkał się z Peterem Lanzem w pokoju hotelu Colombi we Fryburgu, wkrótce po przylocie szefa BND z Bonn, i opowiadał teraz Niemcowi o swojej rozmowie z Dieterem Wohlem. Wcześniej Lanz powiedział mu o otwarciu grobu Lamparta w lesie pod Lyonem i o tym, że francuska policja znalazła w trumnie przywódcy Ruchu Oporu szkielet psa.

- To właśnie wywołało alarm i poczucie zagrożenia - wyjaśnił urzędnik BND. - Wygląda na to, że jednak Lasalle miał rację. Gdzieś w Paryżu blisko Floriana pracuje jakiś wysoko postawiony komunista, i może tylko czeka, aż prezydent opuści stolicę jadąc do Moskwy...:

- Przypuszczam, że to poufne - ta informacja o ekshumacji Lamparta? - zaryzykował

Lennox.

- Poufne - odparł Niemiec.

Nie uznał za stosowne wyjaśnić Lennoxowi, że to właśnie pułkownik Lasalle przekazał mu tę informację. Sam zresztą nie domyślał się nawet, skąd pułkownik o tym wiedział. Prawda wyglądała tak, że Georges Hardy, prefekt policji lyońskiej i bliski przyjaciel Marca Grellea, od jakiegoś czasu gwałtownie nie zgadzał się z polityką Guya Florianana i potajemnie dostarczał Lasalleowi informacji na temat wydarzeń we Francji.

Lennox zrelacjonował Lanzowi swój wywiad z Wohlem i na koniec przedstawił wypadki z poprzedniego dnia, które tak zaintrygowały byłego oficera Abwehry.

- Patrzył wczoraj wieczorem przez okno sypialni i zobaczył, jak ten samochód zatrzymuje się przed domem - mówił Lennox. - Przypomniało mi to o człowieku, którego widziałem wtedy w Strasburgu, jak śledził Leona Jouvela. Ale chyba to niemożliwe, by ktoś trzymał Dietera Wohla pod obserwacją? Potem jednak był ten dziwny telefon. W końcu przecież dwóch ludzi z listy Lasallea nagle zmarło.

A tam, gdzie mieszka Wohl, jest cholerne pustkowie...

- Jeśli jakimś sposobem masz rację - powiedział Lanz - to mógłby to być punkt zwrotny. Kiedy dopadniemy kogoś próbującego usunąć Wohla, może będziemy mogli się dowiedzieć, kto stoi za tą całą sprawą.

- To bardzo krucha nadzieja - ostrzegł go Lennox.

- Cóż innego nam pozostało? - spytał Lanz. Zdawał sobie sprawę, że chwytą się brzytwy, ale kanclerz Hauser zażądał natychmiastowych i pewnych informacji. Z hotelowego pokoju zadzwonił do szefa policji Fryburga. wynajęty w Kehl mercedes SL230 zatrzymał się przy krawężniku niedaleko fryburskiego dworca. Zapaliwszy papierosa, Vanek obserwował ludzi wysiadających z pociągu. Wraz ze zbliżającym się końcem misji Czech stał się nieufny wobec hoteli i poprzednią noc trzej mężczyźni spędzili w samochodzie na skraju Schwarzwaldu, owinięci w podróżne koce, które kupili w mieście. Po Brunnerze i Lanskym widać było ślady ich zaimprovizowanego nocnego odpoczynku, ale Vanek, który mógł się obyć nawet krótką drzemką, wyglądał równie świeżo jak tamtego ranka, gdy przekraczali granicę czeską w Gmund.

- Nie musimy niczego więcej się dowiadywać. Nie mamy na to zresztą czasu - oznajmił Vanek. - Wohl mieszka sam, w dodatku na odludziu. Wiemy, że każdego wieczoru jest w domu. Złożymy mu wizytę dziś wieczorem.

Inspektor Gruber z fryburskiej policji podjął wszelkie możliwe środki ostrożności: nie wiedząc, co się może stać, choć na pół przekonany, że jednak nic się nie stanie, zmontował

wspaniałą akcją. Dwudziestu ludzi, wszyscy uzbrojeni w broń maszynową, otoczyło dom Dietera Wohla luźnym kordonem - by ten, kto będzie chciał się dostać do domu, wślizgnął się do sieci, zanim ją zacisną. Obserwacja musiała więc być prowadzona z pewnej odległości i najbliższy policjant stał ponad sto metrów od budynku.

Sześciu ludzi trzymano z tyłu jako specjalną siłę rezerwową, ukrytych w ciężarówce na polu pod drzewami. Łączność była doskonała; każdy wyposażony był w krótkofalówkę, która zapewniała mu kontakt z ciężarówką kontrolną, stojącą pół kilometra w stronę Fryburga. Siedzieli w niej: szef BND, Lennox, inspektor Gruber oraz technik łącznościowy; aparat nadawczo - odbiorczy ustawiony na stole łączył ich z krótkofalówkami poszczególnych członków zespołu.

Gruber wypuścił też kilku ludzi z nocnymi lornetkami, do bezpośredniej obserwacji posiadłości. Jego rozkazy były wyraźne: mieli pozwolić każdemu, kto by się zbliżał, dojść do domu, a następnie zacisnąć pętlę. Miano też przepuszczać cały ruch samochodowy na drodze. Ustawienie punktów kontrolnych byłoby bezużyteczne: nie wiedzieli przecież, na kogo czekają i czy w ogóle jest na kogo czekać.

- Naprawdę myśli pan, że ktoś przyjedzie i zaatakuje Wohla? - zapytał w pewnym momencie Gruber.

- Nie mam pojęcia - przyznał Lanz. - Jak panu tłumaczyłem, za tą operacją może kryć się coś innego.

- Jakiś gang miejski? - naciskał Gruber.

- Może...

Czekali, aż zapadnie noc i nagie drzewa rozplyną się w ciemności.

Wraz z jej nadejściem szybko opadła też temperatura. Potem znad Renu napłynęły ogromne zwały mgły, przetaczając się falami przez pola i jakby jeszcze gęstniejąc w miarę zbliżania się do domu Wohla.

Wkrótce człowiek stojący najbliżej willi znalazł się w kłopotach.

Wszystko, co widział, było zwodnicze, trudne do zidentyfikowania.

Lennox, który zaczynał się niepokoić, oznajmił, że idzie się rozejrzeć.

Lanz wręczył mu dziewięć - milimetrowego lugera.

- Jeśli się upierasz, by polować na zewnątrz, lepiej weź to ze sobą.

Drogą przejechało już wiele samochodów i cystern; mijanie przez każdego z nich odcinka pod nadzorem było potwierdzane przez obserwatorów na obu jego krańcach. Lanz i Gruber bardzo pilnowali tych meldunków - zwłaszcza od czasu nadejścia mgły.

- Jeśli któryś z tych samochodów nie wyjedzie na drugim krańcu, będziemy musieli

cholernie się spieszyć - zauważył Gruber.

Lanz spojrział na zegarek.

- Zaczynam mieć nadzieję, że nikt nie przyjedzie - powiedział. - Ale nie powinniśmy zostawiać Wohla w pułapce.

Gruber potrząsnął głową.

- Wohl sam tak zdecydował, gdy zasięgał się jego rady. Niech pan pamięta, że to stary policjant...

Zbliżając się do Fryburga od strony południowej, Vanek wolno prowadził wynajętego w Kehl czarnego mercedesa. Przed nimi jechały w konwoju dwa inne samochody. Kilkakrotnie mógł je wyprzedzić i Brunner uważał, że powinien to zrobić.

- Jeśli są tu gdzieś w pobliżu wozy patrolowe - powiedział Vanek - to istnieje mniejsze prawdopodobieństwo, że zatrzymają trzy samochody podróżujące razem. Zawsze interesują ich samotne wozy.

Powiedział mi to kiedyś pewien policjant w Paryżu.

- Nadciąga mgła - stwierdził Brunner.

- Lubię mgłę. Sprawia, że ludzie tracą orientację.

- Myślę, że jesteśmy już blisko. Pamiętam tę starą stodołę, którą właśnie minęliśmy.

- Jesteśmy blisko - zgodził się Vanek. wjeżdżają trzy samochody - zameldował policjant z nocną lornetką na południowym krańcu odcinka. - A przynajmniej wydaje mi się, że były trzy. Mgła jest tak gęsta, że zupełnie nie mogłem rozpoznać ich marek.

- Trzy czy nie? - spytał Gruber. - Mówiłem wam, że musicie być dokładni, inaczej cała operacja staje się bezcelowa.

- Prawdopodobnie dwa...

- Prawdopodobnie? - krzyknął przez nadajnik Gruber. - Pytam cię jeszcze raz. Ile pojazdów wjechało do sekcji? Pomyśl!

- Dwa - odparł policjant. właśnie coś przejechało - zameldował człowiek na północnym krańcu odcinka. - Cholernie trudno cokolwiek zobaczyć. Więcej niż jeden samochód...

Gruber spojrział na Lanza, a potem wzniosł oczy ku dachowi ciężarówki.

- Czasem się zastanawiam, dlaczego zostałem policjantem. Moja żona chciała, żebym kupił sklep spożywczy.

- W tej mgle musi im być bardzo ciężko - powiedział łagodnie Lanz. - Myślę, że dobrze sobie radzą.

Gruber przekręcił wyłącznik aparatu nadawczo - odbiorczego i pochylił się nad nim.

- Numer Cztery. Powiedziałeś, że było więcej niż jeden pojazd.

Jesteś tego pewien?

- Całkowicie - odparł Numer Cztery. - Były dwa jadące blisko siebie. Dwa samochody.

- To porządny gość - stwierdził Gruber, przestawiając gałkę z powrotem na „odbiór”. Potarł dłonią nos. - Ten drugi też, jeśli mam być sprawiedliwy. To moja wina - teraz, gdy nadeszła mgła, żałuję, że po prostu nie zablokowałem drogi. Ale niech już zostanie, jak jest.

- Niech zostanie - zgodził się Lanz.

Po wyjściu z ciężarówki Lennox ruszył w stronę domu Dietera Wohla, ale nie śmiał podejść zbyt blisko z obawy przed wprowadzeniem w błąd obserwujących budynek policjantów. Gdy zbliżyły się do niego dwa jadące bardzo blisko siebie samochody, dostrzegł tylko plamę reflektorów i przycisnął się do żywopłotu. Kiedy go minęły, poszedł jeszcze kawałek dalej, a potem zatrzymał się na poboczu. Był teraz w połowie drogi między północnym krańcem sekcji a domem.

Pod siedzeniem Vanek wiózł dziewięć - milimetrowego lugera, którego zdobył dla niego Borisow. Nie spodziewał się, że będzie musiał używać broni, ale lubił podróżować z jakimś zabezpieczeniem. W tej chwili pistolet był przyklejony plastrem do spodu fotela. Czech prowadził teraz jeszcze wolniej, pozwalając dwom samochodom z przodu zniknąć we mgle. Jechał dalej, aż mercedes minął dom Dietera Wohla, stanowiący szarą, niewyraźną plamę. Wtedy dopiero się zatrzymał.

Nie chciał, by Niemiec zaczął się zastanawiać, dlaczego jakiś pojazd staje przed jego domem w nocy.

- Ty czekasz w wozie - powiedział Lanskyemu - i nie wyłączaj silnika. Nie spodziewam się żadnych kłopotów, ale nigdy nic nie wiadomo.

- Coś taki nerwowo? - spytał Brunner, który szedł z nim. To było niepodobne do Vanka, nigdy nie wspominał nawet o żadnych kłopotach.

- Denerwuję się, że Lansky zapomni trzymać silnik na chodzie - warknął Vanek.

Wysiadając z Brunnerem z samochodu Vanek sam zastanawiał się, dlaczego się niepokoi. Jakiś szósty zmysł powtarzał mu, że coś jest nie tak. Stanął na poboczu, spojrzął na zamazane kształty willi, w obie strony drogi i na pola zasnutę mgłą. Potem ruszył do frontowych drzwi, a Brunner zaraz za nim. Zmienił jednak zamiar i obszedł dom od tyłu. Światło paliło się tylko w dwóch oknach od frontu na parterze; wszystkie pozostałe tonęły w ciemności. Z podniesionym dla ochrony przed zimnem kołnierzem Vanek wrócił do frontowych drzwi. Brunner schował się z boku willi. Vanek nacisnął dzwonek, trzymając

prawą rękę w kieszeni, zaciśniętą na lugerze, którego wyjął wcześniej spod siedzenia samochodu. Panowała zupełna cisza.

Musiał odczekać dłuższą chwilę, zanim po drugiej stronie usłyszał brzęk zdejmowanego łańcucha. Drzwi otworzyły się i zobaczył w nich ogromną postać Dietera Wohla. W prawej ręce Niemiec trzymał laskę, ciężką farmerską laskę bez rączki.

- Dobry wieczór - odezwał się Vanek swoją nieskazitelną niemczyzną. - Jestem inspektor Braun z policji kryminalnej. - Mignął Wohlowi przed oczami podrobioną legitymacją Surete i szybko schował ją do kieszeni. - Dwieście metrów stąd w kierunku Fryburga znaleziono na drodze martwego człowieka. Czy mogę wejść i zamienić z panem kilka słów?

- Mógłbym dokładniej przyjrzeć się tej legitymacji? - spytał eks - oficer Abwehry. - Policjanci sami ostrzegają nas zawsze, by uważać, kogo wpuszczamy do domu...

- Oczywiście... - Vanek wyjął lugera z kieszeni i skierował broń w brzuch Niemca. - To jest nagły wypadek. Muszę wejść do środka, więc proszę cofnąć się powoli do hallu...

Wohl zaczął się cofać i Vanek zrobił krok do przodu.

- Jeśli to aż tak poważna sprawa, proszę wejść, ale byłbym rad, gdyby pan odłożył pistolet... - Wohl mówił jeszcze, gdy z nadzwyczajną siłą i szybkością zamachnął się laską, która trzasnęła Vanka w nadgarstek. Wstrząs i ból spowodowały, że Czech upuścił broń.

Pomimo to zachował jednak zimną krew. Błyskawicznym ruchem uniósł lewą rękę i wbił usztywnioną pięść w szczękę Wohla. Gdyby były oficer stał sztywno, pękłby mu kręgosłup, poddał się jednak impetowi ciosu i padł na wypolerowaną podłogę, przewracając się na bok, by przyjąć uderzenie na ramię. Vanek zdał sobie sprawę, że będzie to bardziej niebezpieczny przeciwnik niż Jouvel czy Robert Philip. A Brunner nie mógł dostać się do wąskiego hallu, bowiem Vanek stał w przejściu.

Luger potoczył się gdzieś po śliskiej podłodze. Czech miał po swojej stronie wiek, lecz Niemiec był niezwykle silny. Gdy Wohl, ciągle trzymając laskę, zaczął się podnosić, Vanek rzucił się na niego.

Wohl stracił równowagę i znów się przewrócił. Po drodze złapał za brzeg stołu - jego ręka chwyciła obrus, ściągając go razem z kilkoma porcelanowymi wazami, które z hukiem roztrzaskały się o podłogę.

Padając Niemiec ponownie się okręcił, przyjmując upadek na drugie ramię. Zamajaczyły nad nim nogi Czecha, więc zamachnął się laską, zadając mu potężny cios w gołeń. Vanek zawył i opuścił pięść na twarz przeciwnika, ten jednak zrobił unik i uderzenie musnęło tylko jego szczękę. Stojący za nimi Brunner nadal nie mógł nic zrobić. Dwaj

mężczyźni przewalali się po podłodze, uderzając o meble i próbując pozabijać się nawzajem.

Nie podoba mi się to - odezwał się Lanz.

- Te dwa samochody, które mogły być trzema? - spytał Gruber. - Wchodzimy - zdecydował. Miał właśnie wezwać sześciu ludzi czekających w rezerwie w ciężarówce za zagajnikiem, kiedy nadszedł meldunek: od południa wjechały do sekcji autobus i cysterna, jedno za drugim. Gruber zaklął i wstrzymał się z rozkazem. - Możemy się obejść bez nich - rzucił chrapliwie. - Tylko nam teraz potrzeba jakiegoś cholernego zderzenia...

- W czasie mgły często jeden pojazd dojeżdża do drugiego i trzyma się jego ogona - zauważył Lanz. - Tak jest wygodniej jechać, więc ignorują ryzyko...

- Zaczynam się martwić o Wohla - powiedział Gruber.

Poczekali, aż policjant na północnym krańcu zgłosi przejazd pojazdów - nie potrafił ich zidentyfikować - i wtedy Gruber rozkazał rezerwowej ciężarówce podjechać pod dom Niemca. Dwadzieścia sekund potem - zbyt późno, by zatrzymać ciężarówkę - z południowego krańca sekcji nadszedł kolejny meldunek. Pojawiła się druga cysterna i powoli wjeżdżała na północny odcinek.

Przedpokój Wohla, zwykle tak czysty i zadbane - eks - oficer był systematycznym i metodycznym człowiekiem - znajdował się w kompletnej ruinie. Meble były porozbijane, obrazy pospadały ze ścian, po podłodze wały się szczątki porcelany; było też trochę rozmazanej krwi. Łaska Wohla leżała na podłodze przy swoim martwym właścicielu - czaszka Niemca została roztrzaskana jego własną bronią.

Vanek, wciąż jeszcze zadyszany, zostawił Brunnera przy frontowych drzwiach i wszedł do salonu, w którym paliło się światło. Spodziewał się, że będzie musiał długo szukać pamiętnika i rękopisu, ale znalazł je czekające na niego na biurku - gdy zadzwonił dzwonek, Wohl pracował właśnie nad wspomnieniami. Vanek przeczytał tylko parę słów z pamiętnika: „W tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym Lampart chodził wszędzie w towarzystwie wilczura wabiącego się Cesar...” Wepchnąwszy pamiętnik i kilkustronicowy rękopis do kieszeni, wrócił do hallu, by poszukać lugera; po drodze przewrócił na podłogę regał z książkami, rozsypując jego zawartość. Bez wątplenia nie można było sprawić, by ta śmierć wyglądała na wypadek, ale zawsze mogła wyglądać na nieudaną próbę rabunku. Znalazł pistolet pod niską skrzynią i podszedł do czekającego Brunnera.

- Coś nadjeżdża - ostrzegł tamten.

W chwili gdy Vanek wyszedł na zewnątrz, pojawiła się policyjna ciężarówka i stanęła zaraz za domem. Sekundę później z mgły wynurzyło się coś dużego, jadącego bardzo powoli. Cysterna. Kiedy mijała policyjny wóz, zaczęli z niego wyskakiwać ludzie. Vanek uniósł

lugera, nieśpiesznie wycelował i strzelił trzy razy.

Ciężkie, dziewięć - milimetrowe kule z głuchym odgłosem przebiły bok cysterny. Vanek i Brunner rzucili się biegiem do mercedesa.

Za nimi rozległ się stłumiony krzyk, a zaraz potem stłumiony wybuch.

Cysterna stanęła w ogniu, wszystko przesłoniła ściana płomieni. Mgłę zastąpił kłębiący się czarny dym, w nocnym powietrzu rozszedł się przyprawiający o mdłości smród. Vanek dopadł samochodu, za którego kierownicą siedział poblady Lansky.

- Co to było, do cholery...

- Ruszaj! - warknął Vanek. - Gaz do dechy. Jak w coś walniemy, to trudno.

Mercedes wystartował bardzo szybko. Gdy samochód ruszył z otwartymi drzwiami, Brunner nie był jeszcze całkiem w środku.

Stojący kilka metrów dalej Lennox usłyszał strzały, a potem coś jakby wybuch. W oddali zaczęła wyc policyjna syrena. Kiedy samochód z rykiem przeleciał obok niego, Anglik dwukrotnie nacisnął spust - obie kule przeszły przez wygięte plecy Brunnera. Ciało Czecha wyleciało z drzwi i grzmotnęło o drogę, a mercedes zniknął we mgle, wciąż nabierając szybkości.

* * *

Gwiazda najbardziej zepsutego i szalonego kraju, jaki świat kiedykolwiek widział, blednie... Ameryka, ta nędzna mieszanina mętów dziesiątków narodów, jest teraz w stanie duchowego rozkładu...

Wycofawszy swoje wojska z Europy, kiedy nie miała już siły rządzić światem, pograża się teraz w chaosie... Jednego przede wszystkim musimy dopilnować - żeby już nigdy więcej nie położyła swoich zachłannych łap na ziemi innych ludzi - na Europie!" Był to najbardziej jadowity z dotychczasowych ataków prezydenta Floriana. Działo się to w Marsylii, gdzie wpływy komunistów zawsze były bardzo silne. Audytorium przyjęło przemówienie burzliwymi oklaskami, demonstrując ogromne poparcie, jakim Florian cieszył się na południu, gdzie kiedyś, przed tyloma laty - pod koniec drugiej wojny światowej - omal nie ustanowiono Republique Sovietique du Sud.

Później wzdłuż Canebiere, głównej arterii komunikacyjnej tego niespokojnego portu morskiego, odbyła się wielka parada, podczas której ludzie złamali szeregi próbując dopchać się do prezydenckiego citroena. Na bezpośredni rozkaz Marca Grellea, który też przyleciał do miasta, oddziały CRS odepchnęły tłum, co omal nie doprowadziło do konfliktu pomiędzy prezydentem a prefektem.

- Zepsuł pan całą spontaniczną manifestację - wściekał się Florian. - Nie było potrzeby...

- Tę spontaniczną manifestację zorganizowała Partia komunistyczna - odparł ostro Grelle. - A dzięki mojemu yyy152 Azowi jeszcze pan żyje. Chce pan, bym ochraniał pańskie życie, czy nie?

Reakcja prefekta wstrząsnęła Florianem, który nagle zmienił postawę i objął Grelle ramieniem.

- Ma pan oczywiście rację. Nie można dopuścić, by coś mi się stało przed odlotem do Rosji. Zbyt ważną misję mam tam do spełnienia...

Sowiecki konwój K - 12 przeszedł przez Dardanele i posuwał się na południe przez Morze Egejskie. Płynął wolno, bez pośpiechu, co wprawiało w zakłopotanie analityków morskich w kwaterze głównej NATO w Brukseli. Zespół ekspertów pracował pod kierunkiem oficera brytyjskiego, komandora Arthura Leigh - Brownea z Królewskiej Marynarki Wojennej, który we wtorek, 21 grudnia - w dniu gwałtownego ataku Floriana na Amerykanów w Marsylii - rozesłał do wszystkich zachodnich ministerstw obrony rutynowy raport:

„Najbardziej prawdopodobnym celem K - 12 wydaje się Ocean Indyjski, konwój kieruje się bowiem na Kanał Sueski - jednak lotniskowiec Kirow jest za duży, by przejść przez kanał...

Inny możliwy cel to Barcelona...

Zastanawiająca jest obecność piętnastu dużych transportowców (zawartość jeszcze nieznana)...” Browne powiedział do swego niemieckiego zastępcy po wysłaniu raportu:

- Nie mam pojęcia, co oni knują. Będziemy musieli pograć w starą grę „poczekaj, a zobaczysz”.

Guy Florian wygłosił swoje przemówienie w Marsylii w południe.

Tego samego dnia w Moskwie, również w południe, odbywało się rozszerzone posiedzenie Politbiura, które niespodziewanie zwołano.

Wśród obecnych byli minister spraw zagranicznych Związku Radzieckiego i marszałek Gregorij Praczko, minister obrony. To właśnie ci dwaj - tworząc trzyosobowe quorum wraz z Pierwszym Sekretarzem - zatwierdzili przedtem wysłanie Sowieckiego Komanda na Zachód.

Zdradziwszy członkom Politbiura tożsamość Francuza, którego zwał „naszym przyjacielem”, Pierwszy Sekretarz przeszedł do przedstawienia szczegółów francusko - radzieckiego paktu, który miał zostać ogłoszony w czasie wizyty prezydenta Floriana w

Moskwie.

- Prezydent Republiki Francuskiej ma oczywiście pełne prawo do prowadzenia negocjacji i zawierania traktatów z obcymi państwami... - ciągnął.

Podstawą całego układu był paragraf 14, który stwierdzał, że dla umocnienia światowego pokoju od czasu do czasu odbywać się będą wspólne manewry wojskowe - na terytorium Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich lub Republiki Francuskiej. Oznaczało to, że oddziały czołowe dwóch sowieckich dywizji pancernych, wchodzących teraz w skład konwoju K - 12, w ciągu kilku najbliższych dni wylądują we francuskich portach śródziemnomorskich.

- Dokąd pójdą? - zapytał Nikołaj Susłow, najinteligentniejszy członek Politbiura.

- Ja wam powiem! - To niezwykle szeroki w barach, umundurowany i obwieszony medalami marszałek Gregorij Praczko zabrał głos. Nie lubił niepraktycznych intelektualistów, a już szczególnie nie cierpiał Nikołaja Susłowa. - Zostaną wysadzeni na brzeg w Tulonie i Marsylii natychmiast po ogłoszeniu przez Floriana paktu w Moskwie.

Data jego wizyty, dwudziesty trzeci grudnia - jest starannie wybrana.

Podczas tego ich Bożego Narodzenia wszyscy ministrowie mają wakacje, więc nie będzie ich za biurkami, by szybko zareagować...

- Ale dokąd pójdą oddziały? - nalegał Susłow.

- Do granicy z Niemcami na Renie, oczywiście! Wstając z łóżka w dzień Bożego Narodzenia, by rozpakować swoje prezenty, kanclerz Franz Hauser stwierdzi nagle, że ma wojska radzieckie nie tylko na wschodzie, ale i na zachodzie! Cała Europa Zachodnia dostanie się pod naszą kontrolę - łącznie z Zagłębiem Ruhry - co pozwoli nam wygrać każdą konfrontację z Chinami...

CZEŚĆ TRZECIA
PREFEKT PARYSKIEJ POLICJI

22 23 GRUDNIA

* * *

Takie rzeczy zdarzają się, wie to każdy doświadczony policjant: możesz otoczyć jakiś teren kordonem, ustawić blokady drogowe - i w trzech przypadkach na cztery spóźniłeś się. Gruber rozstawił kordon i nie złapał nikogo poza kilkoma zirytowanymi kierowcami.

Wynajęty w Kehl mercedes został znaleziony tydzień później w zagajniku na skraju Schwarzwaldu. Czterech z sześciu policjantów, którzy wysiadali z ciężarówki, gdy wybuchła cysterna, miało szczęście - większa część podmuchu poszła w drugą stronę, na otwarte pole.

Dwóch pozostałych doznało poważnych poparzeń - jeden z nich nawet trzeciego stopnia, które wymagały później operacji plastycznej.

Kierowca cysterny zmarł na skutek zatrucia gazami spalinowymi, które wypełniły jegoabinę, zanim zdążył uciec.

Lanz i Gruber przeszukali dom Wohla, próbując odnaleźć pamiętnik widziany przez Lennox, lecz niczego takiego nie znaleźli.

Ciało Brunnera zostało przewiezione do policyjnej kostnicy, ale oględziny jego ubrania i zawartości kieszeni ujawniły bardzo niewiele. Miał przy sobie sporą sumę pieniędzy - dwa tysiące marek zachodnio - niemieckich - i francuski dowód osobisty na nazwisko Emille Bonnard.

„Które bez wątplenia okaże się fałszywe” - zauważył Gruber. Poza niemieckim płaszczem i kapeluszem, Brunner miał na sobie francuski garnitur i bieliznę. Nic, co mogłoby wskazać, kim naprawdę był.

Dopiero wstępne wyniki badań lekarskich przyniosły coś nowego.

- Mój kolega doszedł do interesujących wniosków - oznajmił lekarz Gruberowi, który jadł właśnie obiad w hotelu razem z szefem BND i Lennoxem. - Jest technikiem dentystycznym i twierdzi, że plomby tego faceta były z pewnością robione we wschodniej Europie - prawdopodobnie w Rosji...

Lanz zadzwonił do Marca Grellea bezpośrednio z komendy policji we Fryburgu. Właściwie powinien był zatelefonować do Surete, ale nie lubił dyrektora generalnego, który był zwierzchnikiem komisarza Sucheta. Lubiał natomiast Grellea i całkowicie ufał jego dyskrecji. Jak wyjaśnił prefektowi, miał dwa powody, dla których jego przede wszystkim musiał poinformować o zaistniałej sytuacji. Zastrzelony zabójca - Lanz pilnował się, by nie wspominać Lennox - podróżował na francuskich papierach. Poza tym miał powody sądzić, że komando przyjechało niedawno z Francji i mogło później powrócić do tego kraju.

- Naprawdę ma pan podstawy, by twierdzić, że jakieś komando zabójców, być może kierowane przez Sowietów, kursuje między Francją a Niemcami? - spytał Grelle. - Tak - odparł stanowczo Lanz. - Jestem tego całkiem pewien.

I może byłoby dobrze, gdybyśmy obaj byli ze sobą w kontakcie...

Grelle właśnie odłożył słuchawkę, gdy do jego biura wszedł Boisseau z rutynowym meldunkiem.

- Przed chwilą przyjechał Lesage. Ten algierski terrorysta, Abou Benefeika, ciągle siedzi w tamtym opuszczonym bloku na Goutte - d'Or.

Jak dotąd ani śladu jego kumpli. Zostawiamy go, by dalej dojrzewał?

- Kontynuujcie nadzór... - Grelle ugryzł kawałek sandwicza, który musiał mu zastąpić wieczorny posiłek. Zazwyczaj jadał kolację w Chez Benoit, ekskluzywnej restauracyjce w starej dzielnicy Les Halles, gdzie trzeba było telefonicznie rezerwować stolik; zaczynał już tęsknić za tym miejscem.

- Dopiero co miałem telefon od Petera Lanza z niemieckiej BND - poinformował swego zastępcę. - Był dosyć tajemniczy, ale dowiedział się jakoś o działalności Sowieckiego Komanda. Dziś wieczorem zabili byłego oficera Abwehry we Fryburgu. - Zrobił pauzę. - Nazywał się Dieter Wohl.

- Jedno z trzech nazwisk na liście Lasallea...

- Właśnie. Wygląda, że to komando zostało wysłane z rozkazem zlikwidowania wszystkich z tej listy - i zrobili to, na miłość boską.

A my nada l bładzimy po omacku...

- Nadzór nad Rogerem Danchinem i Alainem Blankiem nic nie dał?

- Nic... - Zadzwoił telefon i prefekt zmarszczył brwi. Spojrzał na zegarek. Dziesiąta wieczorem. Dopiero niedawno wrócił z Marsylii, gdzie towarzyszył prezydentowi, który wygłosił tam swoją najbardziej gorzką antyamerykańską tyradę, i czuł się bardzo zmęczony. Kto to mógł być o tej porze, do diabła? Przelykając resztę sandwicza podniósł słuchawkę. Telefonował Alain Blanc.

- Nie, panie ministrze - zapewnił go Grelle. - Jak dotąd, nie doszukałem się żadnego związku pomiędzy prezydentem a Lucie Devaud... Wiemy już, że jej ojcem był Albert Carmors, bogaty makler, który zmarł kilka miesięcy temu i zostawił jej swoje mieszkanie na Place des Vosges... Nie, nie wiemy nic więcej... Tak, musiała być nieślubnym dzieckiem... Nie, absolutnie żadnego związku z Pałacem Elizejskim...

Odkładając słuchawkę, Grelle wzruszył ramionami.

- Ten się martwi o skandal. Jak mówiłem, bładzimy po omacku - wszystko, na co

możemy liczyć, to jakiś niespodziewany przełom.

A jednak, Boisseau, czuję, że gdzieś coś przeoczyłem - coś pod samym nosem...

- Czy to ma cokolwiek wspólnego z tym komandem? A propos, możemy chyba odwołać pościg za tym człowiekiem, którego niemiecka policja zastrzeliła we Fryburgu. Lanz dał panu nazwisko?

Grelle zerknął na kartkę z notatnika.

- Emille Bonnard. Nie spodziewam się, żebyśmy kiedykolwiek mieli zobaczyć dwóch pozostałych - Duvala i Lamberta. Wykonali już swoją robotę. Nigdy nie wrócą do Francji.

Carel Vanek i Antonin Lansky dojechali do punktu kontrolnego na granicy z Francją następnego ranka, w środę 22 grudnia, co było ostatecznym terminem, jaki Borisow dał im w Taborze na zakończenie całej akcji. Znajdowali się w drodze do Annette Devaud. Podeszli do kontroli paszportowej oddzielnie, mając pomiędzy sobą kilka osób.

Vanek był pierwszy.

- Dokumenty...

Oficer wziął od Czecha paszport, przyjrzał się jego twarzy, a następnie porównał ją ze zdjęciem. Nazwisko zanotował już wcześniej. Vanek czekał ze znudzoną miną, żując kawałek czekolady i lustrując wzrokiem atrakcyjną dziewczynę, która stała za nim.

Uśmiechnął się do niej. Po chwili wahania odwzajemniła jego uśmiech.

- Był pan w Niemczech w interesach? - zapytał urzędnik.

- Tak.

Oficer oddał paszport i Vanek przeszedł dalej; po kilku minutach dołączył do niego Lansky. Vanek posłużył się tym razem trzecim zestawem dokumentów, na nazwisko Lucien Segard, w których miał fotografię bez wąsów. Poprzedniego wieczoru zgolił je w dworcowej toalecie w Kehl, zanim pojechali z Lanskym na nocleg do małego hoteliku. Lansky również użył trzeciego zestawu, z nazwiskiem Yves Gandouin. Vanek podjął decyzję o zamianie dokumentów poprzedniego wieczoru, po porzuceniu mercedesa, nie mając najmniejszego pojęcia, że używane przez nich poprzednio nazwiska zostały odkryte.

- Dwa razy przekraczaliśmy już francuską granicę na tych papierach - powiedział Lanskyemu - i wystarczy.

Spalił papiery z nazwiskami Duval i Lambert, a potem poszli do najbliższej wioski i oddzielnie wsiedli do zatłoczonego autobusu jadącego do Kehl.

Po przybyciu do Strasburga Vanek trzymał się z dala od oddziału wypożyczalni Hertza na Boulevard de Nancy. „Nigdy nie idź tam, gdzie już byłeś” - stanowiło jedną z jego ulubionych zasad. Dwaj Czesi wzięli taksówkę na lotnisko. Vanek wynajął tam w

wypożyczalni Avis renaulta 17, na nazwisko Lucien Segard. O drugiej po południu byli już w drodze do Saverne, znajdującej się zaledwie czterdzieści kilometrów od Strasburga.

Alan Lennox spędził pół nocy na rozmowie z Peterem Lanzem w hotelu Colombi we Fryburgu. Niemiec, któremu przed samym odjazdem z Bonn wręczono egzemplarz „Frankfurter Allgemeine Zeitung” zawierający list Dietera Wohla - „Powinni byli pokazać mi to dużo wcześniej, ale nikomu nie przyszło do głowy zajrzeć na kolumnę z korespondencją” - powątpiewał w to, by Annette Devaud jeszcze żyła.

- Z tego, co ci mówił Wohl - zauważył - wynika, że byłaby teraz bardzo stara, a skoro jest ślepa, to jak może kogokolwiek rozpoznać? Nawet zakładając, że kiedykolwiek widziała Lamparta...

- Nie pozostało nam nic innego - stwierdził Lennox. - Może powinienem powiedzieć: nikt inny. To, co powiedział mi Leon Jouvel, jest bardzo nieprzekonywające. Jutro wracam na drugą stronę Renu, by spróbować odnaleźć Annette Devaud.

- Po raz trzeci przez granicę na fałszywych papierach? Mocno ryzykujesz.

- Nazwij to angielskim uporem - jesteśmy z tego znani. Muszę dotrzeć do sedna tej sprawy i dowiedzieć się, kim naprawdę jest Lampart. Życz mi szczęścia.

- Mam przeczucie, że będziesz potrzebował czegoś więcej niż szczęścia - odparł poważnie Lanz.

Lennox pamiętał wzmożoną aktywność policji na strasburskim dworcu zaledwie trzydzieści sześć godzin wcześniej, toteż z niejakimi oporami podał dokumenty francuskiemu urzędnikowi paszportowemu i czekał, aż zostaną sprawdzone. Zrobiono to bardzo pobieżnie; nikogo nie interesował człowiek o nazwisku Jean Bouvier. Prawdopodobnie najłatwiejszym sposobem na przejście przez kontrolę jest wybranie momentu, gdy ktoś inny jest poszukiwany.

Lennox zadzwonił do informacji i dowiedziawszy się adresu Annette Devaud, opuścił dworzec i udał się prosto do Hertza na Boulevard de Nancy, gdzie wynajął mercedesa 350SE. Kosztowało go to trochę, ale chciał mieć wóz o większej mocy. W południe wyjechał ze Strasburga, kierując się na zachód, do Saverne w Wogezach. Nie miał oczywiście pojęcia, że po raz pierwszy, odkąd rozpoczął tę podróż na usilne namowy Davida Nasha z Nowego Jorku, był dwie godziny do przodu w stosunku do Sowieckiego Komanda.

To Boisseau usłyszał o wycinku z listem Dietera Wohla do „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, wysłanym do Paryża przez agenta francuskiej tajnej służby w Bonn. Fotostat wycinka pokazał mu komisarz Suchet z kontrwywiadu, który bardzo zabiegał o jego względy. Suchet miał wrażenie, że daje mu to prywatne doświadczenie do prefektury, ale wszystkie

informacje, jakie dostawał od Boisseau, były najpierw kontrolowane przez Marca Grellea. Był późny poranek 22 grudnia, gdy Boisseau pokazał fotostat swojemu szefowi.

- A więc byłby jeszcze jakiś świadek, który nigdy nie pojawił się na liście Lasallea - dumiał Grelle. - To znaczy zakładając, że ona wciąż jeszcze żyje...

- Żyje. Zadzwoiłem na posterunek w Saverne. Mieszka na odległej farmie, spory kawałek od samej Saverne - wysoko w Wogezach. Ten list sprawił, że jeszcze raz przejrzałem akta i znalazłem coś, co przeoczyliśmy. Annette Devaud kierowała siatką kurierów Lamparta.

- Annette Devaud - Lucie Devaud... - Prefekt założył sobie ręce na szyję i spojrzał przenikliwie na swojego zastępcę. - Ciekawe.

W porządku, Boisseau, jedź do Saverne. Tak, dziś po południu. Biorąc pod uwagę to, co się przydarzyło pozostałym świadkom, czy nie powinieneś zadzwonić do Saverne i poprosić ich o wysłanie ochrony?

- To staruszka - mogą ją przestraszyć. A zresztą, skoro nie było jej na liście Lasallea, to czemu niby miałyby być na liście komanda? I oni, i Lasalle musieli korzystać z tej samej. Więc gdzie tu niebezpieczeństwo?

- Zostawiam to tobie - powiedział prefekt.

Między Strasburgiem a Wogezami Lennox trafił na okropną ulewę. Ściany deszczu przewalały się przez szosę, zalewając jeszcze bardziej i tak już mokre pola, a gęsta mgła całkowicie zakryła góry. Woda kaskadami spływała po przedniej szybie. Nagle silnik zaczął brzydko stukać. Lennox zaklął, bo wiedział, że górskie drogi przed nim mogą okazać się trudne. Nie mógł jednak nikogo winić: obsługa Hertza ociągała się z daniem mu tego wozu, jedynego wolnego mercedesa 350. - „Nie miał jeszcze przeglądu, proszę pana - protestowała dziewczyna. - Nie wolno mi...” - Anglik zlekceważył jej obiekcje, ponieważ samochód mu się podobał, i teraz płacił za to.

W trakcie dalszej jazdy stukot stał się jeszcze gorszy i Lennox zrozumiał, że popełnił głupstwo. Mrużąc oczy dostrzegł przez szybę jakąś tablicę: „Zajazd Wogeski i stacja benzynowa - 500 metrów”.

I tak chciał sprawdzić adres Annette Devaud i dowiedzieć się, czy ona jeszcze żyje. Zobaczył w ulewie mały hotelik z warsztatem samochodowym. Zatrzymawszy się przed pompami, poprosił mechanika o sprawdzenie pojazdu. Po kilku minutach mechanik przyszedł do hotelowego baru ze złymi wiadomościami. Znalazł defekt - naprawa potrwa kilka godzin.

- Nie może pan tego przyspieszyć? - spytał Anglik.

- Właśnie zabieram się do roboty - poinformował go mechanik. - Tak, mogę to przyspieszyć. Zajmie to dwie godziny.

Lennox zamówił drugi koniak i dwa sandwiches jambon, które okazały się dużymi pajdami smakowitego francuskiego chleba z szynką.

Gdyby mechanik powiedział: trzy godziny - zastanowiłby się, czy nie spróbować wynająć innego samochodu. Wygłodniały zatopił zęby w sandwiczu; dwie godziny nie powinny tak bardzo wpłynąć na losy świata.

Annette Devaud, spędzająca jesień życia na Farmie Drwala, zajmowała w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku jedno z ważniejszych stanowisk w oddziale Lamparta: stała na czele sieci kurierów, głównie młodych dziewcząt, które przносиły wiadomości pod samym nosem wroga. Prawie czterdziestoletnia, szczupła i mocna, była piękną kobietą z dumnym rzymskim nosem, która rywalizowała z autorytetem samego Lamparta. Ze wszystkich mężczyzn i kobiet działających pod jego rozkazami Lampart najbardziej szanował właśnie Annette Devaud, być może dlatego, że była otwartą antykomunistką. - „Z nią przynajmniej wiem, co i jak” - powiedział kiedyś. A Annette Devaud wiedziała, jak Lampart wygląda.

Ponieważ komunistyczny przywódca lubił uchodzić za niezwycięzonego, trzymał w tajemnicy fakt postrzelenia go w nogę podczas potyczki w lesie. Rana goiła się szybko, ale przez krótki czas Lampart był przykuty do łóżka. Podczas rekonwalescencji była przy nim jedynie Annette, troskliwie go pielęgnując.

Annette Devaud nie widziała już uroczystości Dnia Wyzwolenia; w ciągu jednej nocy oślepla. Nikt nie wiedział, co mogło być przyczyną jej nieszczęścia, chociaż niektórzy uważali, że była nią wiadomość o śmierci męża, który poległ w walkach z dywizją generała Leclerca.

Mogła to też być śmierć jej dziewiętnastoletniej córki Lucie, która utonąła, kiedy Lampart wjechał samochodem do wody, by ująć Dieterowi Wohlowi.

Po wojnie wróciła do swego domu, Farmy Drwala, i pozostała tam przez ponad trzydzieści lat. Ślepotą była dla niej większym ciosem, niż mogłaby być dla innych ludzi - Annette była utalentowaną artystką amatorką, rysowała portrety węglem. Musiała teraz przygotować się do nowego, innego życia. Trzymała jednak w teczce zbiór szkiców, zrobionych z pamięci w czasie wojny. Znajdowały się w nim również dwa bardzo wierne portrety Lamparta.

Annette Devaud spotkał jeszcze jeden cios. Jej dziewiętnastoletnia córka Lucie uparła się, by zostać jedną z łączniczek i podczas działalności w Ruchu Oporu zakochała się w byłym księgowym, niejakim Albercie Carmors. Ze związku tego - zaledwie sześć miesięcy przed śmiercią Lucie w rzece - urodziło się dziecko. Carmors przeżył wojnę, ale pokłócił się z

apodyktyczną Annette i odseparował ją od dziecka, któremu nadał imię po matce. Został paryskim maklerem giełdowym, zaczęło mu się dobrze powodzić i sam wychowywał dziewczynkę. Nigdy się nie ożenił.

Lucie, samotniczka, podobna bardzo z charakteru do swojej babki Annette, której nigdy nie widziała - wzrastała w kawalerskim domu.

Od ojca usłyszała o Lamparcie i o tym, jak zginęła jej matka. Potem, kiedy już miała prawie trzydzieści lat, Carmors wyzionął ducha w ramionach swojej kochanki i Lucie odziedziczyła jego majątek i apartament na Place des Vosges. I wtedy po raz pierwszy odwiedziła niewidomą babkę.

Obie kobiety natychmiast się polubiły i pewnego dnia Annette, opowiadając o wojnie, pokazała wnuczce teczkę ze szkicami. Lucie od razu rozpoznała portrety Lamparta, ale nic nie powiedziała ślepej staruszce. Wyjęła oba portrety z teczki i wzięła je ze sobą do Paryża.

Korzystając z nazwisk ludzi należących do oddziału - które Annette wspomniała - zaczęła szukać sprawcy śmierci swojej matki. Skorzystała z pieniędzy ojca i zatrudniła bystrego prawnika o nazwisku Max Rosenthal, by pogrzebał w przeszłości Lamparta.

To Max Rosenthal wytropił Gastona Martina w Gujanie, gdzie właśnie miał zostać wypuszczony z więzienia. Lucie Devaud napisała do niego ostrożny list, dając mu do zrozumienia, że Lampart stał się ważną postacią polityczną we Francji, po czym czekała na odpowiedź.

List dotarł do Martina wkrótce po wyjściu na wolność, lecz dawny zastępca Lamparta nie spieszył się z odpowiedzią.

Na otwarciu pokazu mody w Paryżu Lucie zaaranżowała małe przedstawienie, które ostatecznie przekonało ją, iż odkryła prawdziwą tożsamość Lamparta. W sklepie na rue de Rivoli, specjalizującym się w bardzo egzotycznych prezentach, zobaczyła małego lamparta, kupiła go i trzymała w mieszkaniu, a potem zdobyła bilet na pokaz, który miał się odbyć na rue Cambon - parę dni przedtem przeczytała w gazecie, że na pokazie będzie prezydent Florian z żoną Lizą.

Kiedy Guy Florian przybył towarzysząc żonie - zrobił to, by rozwiać plotki, że już ze sobą nawet nie rozmawiają - pokaz już trwał, modelki defilowały przed publicznością, a Lucie Devaud siedziała w pierwszym rzędzie, zakrywając płaszczem spód swego krzesła.

Florian z żoną usiedli prawie naprzeciw niej. Pokaz dobiegał końca, gdy Lucie szarpnęła za łańcuch, który trzymała w ręku. Właśnie przeszła jakaś modelka. Spod krzesła wynurzyło się szczenię lamparta ze związanymi nogami, stanęło na dywanie i obnażyło zęby.

Trwało to zaledwie chwilę. Uzbrojony ochroniarz w cywilu, jeden z kilku przysłanych

na pokaz przez Marca Grellea, dostrzegł wyraz twarzy prezydenta, wyszarpnął łańcuch z dłoni Lucie i wyprowadził zwierzę, za którym poszła jego właścicielka. Florian szybko przyszedł do siebie, machnął ręką i zażartował:

- Nic nie piłem, a widzę plamy przed oczami!

W foyer Lucie bez słowa wzięła łańcuch od detektywa i opuściła budynek. Właściciel salonu był ubawiony, kiedy przybyła z lamparciątkiem. „Co za szyk - mruknął do swojej directrice. - Jedna z modelek powinna pokazać się z tym zwierzęciem...” Lucie wsiadła do samochodu, umieściła szczenię na przednim siedzeniu i wróciła na Place des Vosges. Następnego dnia oddała je do sklepu, który przyjął lamparciątko po dużo niższej cenie.

Lucie Devaud była teraz pewna, że Guy Florian to Lampart.

Zanim oprzytomniał, dostrzegła coś w jego oczach, gdy odwzajemniał jej spojrzenie - nagłą ostrożność i czujność, jakby zrozumiał, że ona wie, kim jest.

- Wiedziała, że nie ma sposobu, by do niej dotarli: zapłaciła za lamparciątko gotówką, a bilet na pokaz otrzymała na fałszywe nazwisko. W drodze powrotnej do mieszkania postanowiła zabić Guya Floriana. Następnego ranka nadszedł list od Gastona Martina.

Cała Odpowiedź Martina była równie ostrożna jak jej list. Oznajmił, że się zainteresowała go jej teoria i że niedługo wróci z Gujany statkiem. Czy mogliby się spotkać, gdy przyjedzie do Paryża? Lucie odpisała natychmiast, proponując, żeby spotkali się w małym hoteliku Cecile na rue de Bac. Nie zależało jej zbytnio na tym, by zapraszać byłego skazańca do swego luksusowego apartamentu na Place des Vosges.

Wieczorem przed środą 8 grudnia napisała pełne sprawozdanie ze swoich poczynań i przygotowała przesyłkę, która zawierała również dwa szkice Lamparta zrobione ponad trzydzieści lat wcześniej przez jej babkę, Annette Devaud. Na przesyłce napisała własnoręcznie:

W razie mojej śmierci dostarczyć prefektowi paryskiej policji.

Rano zawiozła ją do swego prawnika, Maxa Rosenthala, z instrukcją, że by musi pozostać zapieczętowana. Przeczytawszy w gazecie o codziennych już wieczornych spacerach Floriana z Pałacu Elizejskiego na Place la Beauvau, postanowiła nie czekać na Gastona Martina - chociaż miał Powrócić do Francji już nazajutrz. W środę wieczorem, czekając przed a, sklepem z futrami na Faubourg St Honore, wyjęła swój pistolet typu Bayard kaliber 9 mm. Ale to Marc Grelle dwukrotnie pociągnął za spust...

List, który Lucie Devaud napisała i złożyła u swojego prawnika, nigdy nie został dostarczony prefektowi paryskiej policji. Kiedy Rosenthal usłyszał, iż jego klientka usiłowała zabić prezydenta, przestraszył się, że dostarczenie przesyłki może wmieszać w to jego.

Nie miał zamiaru ryzykować. Lucie zawsze przekazywała mu tylko ustne instrukcje; nie było między nimi żadnej pisemnej korespondencji; rachunki płaciła gotówką - której zresztą nie zgłaszał poborcy podatkowemu. Przeświadczony, że nie ma między nimi żadnego wykrywalnego związku, zamknął przesyłkę w sejfie, gdzie leżała aż do następnego roku, kiedy to niespodziewanie zmarł.

Na plus Lucie Devaud należy zapisać, że zanim zginęła jako niedoszła zabójczyni, namówiła swoją niewidomą babkę na wizytę u dobrego oftalmologa. Może technika medyczna dokonała postępu w czasie tych trzydziestu lat, a może wygasł uraz, który spowodował ślepotę?

We wrześniu - trzy miesiące przed planowaną wizytą Guya Floriana w Rosji - Annette Devaud poddała się operacji i całkowicie odzyskała wzrok. Prosto ze szpitala wróciła na Farmę Drwała i zaczęła chętnie czytać i rysować, choć nie zrezygnowała ze swego samotnego życia.

Kiedy człowiek, który ją zaopatrywał, powiedział jej o śmierci wnuczki, kategorycznie odmówiła zaakceptowania okoliczności zgonu Lucie.

„To wszystko jest jakąś okropną pomyłką - oznajmiła stanowczo. - Musieli ją pomylić z kimś innym”.

Właśnie tę staruszkę jechało teraz zabić Sowieckie Komando.

* * *

Nie zważając na ulewę, Vanek pędził pustą drogą ze Strasburga do Saverne. Obok niego siedział w milczeniu Lansky, żując sandwicze, kupione na strasburskim lotnisku, i popijając czerwone wino z butelki.

W pewnym momencie zwrócił Vankowi uwagę, że przekracza dozwoloną prędkość.

- Wcinaj dalej - odparł Vanek. - Mamy tylko jeszcze jedną wizytę do złożenia. Przy odrobinie szczęścia może się okazać, że ta Devaud zmarła dawno temu - dodał.

Stwierdził jednak, że Lansky ma rację i nieznacznie zmniejszył prędkość, lecz jego towarzysz, który obserwował strzałkę szybkościomierza, zauważył to i uśmiechnął się do siebie, kończąc sandwicza.

Postanowił jednak nie wygłaszać więcej prowokacyjnych komentarzy.

Ciągle jeszcze mieli zadanie do wykonania, a zabrakło Brunnera, który dotąd jakoś neutralizował istniejący pomiędzy nimi antagonizm.

- Gdy tylko będziemy mogli, musimy sprawdzić adres Devaud - zauważył Vanek, wyprzedzając w fontannie wody ciężarówkę z warzywami. - Szukaj więc jakiegoś hotelu albo

gospody. Jeżeli ona jeszcze żyje i mieszka w tym samym miejscu, tutejsi ludzie na pewno będą to wiedzieć. Na francuskiej prowincji nie możesz się nawet odlać za murem, żeby cała wieś na ciebie nie patrzyła...

- Tym razem - zasugerował Lansky - chyba nie musimy zawracać sobie głowy aranżowaniem wypadku. Teraz, kiedy nie ciąży nam już ta stara baba Brunner... Wykonujemy robotę i w nogi.

- O tym ja zadecyduję - warknął Vanek.

Okolica wydawała się zupełnie nie zamieszкана. Zbliżali się już do Saverne, gdy Vanek przez zalaną deszczem szybę dostrzegł tablicę:

„Zajazd Wogeski i stacja benzynowa - 500 metrów”. Zwolnił.

- Powinni tu mieć książkę telefoniczną - powiedział. - Jesteśmy już chyba blisko. - Zjechał z szosy i zatrzymał się przed rzędem pomp benzynowych. - Do pełna - rzucił sprzedawcy - a my pójdziemy się napić.

Vanek uważał, że skoro nigdy nie można przewidzieć wszystkich sytuacji krytycznych, zawsze opłaca się mieć pełny bak. Gdy wysiadali z renaulta, w garażu mechanik wycierał przednią szybę mercedesa 350, nad którym właśnie skończył pracować.

Lennox spojrział na zegarek i wyszedł z baru „Zajazdu Wogeskiego” kierując się do toalety. Dokładnie dwie godziny. Mechanik właśnie poinformował go, że samochód jest gotowy i Anglik zapłacił rachunek.

Kiedy pytał o Annette Devaud, barman powiedział:

- Zabawna staruszka. Musi już być po siedemdziesiątce. Ciągłe mieszka na Farmie Drwala, całkiem sama. Miejscowi prawie jej nie widują - poza facetem, który przywozi jej prowiant. Nadzwyczajna kobieta. Wie pan, że przez trzydzieści lat była ślepa?

- Nie poznałem jej jeszcze - powiedział ostrożnie Lennox.

- Nadzwyczajna kobieta - powtórzył barman. - To się stało pod koniec wojny - oślepa, tak po prostu. Jakaś choroba czy co, nie wiem. Nagle, kilka miesięcy temu, specjalista patrzy na nią i mówi, że coś może zrobić. - Barman przetarł kieliszek. - Staje się cud. Facet przeprowadza operację i ona znowu widzi. Pomyśl pan - ślepa ponad trzydzieści lat, a potem znowu widzi świat jak nowy. Tragedia z tą jej wnuczką, Lucie. Wie pan, kim ona była?

- Nie.

- Tą dziewczyną, co próbowała zakatrupić Floriana w zeszłym tygodniu. Musiała mieć świra - jak ten facet, co zastrzelił Kennedyego w Dallas. - Nachylił się konfidencjonalnie. - Mieszkam tylko dwa kilometry od staruszki. Tych kilku z nas, co wiedzieli, kim była Lucie, trzymało gębę na kłódkę. Nawet gliny się nie kapnęły - dziewczyna była tu tylko parę razy.

Mówię to panu tylko dlatego, że pan do niej jedzie - mógłby pan jej zrobić krzywdę mówiąc coś niewłaściwego...

Lennox myślał o tym, gdy szedł do toalety. Chciał się porządnie odświeżyć - poprzedniej nocy we Fryburgu spał zaledwie dwie godziny. Mogło się to zdarzyć tylko na takiej zapadłej francuskiej wsi - zmowa milczenia dla ochrony miejscowej i szanowanej kobiety.

Nad umywalką wisiało lustro, w którym widać było drzwi. Anglik wycierał właśnie twarz, gdy się otworzyły. Opuszczając ręcznik spojrzął w lustro, a mężczyzna stojący w progu odwzajemnił jego spojrzenie.

Na kilka sekund ich oczy się spotkały, po czym mężczyzna w lustrze rozejrzał się po toalecie, jakby szukając kogoś, i wyszedł.

Lennox szybko skończył się wycierać, założył marynarkę i płaszcz i powoli otworzył drzwi. Na rue de l'Epine w Strasburgu, w bramie prowadzącej do domu Leona Jouvela, przez chwilę dobrze przyjrzał się twarzy człowieka z parasolem, na którego wpadł, strącając mu okulary na bruk. Wciąż jednak nie miał absolutnej pewności - człowiek ze Strasburga wydawał się starszy... Korytarz przed toaletą był pusty. Lennox wyszedł i zajrzał do baru.

Mężczyzna, który wszedł do toalety, siedział teraz odwrócony tyłem, ale jego twarz była widoczna w barowym lustrze. Rozmawiał z innym mężczyzną, wysokim, ciemnowłosym i gładko ogolonym, około trzydziestki. Tamten drugi, leniwie obracając w dłoni pusty kieliszek, spojrzął ponad ramieniem swego towarzysza i popatrzył na Anglika. Po chwili odwrócił wzrok. Lennox nabrał pewności, że jego podejrzenia są słuszne. W samochodzie Sowieckiego Komanda we Fryburgu było trzech ludzi. Ten o nazwisku Bonnard nie żył, zostawało więc dwóch. A na końcu wojennego pamiętnika, który zabrali Dieterowi Wohlowi, był adres Annette Devaud.

Przeklął sam siebie za to, że przyjął teorię Petera Lanza, o rejteradzie resztek Sowieckiego Komanda z powrotem do Rosji. Niby była to rozsądna teoria - ponieważ trzeci świadek z listy Lasallea został zabity, ale jednak... Anglik wycofał się do hotelu, tak jakby miał wyjść przez główne wejście, a potem wbiegł po szerokich schodach na piętro. Stał na górze, skąd przez okno mógł obserwować drogę przed hotelem.

Gdy Lansky wrócił do baru, gdzie Vanek opierał się o kontuar, barman zniknął właśnie za zasłoną. Lansky wziął swój kieliszek i wypił jego zawartość.

- Ten Francuz, którego widziałem wychodzącego z numeru 49... domu Jouvela... ten facet, na którego wtedy wpadłem... jest w toalecie - powiedział cicho. - To nie jest przypadek...

- Jesteś pewny? Jak wyglądał? - rzucił obojętnym tonem Vanek.

Lansky w kilku słowach opisał Lennox.

- Jestem zupełnie pewny - stwierdził. - Wyszkolono mnie, żebym pamiętał takie rzeczy - gdybyś czasem o tym zapomniał. Przez kilka sekund patrzyliśmy na siebie w lustrze i obaj rozpoznaliśmy się nawzajem. Mogłem go załatwić, było pusto - ale zaalarmowałyby to policję, a tego teraz nie chcemy, prawda?

- Nie, nie chcemy. A propos, on właśnie zagląda do baru, więc nie odwracaj się... - Sytuacja nie zaskoczyła Vanka, prędzej czy później musiało coś pójść nie tak - do pewnego stopnia poszło już nie tak we Fryburgu. Ale była to tylko kwestia podjęcia decyzji, jak się z tym uporać. - Poszedł - mruknął Vanek. - Myślę, że my też się stąd wyniesiemy.

Gdy wychodzili przez frontowe drzwi, spod stacji po zatankowaniu odjeżdżał w kierunku Saverne peugeot 504, tylko z kierowcą. Deszcz przysłonił sylwetkę człowieka za kierownicą.

- To pewnie on - powiedział Vanek.

Z okna na pierwszym piętrze Lennox patrzył za nimi, jak odjeżdżali.

Potem zszedł do baru, gdzie barman polerował kieliszki. Zamówiwszy koniak, Anglik odezwał się najbardziej obojętnym tonem, na jaki mógł się zdobyć:

- Ci dwaj mężczyźni, którzy weszli tu po mnie... chyba jednego z nich rozpoznałem. Są może tutejsi?

- Nigdy ich przedtem nie widziałem - i wcale nie mam ochoty oglądać ich po raz drugi. Dowiedziałem się od tego wysokiego, że mają coś wspólnego z badaniami rynku. Wybierają nazwiska ludzi i jadą zadawać im cholernie głupie pytania. Chyba teraz właśnie jadą do Annette Devaud...

- Po co?

- Coś z kampanią na rzecz zwiększenia emerytur - wyjaśnił barman. - Chcieli wiedzieć, czy jej mąż żyje i jak mogą znaleźć Farmę Drwała. Tylko im powiedziałem, nie narysowałem mapki, tak jak panu. - Uśmiechnął się kwaśno. - I nie powiedziałem im, że Annette pogoni ich strzelbą ze swego domu jak dwa razy dwa jest cztery...

Lennox szybko skończył drinka i wyszedł do czekającego mercedesa. Padało jeszcze mocniej i ruszając spod hotelu Anglik dostrzegł w oddali gęstą mgłę osnuwającą Wogezy. Była mgła we Fryburgu, kiedy komando zabiło Dietera Wohla, a teraz była mgła nad górami.

Ta zbieżność zmartwiła go. Przycisnął pedał gazu, znacznie przekraczając dopuszczalną szybkość, chciał bowiem wyprzedzić renaulta.

Carel Vanek był szybkim kierowcą, ale Alan Lennox bardziej bezwzględny.

Narazając się na niebezpieczeństwo napotkania wozów patrolowych - i ryzyko poślizgu na mokrej nawierzchni - jadąc z prędkością ponad 110 kilometrów na godzinę, Anglik dogonił Czecha zaraz za Saverne, gdzie szosa wznosi się do góry. Na krótką chwilę przez chmury przebiły się promienie słońca, oświetlając szczyty Wogezów i błyszczącą drogę; w odległości mniej niż trzystu metrów Lennox dostrzegł renaulta, który brał akurat zakręt, rozpryskując spod mknących kół fontanny wody. Potem znowu zaczęło padać.

W przeblasku słońca Lennox zauważył, że po prawej stronie szosy jest stromy spadek. Lekko zmniejszył prędkość, zachowując dystans między samochodami. Okazja nadarzyła się niecałe pół minuty później, gdy ciągle pieli się łukiem po zboczu góry. W oddali - gdzie droga jakby znowu opadała - Lennox zobaczył jadącą ku niemu i renaultowi dużą ciężarówkę. Nacisnął pedał gazu, zmniejszając odstęp, aż prawie siedział na ogonie samochodu przed sobą. Kiedy nadjeżdżający pojazd - jak się okazało, wielki wóz do przewozu drewna - zbliżył się do nich, droga się wyprostowała. Anglik dokładnie wyliczył czas, szerokość drogi i połączoną szerokość trzech samochodów, a następnie wyskoczył bez ostrzeżenia i przyśpieszył.

- Cholerny wariat...

Za kierownicą renaulta Vanek - który wciąż wypatrywał peugeota 504 - przestraszył się, gdy nadjeżdżający z tyłu samochód zaczął ich wyprzedzać sekundy przed tym, zanim znaleźli się obok wozu z drewnem. Instynktownie zjechał bliżej prawej krawędzi drogi, gdzie mgła znacznie ograniczała widoczność, usiłując zrobić maksymalnie dużo miejsca temu idiotcie, który wyprzedzał w tak niebezpiecznym momencie. Widząc co się dzieje, kierowca ciężarówki zamrugał oczami, ale nie było się gdzie odsunąć.

- Uważaj - odezwał się Lansky, nagle czujny. - W tamtym hotelu był jakiś mercedes...

Lennox jechał przy renaulcie, gdy wóz z drewnem zaczął ich mijać.

Po chwili zniknął. Lennox lekko skrzył kierownicę i mercedes z hukiem uderzył w bok renaulta. Mokra nawierzchnia dokonała reszty. Samochód Czechów wpadł w poślizg i przeleciał ponad krawędzią. w tym miejscu zbocze było mniej strome. Czując, że samochód spada, Vanek zdjął nogę z pedału gazu, pozwalając pojazdowi jechać własnym rozpędem. Koła ślizgały się na błotnistej skarpie, wzbijając w powietrze wielkie rozbryzgi błota, które ochlapały przednią szybę zamazując widoczność, toteż Vanek jechał na oślep. Samochód zjeżdżał coraz niżej, ślizgając się i okręcając, podczas gdy Czech walczył, by utrzymać go na w miarę prostym kursie. Potem, nie wiedząc, co jest przed nimi, zahamował. Renault uderzył w coś i zatrzymał się. Żyjemy - wychrypiał Vanek.

- Mieliliśmy cholerne szczęście - stwierdził Lansky.

Wysiedli na deszcz. Znajdowali się w połowie długiego zbocza - zatrzymał ich trawiasty wał. Kilka metrów dalej błotnista wiejska droga opadała dalej po skarpie, po czym wracała w górę w stronę szosy.

- To był ten człowiek, którego widziałem w toalecie - powiedział Lansky. - Na chwilę przed tym, jak nas uderzył, mignął mi przed oczyma. Nie może być gliną, bo nie strącałby nas z drogi.

- Jeśli go jeszcze spotkamy, to go wykończymy - odparł Vanek. - Najpierw musimy obrócić ten wóz i spróbuję wjechać na górę. To trochę potrwa - dodał. Wysoko na górze Lennox zatrzymał mercedesa i spojrział w dół.

Musiał poczekać minutę, aż się przejaśniło. Wtedy dostrzegł w dole samochód i kręcące się wokół niego dwie małe postacie. Jedna z nich wsiadła do renaulta - usłyszał słaby odgłos zapalnego silnika. Po chwili silnik zgasł. Kierowca wysiadł i obaj mężczyźni zaczęli pchać pojazd. Lennox odjechał rozczarowany. Miał nadzieję ich zabić, a zyskał tylko trochę na czasie.

Wyżej pogoda była jesienna i musiał zmniejszyć szybkość. Chmury zasłoniły szczyty, mgła okryła niższe zbocza i świat na zewnątrz samochodu był tylko ciemną plamą lasu jodłowego w przesuwającej się mgle. Adres podany przez Dietera Wohla - Farma Drwala, Saverne - był zwodniczy, podobnie jak wiele adresów w wiejskiej Francji. Korzystając z mapki, narysowanej na odwrocie menu przez barmana w „Zajeździe Wogeskim”, Lennox jechał przez mgłę. W pewnej chwili znalazł się blisko kanału w dole, gdzie okryte ceratowymi płaszczami postacie krzątały się na wielkiej barce. Minąwszy zakręt, zobaczył ustawioną nad żywoplotem tablicę z surowego drewna:

Farma Drwala”.

”

Drogę, która pięła się nad szosą i ginęła pomiędzy stromymi zboczami, pokrywało śliskie błoto, a koleinami płynęła woda. Zrobiło się tak pochmurno, że musiał włączyć światła. Gdy dotarł na szczyt wzgórza, reflektory omiotły długi wiejski dom o spiczastym dachu.

Budynek, wciśnięty pod obwieszoną pnączami skałę, zamykał drogę.

Nie wyłączając silnika Lennox wysiadł. Oceniał, że może mieć nie więcej niż piętnaście minut na wyciągnięcie Annette Devaud z domu, zanim przybędzie komando.

Kobieta, która otworzyła drzwi, trzymała w rękach dubeltówkę, wycelowaną w brzuch Anglika. Oznajmiła, że widziała go z okna na piętrze i że nie wpuszcza obcych. Lennox zaczął mówić szybko, z nutą hysterii w głosie:

- Czy mogę skorzystać z pani telefonu? Na szosie na dole był wypadek i jakaś kobieta jest ciężko ranna...

- Nie mam telefonu.

- To niech pani mi da jakieś bandażę, na litość boską... - Gestykułując gwałtownie, odtrącił lufę w bok i wyrwał kobiecie broń. - Przepraszam, ale strzelby mnie niepokoją - łatwo mogą wypalić. A na szosie nie ma wypadku, chociaż za jakieś dziesięć minut może się wydarzyć tutaj i pani będzie jego główną bohaterką. - Wziął głęboki oddech. - Dwóch mężczyzn jedzie tu, by panią zabić...

Lennoxowi ulżyło, gdy zobaczył Annette Devaud. Spodziewał się niedołęznej staruszki, a tymczasem kobietę, która stawiała mu czoło ze strzelbą, trudno było nazwać niedołęzną. Była średniego wzrostu, trzymała się prosto i poruszała zwinnie. Teraz stała piorunując go wzrokiem - wciąż dobrze trzymająca się kobieta o rzymskim nosie i mocnej szczęce.

- Nie wygląda pan na szaleńca - odezwała się. - Dlaczego ktoś miałby chcieć mnie zabić?

- Ponieważ być może potrafi pani zidentyfikować Lamparta...

Sporo ponad piętnaście minut - spojrzawszy na zegarek, Lennox zdał sobie sprawę, że o wiele za długo - zajęło mu przekonywanie Annette Devaud, że być może wie, o czym mówi. Przez ten czas, stojąc w jej staroświeckim salonie, zrozumiał coś, nad czym głowił się od chwili, gdy barman powiedział mu, że staruszka jeszcze żyje. Jeżeli była w stanie zidentyfikować Lamparta - w co wątpił - i jeśli jakimś niesamowitym trafem Leon Jouvel miał rację, jak to się stało, że nie zobaczyła Guya Floriana w ciągu tych kilku miesięcy od odzyskania wzroku? W gazetach, czasopiśmie, telewizji? Annette Devaud, gdy już opowiedziała o tym, jak pielęgnowała kiedyś rannego Lamparta, udzieliła mu odpowiedzi i na to nie wypowiedziane pytanie.

- Odkąd odzyskałam wzrok, panie Bouvier, czytam książki...

Machnęła ręką w stronę ścian, od podłogi po sufit założonych książkami. - Przez te wszystkie lata musiałam zadowalać się brajlem - teraz mogę nareszcie znów czytać! Od dzieciństwa zawsze byłam wielką miłośniczką książek. Moją ambicją jest przeczytać to wszystko, zanim umrę...

- Ale gazety...

- Nie wierzę w nie. Nigdy nie wierzyłam. Są nudne. A czasopisma?

Po co je czytać, jak się ma książki?

- A telewizja?

- Jest taka sama, jak gazety. Zresztą nie mam telewizora. Radia również. - Madame Devaud wyprostowała się. - Mieszkam tu sama i jestem z tego zadowolona. Mam dwadzieścia pięć hektarów lasów, po których włóczę się godzinami. Mogę się obyć na zawsze bez świata, który widziałam podczas wojny. W żywność i inne niezbędne rzeczy zaopatruje mnie pewien człowiek ze wsi, jestem więc samowystarczalna.

I podoba mi się to, panie Bouvier...

- Ale czy gdyby Lampart jeszcze żył, rozpoznałaby go pani?

- Lampart nie żyje...

- Ale gdyby żył? - nalegał Lennox.

- Tak, chyba rozpoznałabym go.

- Poznałaby go pani?

Z trudem udało mu się namówić ją do opuszczenia domu i odjechania z nim mercedesem. Zanim się na to zdecydowała, musiał przejść jeszcze jedną próbę.

- Skoro stracił pan z drogi renaulta z tymi dwoma w środku - zauważyła - to na pańskim samochodzie powinno być widać ślady zderzenia.

Założyła na siebie ciężkie futro i Lennox wyprowadził ją na dwór.

Przyjrzała się wgnieceniom na mercedesie, po czym szybko do niego wsiadła.

- Lepiej się pośpieszmy - rzuciła. - Bo inaczej spotkamy ich zjeżdżając na dół. Byłam przekonana, że mówi pan prawdę, zanim zobaczyłam uszkodzenia - potrafię oceniać ludzi. Ale musi pan przyznać, że miałam prawo być podejrzliwa...

- Wysadzę panią przy najbliższym posterunku policji - oświadczył Anglik ruszając w dół.

- Znam pewne miejsce, gdzie możemy się ukryć i widzieć wejście na farmę...

Chciała wziąć ze sobą strzelbę, lecz nie było już czasu, by po nią wracać. W kieszeni płaszcza miał lugera pożyczonego od Petera Lanza. Gdy już prawie dojeżdżali do szosy, zgasił światła, obawiając się, że mogą zdradzić wjazd na farmę, jeśliby renault właśnie się zbliżał. Sam ominąłby ten wjazd, gdyby nie mapka i tablica. Przy końcu szlaku wszystko okrywała gęsta mgła. Nagle rozbłysła oświetlona światłami reflektorów z szosy. Renault przybył zaledwie sekundy przed tym, zanim zdołali wydostać się z terenu farmy.

Lennox zaczął naciskać na hamulec, chcąc wycofać się w górę drogi, którą właśnie zjechali. Okazało się to niemożliwe. Gdy zwalniał hamulec, na jego czole lśnił pot. Światła samochodu na szosie omiotły zakręt, oświetlając na krótko wjazd, po czym renault przejechał dalej.

Anglik znów ruszył w dół i przyspieszył, nie zważając na niebezpieczną śliskość

drogi.

- Niech pan się zatrzyma przy wyjeździe - zarządziła Annette Devaud. - Jeśli ci ludzie znajdą farmę, mogą ją zniszczyć. Proszę więc usunąć tablicę.

Posłuszny jej życzeniu, zatrzymał samochód, wyskoczył i mocno uderzył w słupek. Rozległ się trzask próchniejącego drewna i tablica przewaliła się do tyłu, znikając z widoku. Nie zrobił jednak tego tylko po to, by jej dogodzić: jeśli komando nie będzie mogło znaleźć farmy, zyskają na czasie i może Annette Devaud uda się skontaktować z policją. Wskoczywszy z powrotem za kierownicę postąpił według wskazówek staruszki: skręcił z drogi w lewo - co oddalało ich od Saverne - a potem znowu w lewo z szosy.

Sądził że to rozwidlenie, ale znalazł się na podobnym błotnistym szlaku, który piął się spiralnie w górę wokół stromej ściany skalnej.

- Dokąd to prowadzi? - zapytał.

- Z powrotem na moją ziemię. Nad wysokie urwisko, skąd możemy obserwować wejście do domu.

Lennox zaniepokoił się. Nie znał terenu, poszedł więc za jej wskazówkami, a teraz nagle prowadziła ich na jakiś szczyt, który, jak na jego gust, stanowczo był zbyt blisko farmy.

- Nigdy nas tam nie znajdą - powiedziała uspokajająco madame Devaud. - A my będziemy mogli widzieć, co się dzieje. Nie lubię zostawiać domu nie pilnowanego.

Na końcu krętej drogi, osłoniętej gęstym lasem jodłowym, wyjechali na otwartą przestrzeń, gdzie nad skalistym urwiskiem stała stara szopa. Budynek był zaniedbany, belki dachowe przegniłe, a dwie części wrót leżały porzucone na dywanie z martwej paproci. Gruba warstwa splątanego poszycia ciągnęła się wzdłuż krawędzi urwiska.

Lennox wyłączył silnik i światła i otoczyła ich wilgotna cisza lasu.

Znaleźli się w ślepej uliczce.

Była trzecia po południu, gdy Andre Wiewiórka wysiadł z helikoptera Alouette, którym przyleciał do Saverne, i czekający już na niego samochód odwiózł go na policyjną centralę. Wziął stamtąd trzech policjantów z drugim samochodem i pojechali w Wogezy. Podczas lotu z Paryża stwierdził, że może jednak powinien postąpić zgodnie z radą Grellea i zapewnić Annette Devaud policyjną ochronę, toteż teraz brał ze sobą ludzi, by zostawić ich na farmie po przesłuchaniu jedynej znanej żyjącej osoby, która pracowała kiedyś z Lampartem.

W centrali zasugerował, żeby ktoś zadzwonił najpierw na Farmę Drwala, ale dowiedział się, że madame Devaud nie ma telefonu. Gdy już jechali w spowite mgłą góry, zaczął się niecierpliwić.

- Szybciej - odezwał się do kierowcy. - Chcę tam dotrzeć jak najprędzej...

- Szybciej, panie dyrektorze generalny? W tej mgle?

- Niech pan włączy syrenę, cholera. Szybciej...

Znad urwiska za szopą był - jak zapowiedziała madame Devaud - wspaniały widok w dół trzydziesto - metrowego spadku na szosę i wjazd na farmę. Na prawo od miejsca, w którym stał Lennox, wąska ścieżka wiła się po łagodniej opadającym odcinku i kończyła przy maleńkiej altanie, która przycupnęła na skalnej platformie jakieś dwadzieścia metrów nad szosą. Zaraz pod nią skalna ściana spadała zawrotnie w dół. Za rozpadającą się szopą stał ich mercedes, zaparkowany przodem do drogi, którą przyjechali.

Lennox, zaniepokojony tym, że nie było innego wyjazdu ze wzniesienia, miał już oznajmić madame Devaud, że odjeżdżają. Najpierw jednak sprawdzał szosę. Przez mgłę dostrzegł jakiś samochód nadjeżdżający od strony Saverne, ale jego sylwetka była jeszcze zbyt zamazana, by mógł rozpoznać markę. Spojrzał na zegarek. Piętnaście po trzeciej.

Annette Devaud opierała się w szopie o framugę okna, usiłując coś dostrzec. Samochód podpełził bliżej, jadąc bardzo wolno, jakby kierowca stracił orientację, i nagle Anglik zobaczył, że to renault.

Minąwszy ukryty wjazd na Farmę Drwala - zupełnie niewidoczny po usunięciu tablicy - posuwał się dalej, aż znalazł się bezpośrednio pod Lennoxem, który patrzył teraz na jego dach. Zatrzymał się na parę sekund, po czym zjechał z szosy i zniknął z widoku, kierując się na błotnistą drogę prowadzącą na wzniesienie.

- Jadą tutaj! - zawołał Anglik do madame Devaud. - Niech pani przyjdzie do mnie jak najszybciej...

Kiedy staruszka przybiegła, posłał ją do altany. Postał chwilę, patrząc jak schodzi, stawiając nogi pewnie niczym kozica, a następnie obiegnął szopę i schował się w kępie krzaków, blisko ostrego spadku, i czekał. W prawej ręce trzymał lugera.

Vanek prowadził wolno pod górę. Siedzący obok niego Lansky założył parę cienkich i drogich rękawiczek z koźłej skóry. Zamierzał udusić staruszkę, która według barmana z „Zajazdu Wogeskiego” mieszkała sama. Trochę wcześniej jeszcze raz zapytali o drogę w jakimś młynie. „Kilometr stąd - powiedziano im. - W górę starego, błotnistej szlaku...” Przejechali obok ukrytego wjazdu prowadzącego na Farmę Drwala i skręcili w następną drogę. Minąwszy zakręt znaleźli się na szczycie wzniesienia.

- Coś jest nie tak. Spójrz... - Vanek skinął głową w stronę zaparkowanego mercedesa. - Będę cię osłaniał...

Lansky cicho otworzył drzwi i wyslizgnął się z samochodu.

Przyzwyczajeni do działania w zespole, nie potrzebowali nic sobie wyjaśniać, gdyż obaj orientowali się w sytuacji - gdzieś tu ukrywał się człowiek, na którego Lansky wpadł na rue de l'Epine; człowiek, który niecałą godzinę temu próbował ich zabić, spychając z drogi.

Vanek, ze swoim lugerem w dłoni, czekał przyczajony w samochodzie, podczas gdy na zewnątrz jego towarzysz badał teren. Prawie natychmiast Lansky zorientował się, że otwarta szopa jest pusta.

Przycupnięty w pozycji Lennox nie widział człowieka za kierownicą, reault bowiem stanął na małej górze i jego korpus całkowicie zasłonił kierowcę. Nie widział też drugiego mężczyzny, dopóki ten nie wyskoczył zza samochodu.

Lansky przebiegł sprintem krótki odcinek otwartego terenu dzielącego go od szopy i zniknął w niej. Potem przez minutę czy dwie nic się nie działo, a w każdym razie tak się Lennoxowi wydawało.

W szopie Lansky szukał jakiegoś podwyższenia, skąd mógłby objąć wzrokiem całe wzniesienie. Bardzo cicho zaczął się wspinać po wewnętrznej ścianie, używając poprzecznych belek jako stopni, aż dotarł do dziury w deskach i spojrzał do wnętrza mercedesa. Samochód był pusty. Dokładnie zbadał wzrokiem skraj urwiska i dostrzegł sylwetkę człowieka w pozycji. Wtedy zszedł z powrotem na ziemię, wysunął się z szopy i mając mercedesa między sobą a Lennoxem poczołgał się naprzód, zatrzymując się tylko raz, by kiwnąć swemu towarzyszowi. Vanek skinął głową - cel został zlokalizowany.

Dotarłszy do boku mercedesa, Lansky ostrożnie otworzył drzwiczki, wślizgnął się za kierownicę i sięgnął do kluczyków, które dostrzegł w stacyjce ze swej grzędy na ścianie szopy. Żeby do niego strzelić, Francuz musiałby wstać - a gdyby się odsłonił, wtedy Vanek pierwszy strzeliłby do niego.

Skulony kilkanaście metrów z tyłu za mercedesem, Lennox ledwie zapanował nad sobą, by nie unieść głowy i zobaczyć, co się dzieje.

Odkąd tamten mężczyzna zniknął w szopie, nie doszedł go żaden dźwięk. Lansky, który dokładnie pamiętał pozycję przeciwnika, zastygł z palcami na kluczyku. To będzie musiało się odbyć naprawdę bardzo szybko. A on będzie musiał zatrzymać się na czas, gdyż w przeciwnym razie mercedes przeleci nad krawędzią razem z Francuzem. Tak czy owak, nieznajomy był już trupem: jeśli zostanie na miejscu, samochód straci go w przepaść; jeśli spróbuje uciekać, Vanek zabije go pojedynczym strzałem.

Nagle wszyscy, cała czwórka - madame Devaud czekająca w altanie z sercem bijącym jak młot i trzech mężczyźni nad nią - usłyszeli odległe zawroczenie policyjnej syreny. Lansky natychmiast wrzucił wsteczny bieg i szybko ruszył do tyłu.

Lennox od razu zrozumiał, co się dzieje. Ktoś dostał się do jego samochodu. Chcieli zrzucić go ponad krawędzią. Wyliczył czas do ułamka sekundy i zaczął wstawać dokładnie w chwili, gdy przed renaultem zasłonił go pędzący na niego mercedes. Przed oczami mignęło mu tylne okno samochodu obramowujące ramiona i przekreśloną w bok głowę kierowcy. Dwukrotnie strzelił w środek tej ramy, skierowując lufę lugera lekko do dołu, po czym skoczył w bok i rozpląszczył się na ziemi. Obie kule trafiły Lanskyego w plecy, ale żadna nie spowodowała natychmiastowej śmierci. W skurczu wywołanym szokiem jego prawa noga wdepnęła mocno pedał gazu. Mercedes przedarł się przez zarośla, przeleciał przez krawędź urwiska i pokoziołkował spadając w dół. Po chwili uderzył w szosę trzydzieści metrów poniżej. Policyjny wóz patrolowy z Boisseau w środku i miejscowym kierowcą skręcał właśnie na Farmę Drwala. Gdy zaczął zawracać, mercedes stanął w płomieniach.

Kiedy Vanek ujrzał, jak mercedes z Lanskyem zniknął za krawędzią, zawrócił ostro renaulta, tak że znalazł się przodem do drogi. Kilka metrów od siebie ujrzał Lennox. Zahamował, porwał z kolan lugera, instynktownie wycelował i pociągnął za spust. Anglik dopiero unosił swoją broń, gdy pocisk Czecha trafił go i rzucił z powrotem na ziemię.

Vanek z szaleńczą prędkością zjechał w dół szlaku, udało mu się jednak utrzymać kontrolę nad pojazdem. Płonący mercedes blokował drogę na prawo, odgradzając go jednocześnie od wozu patrolowego.

Skręcił więc w lewo i ruszył pustą szosą, zastanawiając się, co dalej robić. Najprościej byłoby... zniknąć. Pomysł ten podsunęła mu śmierć partnera, której świadkiem był przed chwilą. Wspinając się stromym odcinkiem szosy dojechał do miejsca, gdzie droga zakręcała ostro.

Na prawo stał płot i tablica ostrzegawcza: NIEBEZPIECZNY ZAKRĘT.

Zatrzymał renaulta zaraz za zakrętem, wysiadł i cofnął się do niedawno postawionego płotu. Teren za nim opadał dobre sześćdziesiąt metrów - do skały, za którą jakiś kanał przecinał pole. Pobiegł z powrotem do samochodu. Stojąc na zewnątrz zapalił silnik, zwolnił ręczny hamulec i zamknął drzwi, a gdy renault zaczął się powoli cofać, kierował nim jedną ręką przez otwarte okno. Kiedy droga zaczęła opadać i pojazd nabrał rozpędu, cofnął rękę z kierownicy. Po chwili renault uderzył w pomalowany na białą płot - ustawiony tylko dla oznakowania krawędzi - przełamał się przez niego i zniknął z pola widzenia. Czech słyszał, jak z chrzęstem zgniatanego metalu uderza o skałę - jednak nie wybuchł. Zadowolony, że zyskał na czasie, Vanek zszedł z szosy, wspiął się do lasu i zaczął biec z powrotem go w stronę urwiska, pod którym zginął Lansky.

* * *

Trzymając się lasu, Vanek dotarł na pagórek wznoszący się nad urwiskiem i zobaczył, jak kilku policjantów odprowadza Annette Devaud do wozu patrolowego. Strzegąc jej w szopie, czekali przedtem, aż przyjedzie więcej ludzi - wezwanych przez radio. Następnie policjanci szybko przeszukali lesisty teren otaczający urwisko.

To Lennox, ciągle przytomny i leżący teraz w karetce, ostrzegł Boisseau, że mają do czynienia z profesjonalnymi zabójcami i że nie wolno ryzykować życia madame Devaud.

Zanim Vanek wdrapał się na pagórek, konwój był już gotów do drogi. Za pomocą małej, ale silnej lunety, którą zawsze nosił przy sobie, ukryty za kępą sosen patrzył, jak Annette Devaud jest eskortowana do jednego z samochodów. Soczewki przybliżyły ją tak bardzo, że wyraźnie widział jej głowę i ramiona i pomyślał, że gdyby miał karabin z celownikiem teleskopowym, już by nie żyła. Nagle, jak gdyby jego myśl dotarła do tamtych, policyjna eskorta stłoczyła się wokół staruszki - zniknęła za murem mundurów. Odległość była zbyt wielka, by brać pod uwagę możliwość użycia lugera.

Siedząc na piętach Vanek czekał, aż poprzedzane przez karetkę samochody znikną na drodze, a potem ponownie ukażą się na szosie, gdzie mgła już się rozproszyła. Mimo to auta były słabo widoczne, jego jednak interesowało przede wszystkim, dokąd jadą. W stronę Saverne.

Samochód z drugim zabójcą wyleciał z drogi i spadł na krawędź kanału - zakomunikował Boisseau Marcowi Grelleowi przez telefon z policyjnej centrali w Saverne. - Teraz ludzie powinni właśnie docierać do miejsca wypadku. Pojawił się też ten Anglik, Lennox. Ściśle rzecz biorąc, to on zastrzelił pierwszego z tamtych, a potem sam został trafiony...

- Nie żyje? - zapytał z Paryża prefekt.

- Nie, wyjdzie z tego, ale parę dni pobędzie w szpitalu. Ma dla pana wiadomość. Bardzo ostrożny człowiek z tego Lennox - musiałem pokazać mu legitymację, zanim zechciał przekazać tę wiadomość przeze mnie. Otóż on twierdzi, że madame Devaud potrafi zidentyfikować Lamparta... - Boisseau przerwał, gdyż inspektor, który właśnie odebrał telefon na innej linii, dał mu znak ręką. Posłuchawszy przez chwilę, wrócił do rozmowy z Paryżem: - To może być zła nowina. Zbadano renaulta tych bandytów - tego, który wyleciał z szosy. W środku nie ma nikogo i wygląda na to, że mógł zostać strącony specjalnie po to, by wprowadzić nas w błąd. Jeden z morderców znajduje się ciągle na wolności...

Motorowa barka sapiąc płynęła powoli naprzód, zbliżając się do Vanka, który czekał

na brzegu kanału. Oddech miał wciąż jeszcze trochę przyspieszony. Kiedy zszedł z pagórka i przedarł się przez las, dotarł do szosy, ostrożnie przeszedł na jej drugą stronę i po pokonaniu jeszcze jednego niedużego wzniesienia znalazł się przy kanale.

Szedł właśnie opuszczoną ścieżką flisacką, gdy usłyszał z tyłu odgłos silnika.

Pomachał do człowieka za kołem sterowym na tyle barki, ubranego w żółty płaszcz ceratowy i czapkę z daszkiem, i kilkakrotnie krzyknął: „policja!”, a następnie poczekał, aż barka podpłynie na tyle blisko, by mógł wskoczyć na pokład. Pokazał flisakowi swoją legitymację Surete.

- Jest pan sam?

Mężczyzna o ogorzalej twarzy zapewnił go, że tak, i powiedział, że już wcześniej był zatrzymywany przez policjantów, którzy badali rozbity samochód.

- Jak daleko jest stąd do następnej służby? - zapytał Czech, ignorując uwagę flisaka. Było sześć kilometrów. - Popłynę z panem - oznajmił. - Szukam mordercy, który uciekł z tamtego samochodu...

Przez kilkanaście minut Vanek stał za flisakiem, udając, że obserwuje pola, ciągnące się wzdłuż kanału, lecz w rzeczywistości uważnie śledził wszystkie czynności tamtego. Leniwie, jakby dla zabicia czasu, rzucił jedno czy dwa dotyczące prowadzenia barki pytania.. Mgła spłynęła z gór i osiadała teraz w wąskim parowie, którym kanał przepływał.

- Ma pan czapkę jak szofer - zauważył Vanek. - Całkiem słusznie, też pan prowadzi, tyle że barkę zamiast samochodu. - Mówiąc to wyjął lugera i strzelił flisakowi w plecy.

Zanim wyrzucił trupa za burtę, zdjął z niego płaszcz oraz czapkę i włożył je na siebie. Użył ciężkiego łańcucha leżącego na pokładzie, by obciążyć ciało - przeciągnął go między nogami i wokół ramion ofiary. Zatrzymał barkę; dryfowała łagodnie, gdy przerzucił przez burtę trupa. Kiedy tylko ciało zniknęło w szarej, mętnej wodzie, ponownie uruchomił silnik i stanął za kołem sterowym. Kilka minut później z mgły wynurzył się most, ze stojącym na środku wozem patrolowym i policjantem pochylającym się nad barierką.

- Widział pan po drodze samotnego mężczyznę?! - zawołał policjant, gdy barka podpłynęła bliżej.

- Tylko pańskich kolegów sprawdzających samochód, który wypadł z szosy! - odkrzyknął Czech.

Policjant czekał, spoglądając w dół, jak Vanek - który patrzył prosto przed siebie - przeprowadza barkę pod mostem i płynie dalej kanałem. Po kilku minutach most z tyłu rozpułynał się we mgle, ale z przodu zaczął rysować się następny. Vanek stwierdził, że zostawił już za sobą teren, na którym go poszukiwano. Zresztą i tak musiał opuścić barkę

przed służą. Przepływając pod mostem zatrzymał baręk, schował płaszcz flisaka pod zwój sznura i wspiął się na błotnistą ścieżkę, która wyprowadziła go na jakąś wiejską drogę.

Przeszedł kawałek drogą, trzymając się z dala od szosy, aż znalazł dogodną kryjówkę za kępą drzew - stanął tam i czekał. W przeciągu piętnastu minut przepuścił dwie furgonetki towarowe, a potem dostrzegł nadjeżdżającą od strony szosy limuzynę BMW. W środku był tylko jeden człowiek. Czech wyszedł na środek drogi machając kierowcy, by się zatrzymał.

- Policja! Policja!

Ponownie okazał swoją legitymację Surete. Tamten powiedział, że już był zatrzymywany na szosie.

- Nie wierzę panu - oświadczył Vanek chowając legitymację. - Jak daleko stąd to było?

- Kilometr - poinformował go kierowca. Był to mężczyzna około sześćdziesiątki, ubrany w drogi garnitur, o aroganckim sposobie bycia. Powiedział, że jedzie do Metz - nie wspominając o tym, że jest bankierem. Wyciągnąwszy lugera, Vanek kazał mu przesunąć się na miejsce pasażera, a sam usiadł za kierownicą. Nałożył czapkę zabraną zabitemu flisakowi.

- Jestem teraz pańskim szoferem - oznajmił. - Jeśli zatrzyma nas patrol policyjny, potwierdzi pan to. Jeśli popełni pan choćby jeden błąd, strzelę panu trzykrotnie w brzuch i będzie pan powoli umierał.

Właściciela BMW przeraziła nie tyle sama treść groźby, co sposób, w jaki Vanek ją wypowiedział. Czech odjechał jeszcze dalej od szosy.

Pięć minut później, w środku lasu, przekonany, że znalazł się już poza zasięgiem policyjnych patroli, zatrzymał samochód, by obejrzeć mapę drogową kupioną wcześniej na strasburskim lotnisku, tę samą, która doprowadziła jego i Lanskyego do Saverne. Zobaczył, że może dotrzeć z powrotem do Saverne inną trasą, trzymając się na północ od kanału i szosy.

- Niech mi pan lepiej da dokumenty samochodowe - odezwał się do swojego pasażera.
- Szofer pilnuje takich rzeczy.

Mężczyzna wręczył mu papiery.

- Zostawię pana tutaj związanego. Za godzinę zadzwonię na policję w Saverne i powiem im, że pan tu jest. Jestem tylko złodziejem i wcale mi nie zależy, żeby pan umarł z zimna.

Wysiadł z samochodu razem z więźniem, zastrzelił go na poboczu i ukrył ciało za krzakami. Wróciwszy do BMW pojechał okrężną drogą w kierunku Saverne.

Boisseau posłużył się całym swoim urokiem i siłą perswazji, ale nie wywarł żadnego wrażenia na Annette Devaud i nie był w stanie zmienić jej decyzji. Tak, pojedzie do Paryża i

spotka się z prefektem policji, jeśli to takie ważne - Boisseau odkrył, że myśl o takiej podróży podekscytowała ją. Być może fakt, że tak blisko otarła się o śmierć, sprawił, że zapragnęła jeszcze raz zobaczyć stolicę. Ale nie, nie poleci samolotem, choćby dawali jej milion franków. I nie, nie pojedzie samochodem - dostaje od tego mdłości. Uda się do Paryża tylko pociągiem.

Z policyjnej centrali w Saverne, dokąd zawieźli ją samochodem - "To już było dosyć jazdy" - oświadczyła z uporem - Boisseau bez przerwy dzwonił do Marca Grellea, donosząc mu o wszystkim.

I właśnie Grelle zdecydował o ściągnięciu jej do stolicy pociągiem.

- Musisz jednak podjąć najsurowsze środki ostrożności - ostrzegł prefekt swego zastępcę. - Pamiętaj, że trzech świadków już zostało zabitych, a niewiele brakowało, by dostali też Annette Devaud. Co najmniej jeden zabójca nadal grasuje.

Po rozmowie z Boisseau osobiście zadzwonił do Strasburga, by zażądać pełnej współpracy - Annette Devaud musi bezpiecznie dotrzeć do Paryża do dziewiątej wieczorem, kilkanaście godzin przed planowanym odlotem Guya Floriana do Rosji.

Centrala policji w Saverne była zaznaczona na mapie Vanka, toteż po dotarciu do miasta nie miał problemów ze znalezieniem drogi. Ciągle w czapce szofera na głowie siedział wyprostowany za kierownicą sunącego wolno BMW, jakby w poszukiwaniu miejsca do zaparkowania. Przed posterunkiem stały w rzędzie cztery wozy patrolowe, a strzegący budynku umundurowani policjanci chodzili tam i z powrotem. Jeden z nich spojrzął na BMW i odwrócił wzrok; jak to Vanek powiedział kiedyś Brunnerowi, na kapitalistycznym Zachodzie policja z respektem traktuje bogatych - a nie ma lepszego dowodu zamożności niż prowadzone przez szofera BMW.

Czech miał jeszcze inny powód, by czuć się pewnym siebie: zanim zabił właściciela samochodu, wyciągnął z niego informację, że jedzie do Metz - a to oznaczało, że powinny upłynąć co najmniej dwie godziny, zanim ktoś zacznie się niepokoić jego nieobecnością. Vanek pojechał dalej, przekonany, że trzymają Annette Devaud pod strażą w centrali i wkrótce będą musieli przewieźć ją gdzie indziej - może z powrotem do jej domu na Farmie Drwala. Zatrzymawszy się na bocznej uliczce, ustawił samochód w kierunku jazdy, by móc później szybko odjechać, wrzucił monetę do parkometru i pieszo wrócił do pobliskiego baru, skąd mógł obserwować posterunek.

Operację, mającą na celu ochronę Annette Devaud, Boisseau zorganizował siedząc na policyjnym posterunku w Saverne. Mając za sobą cały autorytet Grellea - „Dotyczy to bezpieczeństwa prezydenta Republiki Francuskiej” - Boisseau wydał telefonicznie szereg

dokładnych instrukcji. Zanim odchodzący o 17:14 do Paryża transeuropejski ekspres „Stanislas” opuścił Strasburg, doczepiono do niego specjalny wagon, zaraz za lokomotywą. Na jego oknach umieszczono naklejki reserve. O 17:15 pociąg jeszcze stał - zamknięto bariery prowadzące na peron i ukryci przedtem w biurze bagażowym żandarmi z bronią maszynową weszli do zaplombowanego wagonu.

Gdy ekspres znajdował się pięć minut drogi za Strasburgiem, w miejscu, przez które normalnie przejeżdżał z dużą prędkością, żandarmi przemaszerowali przez cały pociąg, opuszczając wszystkie żaluzje w oknach.

- Niebezpieczeństwo - wyjaśnił głośno dowodzący oddziałem inspektor pewnemu pasażerowi z wagonu restauracyjnego, który miał czelność zapytać, co się u diabła dzieje. - Otrzymaliśmy ostrzeżenie o wzmożonej aktywności terrorystów...

Zbliżając się do dworca w Saverne, otoczonego przez miejscową policję i posiłki ze Strasburga, „Stanislas” zaczął zwalniać. Gdy wjechał na peron, atmosfera była niesamowita. By powstrzymać pasażerów, którzy chcieliby podnieść żaluzje - w transeuropejskim ekspresie są one mechaniczne: wystarczy nacisnąć guzik - pociąg został oświetlony silnymi reflektorami umieszczonymi na ciężarówkach.

Każdy, kto wyjrzałby na zewnątrz, zostałby oślepiiony przez ich blask.

Boisseau siedział w poczekalni z madame Devaud, opatuloną w swoje niemodne futro. Pomimo całego zamieszania była wciąż spokojna i opanowana.

- Czy to prawda, że będę miała cały wagon dla siebie? - zapytała.

Boisseau potwierdził. Osobiście odprowadził ją do pociągu, namówiwszy przedtem do założenia ciemnych okularów - częściowo dla kamuflażu, częściowo dla ochrony przed blaskiem lamp. Gdy szła korytarzem do swego przedziału, pociąg ruszył dalej.

W niewielkiej odległości od dworca, niewidoczny dla policjantów z konwoju, szofer pewnego BMW miał małe kłopoty z silnikiem.

Podniósłszy maskę samochodu, sprawdzał przewody. Ekspres właśnie ruszył, kiedy mężczyzna rozwiązał problem, zamknął maskę i usiadł z powrotem za kierownicą. Odjechał szybko, zaraz za Saverne przyspieszając jeszcze bardziej. Zmierzał na lotnisko w Strasburgu, skąd często startują samoloty Air Interu do Paryża.

* * *

Marc Grelle sądził, że dowiedział się, w jaki sposób lista trzech świadków Lasallea została przekazana do Moskwy. W miarę rozwoju wydarzeń i napływu informacji o jakimś sowieckim komandzie eliminującym ludzi, których nazwiska znalazły się na liście Lasallea,

prefekt zdał sobie sprawę, że to za dużo jak na zbieg okoliczności.

Ktoś w Paryżu oprócz niego widział listę i sprawił, że została przesłana do Rosji. Wtedy Sowieckie Komando wysłano na Zachód.

Rozpoczął swoje dyskretne dochodzenie w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, odtwarzając drogę, jaką przebyła jego notka zawierająca listę. Posłał ją przez posłańca Rogerowi Danchinowi, późnym rankiem we wtorek 14 grudnia. Francois Merlin, lubiący prefekta asystent ministra, okazał się pomocny w tej sprawie.

- Nie mieliśmy ostatnio żadnej wiadomości od Hugona, naszego kontaktu przy pułkowniku Lasalleu - więc podwójnie sprawdzam wszystko, co dotyczy naszych zarządzeń...

Merlina nie zdziwiło, że prefekt osobiście prowadzi dochodzenie - cały Paryż wiedział, że Grelle lubi sam wszystkiego dopilnować.

Kopie wiadomości od Hugona otrzymało bardzo wąskie grono osób: Grelle, Boisseau, minister i jego asystent, Merlin.

Naglony do przejrzania akt, Merlin powiedział prefektowi, że poufna notatka zawierająca nazwiska i adresy trzech świadków dotarła na Place Beauvau tuż przed południem we wtorek 14 grudnia.

- Byłem w gabinecie, kiedy to czytał - powiedział Merlin. - Kilka minut później przybył ambasador Worin na prywatne spotkanie z ministrem, przed pójściem do pałacu. A chyba do tego czasu szef uporał się z tą notką...

- Uporał się...?

- Kazał natychmiast przesłać jej kopię do gabinetu prezydenta.

Sam znosiłem ją na dół i wręczałem gońcowi, który właśnie wyruszał do pałacu. Po drodze spotkałem ambasadora Worina, który przed chwilą przyjechał i czekał na spotkanie z Danchinem. Do Pałacu Elizejskiego dociera oczywiście wszystko, co dotyczy pułkownika Lasallea - wyjaśnił Merlin.

Prefekt chrząknął i wypił resztę kawy, którą poczęstował go Merlin.

- Sądzi pan, że mógłbym porozmawiać z sekcją nasłuchu? - zapytał. wśród lasu masztów radiowych, które wznoszą się z dachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na Place Beauvau, znajduje się antena używana do nasłuchu sygnałów radiowych nadawanych przez obce ambasady. 14 grudnia, o czwartej po południu, dyżurny technik w zespole nasłuchu zarejestrował długi sygnał wychodzący z ambasady radzieckiej na rue de Grenelle 79. Nagrany na taśmie sygnał został przekazany sekcji rosyjskiej, która wykonała rutynowe badanie zakodowanego przekazu - rutynowe dlatego, że nikt nie spodziewał się, iż uda mu się rozwikłać ten potok cyfr.

Rosjanie używają szyfrów jednorazowych, które są nie do złamania.

Szyfry łamie się odkrywając klucz - czasem wystarczy niewielki fragment tekstu. Ale kiedy każdy element szyfru związany jest z jakąś określoną książką - często powieścią (dawniej rosyjscy szyfranci preferowali Dickensa) - nie ma sposobu złamania kodu, kiedy się nie wie, którą z tysięcy książek wydanych w ciągu minionych stu lat wybrano. A że zazwyczaj ta sama książka nigdy nie bywa używana dwa razy, jest to przeważnie szyfr jednorazowy.

Ten sygnał badał specjalista od szyfrów, Pierre Jadot, i natychmiast przypomniał to sobie, kiedy Grelle zapytał go o jakiegokolwiek radzieckie sygnały nadawane tamtego dnia.

- Złożyłem zwykły rutynowy raport ministrowi - powiedział - i pamiętam, że sugerowałem, iż część tego sygnału mogła być listą nazwisk i adresów...

- Jest pan tego pewien? - spytał obojętnie Grelle.

- Nie, skądże. To tylko domysł. Nie ma sposobu rozwalenia sowieckich szyfrów.

- Czy może mi pan w przybliżeniu powiedzieć, ile czasu mogło zająć rosyjskiemu szyfrantowi z tej strony przygotowanie tego sygnału do nadania?

Jadot sięgnął po teczkę, wyjął kopię komunikatu i przypatrywał się jej przez kilka minut.

- Może jedną godzinę, dwie... Prawdopodobnie bliżej dwóch...

Podziękowawszy Jadotowi prefekt opuścił ministerstwo i w drodze powrotnej do prefektury zajrzał do pałacu. Znowu poprosił o rejestr gości i znowu przejrzał kilka stron, by nie zdradzić, czego naprawdę szuka. Potem pojechał prosto do swego gabinetu i przywołał Boisseau.

- Leonid Worin, sowiecki ambasador, opuścił pałac o 13:45.

Biorąc pod uwagę ruch na ulicach, musiał dotrzeć do swojej ambasady pół godziny później - o 14:15. To dało szyfrantowi prawie dwie godziny na przygotowanie sygnału do transmisji, która rozpoczęła się o czwartej - co pasuje do obliczeń Jadota... Sygnału, który mógł z powodzeniem zawierać listę nazwisk i adresów pułkownika Lasallea...

- Co cofa nas znowu do ludzi, którzy wiedzieli o liście i widzieli się z ambasadorem Worinem - odparł Boisseau. - Danchin i...

- ... prezydent - uzupełnił Grelle. - Czuję, że przez tę sprawę zaczyna przebijać światło dnia.

- Albo zbliża się najczarniejsza noc - skomentował Boisseau.

Była szósta wieczorem, gdy Alain Blanc wszedł do gabinetu Grelle.

Wyglądał na przygnębionego. Ekspres „Stanislas”, z Annette Devaud na pokładzie,

pędził teraz przez noc do Paryża. Na Lotnisku Charlesa de Gaullea mechanicy krzżeli się przy concordzie, którym prezydent Florian za kilkanaście godzin miał polecieć do Moskwy. Blanc wszedł do gabinetu z wściekłą miną i zamknąwszy drzwi opadł na fotel.

- Słyszał pan oczywiście o tym sowieckim konwoju? - spytał minister obrony narodowej. - Płynie właśnie przez Cieśninę Sycylijską i jego celem może być Barcelona albo nawet Lizbona.

- Co pana niepokoi? - spytał prefekt.

- Wszystko! - Blanc wyrzucił w górę ręce w wymownym geście. - Ten ruski konwój. Uporczywe pogłoski o nadciągającym zamachu stanu w Paryżu. Przez kogo dokonany, na miłość boską?! A pół godziny temu usłyszałem po raz pierwszy, że w poniedziałek prezydent odbył potajemny lot do Niemiec - do dowództwa armii francuskiej w Baden - Baden!

Grelle spojrział na ministra ze zdumieniem.

- Nie wiedział pan, że prezydent poleciał do Baden - Baden? Nie poinformował pana? Ministra obrony narodowej? Myślałem, że pan wie - sam wydawałem dyspozycje GLAM...

[GLAM - Groupe Liaison Aerien Ministeriel - mała flota powietrzna zarezerwowana do użytku prezydenckiego i ministerialnego.]

Co się u licha dzieje?

- Sam chciałbym to wiedzieć - mruknął Blanc. - Dowiedziałem się też właśnie, że nasze dwie dywizje pancerne w Niemczech, druga i piąta, wracają przez Ardeny do Francji. A kiedy dzwonię do pałacu, prosząc o natychmiastowe spotkanie, mówią mi, że prezydent przyjmuje właśnie sowieckiego ambasadora...

- A jutro odlatuje do Moskwy...

- Otóż to - warknął Blanc. - Ostatnio zachowuje się tak, jakbym w ogóle nie istniał - nie potrafię tego zrozumieć. To jest prawie tak, jak gdyby usiłował sprowokować mnie do dymisji. Może mu się udać - być może będę musiał zrezygnować...

- Niech pan tego nie robi - powiedział Grelle. - Potrzebujemy pana. Rozmawiał pan o tym z innymi ministrami?

- Przecież ich to nic nie obchodzi! - wybuchnął Blanc. - Ja jestem jedynym, który zaczął zadawać pytania, dociekać, co się dzieje. Jeśli tak będzie dalej, chyba naprawdę będę musiał podać się do dymisji...

- Niech pan tego nie robi. Możemy bardzo pana potrzebować - powtórzył Grelle.

Parę minut po wyjściu Blanca oznajmiono Grelleowi, że czeka już na niego następny gość i prefekt poprosił sekretarkę o powtórzenie nazwiska, pewien, że musiał się przesłyszeć. Ale nie, to był komisarz Suchet, jego stary wróg z kontrwywiadu. Przeprosiwszy, że przybył

nie umówiony, Suchet wcisnął swoje otyłe cielsko w fotel i od razu przeszedł do rzeczy:

- Te plotki o zamachu stanu pochodzą z przedmieść „Czerwonego Pasa” - z Billiancourt. Niektórzy agitatorzy są bardzo aktywni i mówią, że wkrótce ludzie mogą być zmuszeni do obrony republiki.

Ponieważ pochodzi to od tych mętów, mogłoby zakrawać na żart, ale ja się z tego nie śmieję - wprost przeciwnie, jestem śmiertelnie zaniepokojony. Godzinę temu moi agenci odkryli w zakładach Renault skład broni. Sądziłem, że powinien pan o tym wiedzieć. Ktoś musi działać...

Grelle natychmiast rozpoczął akcję, najpierw dzwoniąc do Rogera Danchina, by otrzymać jego zgodę, a następnie wydając szereg rozkazów. We wszystkich publicznych budynkach potrojono strażę.

Do kluczowych punktów, takich jak centrale telefoniczne i stacje telewizyjne, zostały wysłane specjalne oddziały. Z koszar pod Paryżem odkomenderowano do miasta silne oddziały CRS do ochrony mostów na Sekwanie. Niemal niezauważalnie Paryż przeszedł w stan oblężenia.

O wpół do ósmej Grelle złożył wizytę w Pałacu Elizejskim, dla sprawdzenia ochrony mającej towarzyszyć prezydentowi na lotnisko następnego dnia.

Po przybyciu do pałacu Grelle nie zdziwił się specjalnie, gdy odkrył, że nie tylko nie ma tam sowieckiego ambasadora Worina, ale że od rana nie było go w ogóle w pobliżu. Ktoś najwyraźniej dostał wcześniej instrukcje, by zachować wzmożoną ostrożność aż do wyjazdu Floriana. Wpuszczony przez portiera, który otworzył mu drzwi z matowego szkła, poszedł w głąb budynku, na pozór przypadkowo otwierając i zamykając różne drzwi. Szukał Kassima, psa Floriana.

Znalazł go w otoczonym murem ogrodzie - w którym prezydent miał zwyczaj przechadzać się z Leonidem Worinem, gdy Rosjanin składał wizytę w Pałacu Elizejskim. Na widok Grellea wilczur zaszczekał i zaczął łaścić się do niego. Kiedy oparł przednie łapy na ramionach prefekta, sapiąc mu radośnie w twarz, Grelle uniósł rękę i przez chwilę głąskał zwierzę po szyi, wokół kolczatki. Potem klepnął Kassima i wszedł z powrotem do pałacu.

Stamtąd udał się szybko na pobliską rue des Saussaies i wszedł na czwarte piętro kwatery głównej Surete. Czekał tam na niego ekspert od elektroniki, którego przysłał wcześniej z prefektury. Grelle przekazał mu poufne instrukcje, po czym wrócił do pałacu po samochód i odjechał do swego biura. Poszło łatwiej, niż się spodziewał. Była to jedyna sprawa, o której nie poinformował Boisseau. Wystarczy, że ryzykował swoją karierę - nie chciał narażać nikogo innego.

Kiedy bawił się z psem, przymocował do wewnętrznej strony jego kolczatki miniaturowy nadajnik. Słowa każdego, kto odezwałby się dosyć blisko Kassima, miały być przekazane do odbiornika połączonego z magnetofonem, znajdującego się w zamkniętym pokoju na rue des Saussaies, zaledwie kilkadziesiąt metrów od Pałacu Elizejskiego.

* * *

Do tej pory Vanek unikał podróżowania samolotem - na lotniskach samotni pasażerowie mogą być wylegitymowani czy przeszukani.

Musiał jednak dotrzeć do Paryża przed ekspresem wiozącym Annette Devaud, nie miał więc wyboru. Idąc do odprawy po kupieniu biletu Air Interu, nie miał przy sobie nic obciążającego. Po drodze na lotnisko cisnął lugera do kanału. BMW stało teraz na lotniskowym parkingu. A czapkę flisaka wrzucił do kanału razem z pistoletem.

Kupując bilet zapłacił za przelot w obie strony - nie miał zamiaru wracać do Strasburga, ale pasażer kupujący bilet powrotny w jakiś sposób budzi zaufanie. Przez kontrolę przeszedł bez żadnych kłopotów, zapewne dlatego, że nie był już sam. Czekać na swój lot w poczekalni, zauważył atrakcyjną dziewczynę w wieku dwudziestu paru lat, która najwyraźniej podróżowała bez towarzystwa; gdy zdjęła rękawiczkę, by zapalić papierosa, dostrzegł, że nie nosi ani pierścionka zaręczynowego, ani obrączki.

Zapaliwszy papierosa usiadł koło niej z zaniepokojoną miną.

- Mam nadzieję, że lot do Paryża nie jest opóźniony. Dzisiaj są urodziny mojej siostry... - Plół tak dalej, instynktownie wybierając właściwe tematy rozmowy. Większość kobiet chętnie wdawała się w pogawędkę z Vankiem, bo nigdy nie był to zbyt wyraźny podryw.

Napomnienie o siostrze było uspokajające, świadczyło o tym, że traktuje kobiety z szacunkiem.

Potem oboje przeszli przez kontrolę. Vanek niósł jej mały kuferek, przekomarzał się z nią i wszyscy brali ich za podróżującą razem parę.

W samolocie usiadł obok dziewczyny i dowiedział się, że nazywa się Michelle Robert i jest osobistą sekretarką kierownika firmy zajmującej się produkcją opon, z siedzibą na La Defense. Zanim dotarli do połowy drogi, dowiedział się od niej numeru telefonu firmy.

Gdzieś nad Szampanią ich samolot wyprzedził ekspres „Stanislas”, wiozący do stolicy madame Devaud.

Pociąg miał przyjechać na Gare de l'Est o 21: 00. Vanek zadzwonił z lotniska do informacji, by się tego dowiedzieć, po czym odleciał o 18:30 i o 19:30 wylądował na lotnisku

Orly. Na Michelle Robert czekała przyjaciółka, więc pozbył się jej bez kłopotów. Dojechał do centrum kolejką podmiejską, a potem przesiadł się w metro. Obliczył, że przy odrobinie szczęścia powinien dotrzeć na Gare de l'Est przed samym przybyciem ekspresu.

Pociąg ze Strasburga wjechał na dworzec o 21:06. Zwykle barierka jest otwarta - bilety są sprawdzane wcześniej, podczas jazdy - i ludzie wychodzą przez nikogo nie zatrzymywani, tego wieczoru jednak była zamknięta i nikogo nie dopuszczano w pobliże peronu.

- To oburzające - stwierdził jeden z pasażerów. - Moja żona mnie oczekuje...

- Jest alarm antyterrorystyczny. Musi pan poczekać - poinformował go inspektor.

Inspektor, którego Grelle osobiście odkomenderował na stację, rozstawił po całej hali uzbrojonych detektywów w cywilu. Jeden z nich, wyposażony w snajperski karabin, czekał w oknie wychodzącym na peron. Kilku detektywów, którzy przechadzali się po dworcu, miało nawet walizki, dzięki czemu wyglądali na zwykłych podróżnych.

Drzwi zapieczętowanego wagonu zostały otwarte i grupka ubranych po cywilnemu mężczyzn ustawiła się półkolem przy jego stopniach.

Nigdzie nie było widać uzbrojonych żandarmów.

- Nic rzucającego się w oczy - ostrzegął Grelle. - Niech wszystko wygląda tak normalnie, jak to tylko możliwe...

Mając przed sobą Boisseau, madame Devaud wyszła z wagonu i zaraz otoczyła ją gromada agentów w cywilu. Zastępca prefekta odszedł od nich i stanął nie opodal. Zapalił papierosa; płaszcz miał nie zapięty, by w każdej sekundzie móc sięgnąć po rewolwer. To był moment, którego obawiał się najbardziej - przeprowadzenie staruszki z pociągu do samochodu. Grupa powoli ruszyła przez halę, dostosowując szybkość marszu do tempa poruszania się Annette Devaud.

Wielu pasażerów zatrzymywało się i zaczynało zwracać uwagę na to, co się działo. Nie dało się całkowicie ukryć tej akcji.

Kiedy Boisseau usłyszał trzask drzwiczek samochodu, odetchnął z ulgą. Szybko opuścił dworzec i wsiadł do innego wozu policyjnego.

- Macie jechać cały czas na sygnale - polecił siedzącemu obok „ kierowcy agentowi, który miał łączność radiową z pozostałymi wozami. - Gdzie się da, przeskakujemy światła...

Operator przekazał wiadomość i kolumna wystartowała. Były w niej cztery pojazdy. Jeden z przodu, potem ten wiozący Annette Devaud. Trzeci miał za zadanie staranować każdy wóz, który usiłowałby włączyć się w kolumnę. I samochód Boisseau, zamykający konwój.

Była 21:09.

Vanek wybiegł z metra i wpadł na Gare de l'Est. Widząc w oddali „Stanislasa”, zwolnił, a gdy podszedł bliżej, zdążył zobaczyć ostatnich pasażerów wychodzących przez otwartą barierkę. Była 21:15. Stracił dużo czasu w metrze, ale nic nie mógł na to poradzić - szukanie taksówki trwałoby jeszcze dłużej. Przez kilka minut stał przy kiosku z książkami - bez wielkiej nadziei na to, że wyprowadzą Devaud dopiero po wszystkich pasażerach - a następnie wszedł do budki telefonicznej i wykręcił paryski numer.

- Tu Salicetti...

- Nic dla ciebie nie mam...

- Ale ja mam coś dla ciebie - warknął Vanek - więc nie rozłączaj się. Poprzednie zamówienie, jakie złożyłeś, będzie teraz musiało być realizowane w Paryżu - dzwonię z Gare de l'Est.

Potrzebny mi jest adres firmy.

Zimny, anonimowy głos z Paryża po raz pierwszy brzmiał niepewnie. Nastąpiła krótka pauza.

- Lepiej zadzwoń jeszcze kilka razy - o dziesiątej, wpół do jedenastej, i tak dalej - odparł w końcu tamten. - W tej chwili nie mam żadnych informacji...

- Będę potrzebował więcej próbek - rzucił zwięźle Vanek.

Rozmówca Vanka odzyskał równowagę - był przygotowany na taką ewentualność. Salicetti ma iść do baru Lepic na Place de la Madeleine i podać nazwę firmy - Lobineau - właścicielowi, który wręczy mu klucz od skrytki bagażowej. Próbki znajdują się w skrytce na stacji Gare du Nord. I czy na pewno będzie dzwonił co pół godziny? Dziesiąta, dziesiąta trzydzieści... Vanek cisnął słuchawkę na widełki. Jasna cholera, co za prymityw! Kiedy był w Paryżu, ubezpieczano się lepiej i zręcznie. Pojechał taksówką do baru Lepic, odebrał kopertę zostawiając pięć franków napiwku, by transakcja wyglądała normalnie dla ewentualnego obserwatora, po czym wziął inną taksówkę na Gare du Nord.

Korzystając z oznaczonego numerem kluczyka, który znalazł w kopercie, wyjął ze skrytki na dworcu torbę we wzorzystą szkocką kratę. To także było głupie: za bardzo rzucało się w oczy. Była to bardzo długa torba, taka, jakich używa się do noszenia rakiet tenisowych. Zawartość świadczyła, że ktoś jednak ruszył głową - francuski karabin półautomatyczny MAT z metalową kolbą, magazynkiem składanym równoległe do lufy na czas transportu i magazynkiem zapasowym; pistolet Smith & Wesson 38 z zapasowymi nabojami oraz krótka nóż sprężynowy o szerokim ostrzu. Vanek przeszedł przez pustą halę do rzędu skrytek po przeciwnej stronie, wybrał pustą i wsunąwszy do niej torbę zamknął drzwiczki, wrzucił monetę i przekręcił klucz.

Nie zamierzał nosić broni, dopóki to nie będzie konieczne - zwłaszcza że jeżdżąc taksówkami zauważył wzmożoną aktywność policji na ulicach. W strategicznych punktach stały też ciężarówki pełne zabijaków z CRS. Jednak taksówki jeździły bez przeszkód - nikt nigdy nie zwraca uwagi na paryskiego taksówkarza, który jest tak samo częścią miasta jak Luwr.

Czech ostatni raz posilał się w renaulcie, w drodze ze Strasburga do Saverne, toteż chętnie zjadłby jakiegoś sandwicza i wypił filiżankę kawy. Spojrzał na zegarek i zaklął. Dochodziła dziesiąta - czas wykonać następny telefon. Z budki na dworcu nakręcił numer. Ledwo zdążył się przedstawić, gdy przerwano mu:

- Rue des Saussaies. Teraz! Wiesz, co mam na myśli?

- Tak...

Tym razem Vanek pierwszy przerwał połączenie. A więc zabrali madame Devaud do kwatery głównej Surete Nationale, tej najgłośniejszej fortecy kapitalistycznego systemu policyjnego. Czech wyciągnął torbę i wyszedł na ulicę za Gare Du Nord, ignorując najbliższy postój taksówek. Chciał dokonać starannego wyboru taksówkarza do następnego etapu operacji.

Prefekta strasburskiej policji, który - w przeciwieństwie do prefekta Lyonu - nie był specjalnie dobrze nastawiony do Marca Grellea, denerwowały drobiazgowo zarządzenia związane z przewiezieniem madame Devaud do Paryża. Kiedy próbował wyciągnąć od Grellea jakieś szczegóły przez telefon, usłyszał tylko: - „Dotyczy to bezpieczeństwa prezydenta i nie wolno mi zagłębiać się w tę sprawę...” Zirytowany - i zdecydowany osłaniać siebie - zadzwonił do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Paryżu. Rozmawiał z asystentem ministra, Francois Merlinem.

- Grelle nie chciał nic mówić przez telefon - poskarżył się prefekt Strasburga. - Wynioskowałem, że ta Devaud jest ważnym świadkiem w jakiejś sprawie, nad którą on pracuje... - Przed rozłączeniem dorzucił jeszcze: - Nalegam, żeby minister dowiedział się o tym.

Merlin natychmiast podyktował notkę, którą położono na ministerialnym biurku, gdzie leżała nie ruszana - i nie czytana - przez ponad godzinę. Była już 20:45, gdy Roger Danchin wrócił do gabinetu z długiej odprawy, na której omawiano bezpieczeństwo przejazdu prezydenckiej kolumny na lotnisko następnego ranka.

- Sprawa, nad którą pracuje Grelle? - zdziwił się po przeczytaniu notatki w obecności Merlina. - Devaud to dosyć pospolite nazwisko, ale to może mieć coś wspólnego z nieudanym zamachem. Muszę powiedzieć prezydentowi... - Sięgnął po telefon, który łączył go

bezpośrednio z Pałacem Elizejskim.

O 21:15, wezwany pilnym telefonem, przybył do pałacu ambasador Worin i jego wizyta została odnotowana w rejestrze gości przez dyżurnego oficera. Florian był już w płaszczu i - jak to miał w zwyczaju - wyprowadził sowieckiego ambasadora do ogrodu, gdzie mogli bez przeszkód rozmawiać. Wilczur Kassim, zawsze gotów do spacerów, pobiegł za nimi, węsząc dookoła w zaroślach, podczas gdy mężczyźni konferowali przyciszonymi głosami. Wizyta Worina trwała bardzo krótko, zaledwie kilka minut. Zaraz potem wrócił do swojej ambasady na rue de Grenelle.

Sposób porozumiewania się pomiędzy Worinem a Vankiem został starannie opracowany - tak, żeby nigdy nie można było ustalić żadnego związku między nimi. Po powrocie do ambasady Worin natychmiast wezwał drugiego sekretarza i przekazał mu wiadomość. Sekretarz wrócił do swego gabinetu i zamknąwszy drzwi na klucz nakręcił numer pewnego mieszkania na lewym brzegu Sekwany, niedaleko muzeum Cluny.

- Dokumenty posiadłości Devaud znajdują się na rue des Saussaies.

Zrozumiałeś?

Człowiek po drugiej stronie zdążył tylko powiedzieć „tak”, zanim połączenie zostało przerwane.

Mieszkanie nie opodal Cluny zajmował mężczyzna, który nigdy nie zwrócił na siebie uwagi policji. Wyposażony w duńskie papiery na nazwisko Jurgensen, był w rzeczywistości Polakiem i nazywał się Jaworski. Nawet nie wiedział, że telefony, jakie otrzymuje, pochodzą z sowieckiej ambasady. Była 21:50, gdy odebrał telefon od drugiego sekretarza. Kiedy o dziesiątej Vanek zadzwonił do niego ponownie z Gare du Nord, przekazał mu informację z ambasady.

Annette Devaud zaprowadzono do pokoju na czwartym piętrze budynku Surete, gdzie czekał już na nią Grelle. Mógł przesłuchać ją w prefekturze na Ile de la Cite, wciąż jednak uważał za rozsądne podtrzymywanie fikcji, że dotyczy to sprawy Lasallea, którą oficjalnie prowadziła Surete. Aby uspokoić Danchina, zadzwonił nawet o ósmej do jego asystenta, Merlina, i powiedział mu, że z Alzacji jedzie świadek, którego przesłucha na rue des Saussaies. Merlin wspomniał o tym ministrowi, zanim ten zatelefonował do Pałacu Elizejskiego.

Sam na sam z pierwszym żywym świadkiem, którego udało mu się osiągnąć, Grelle gawędził przez kilka minut, by Annette Devaud się rozluźniła. Następnie wyjaśnił, dlaczego przywieziono ją do Paryża.

- Naprawdę sądzi pani, że po tych wszystkich latach może pani zidentyfikować

Lamparta? - zapytał łagodnie.

- Jeśli jeszcze żyje, to tak! Przez trzydzieści lat byłam ślepa, do momentu gdy tamten lekarz przeprowadził ową cudowną operację.

Przez ten czas oczami mojej duszy widziałam wszystkich, których kiedykolwiek spotkałam. Poza tym, jak panu mówiłam, pielęgnowałam Lamparta w chorobie. - Zniżyła głos. - A później on spowodował śmierć mojej jedynej córki, Lucie...

Zgodnie ze swoimi przewidywaniami Grelle czuł się okropnie.

Chociaż madame Devaud nie zdawała sobie z tego sprawy - to właśnie on był człowiekiem, który został zmuszony do zastrzelenia drugiej Lucie Devaud, wnuczki Annette.

- Minęło wiele lat, odkąd widziała pani Lamparta - przypomniał jej. - Nawet jeśli jeszcze żyje, mógł się zmienić nie do poznania...

- Na pewno nie. - Jej szczęki zacisnęły się. - On miał mocną strukturę kości - tak jak ja. Kości się nie zmieniają. Nie można ich ukryć...

Grelle wymyślił niezwykłą metodę identyfikacji. Pamiętając o tym, co Boisseau mówił mu przez telefon - że staruszka jest portrecistką amatorką - przyniósł do pokoju zestaw do układania portretów pamięciowych. Zapytał, czego chciałaby się napić, i gdy poprosiła o koniak, przyłączył się do niej. Początkowo pomagał jej w układaniu, ale potem pozwolił staruszce pracować samej. Najwyraźniej podobała jej się ta nowa zabawa.

Zaczynając od zarysu głowy, zabrała się do tworzenia ludzkiej twarzy. Najpierw dopasowała włosy. Grelle otworzył kilka pudełek wydruków z włosami i próbował podpowiadać, ale Annette Devaud niechętnie przyjęła jego pomoc.

- Źle pan zrozumiał - prychnęła. - Mówiłam panu, że zaczesywał włosy wysoko nad czołem...

Twarz zaczynała nabierać kształtu.

Brwi znalazła szybko, miała jednak kłopoty z oczami.

- Były bardzo niezwykle... zniewalające - wyjaśniła. Znalazła oczy na końcu zestawu, po czym zaczęła zastanawiać się nad nosem. - Nosy są trudne... - Wybrała jeden i dodała do portretu. - To ten. Myślę, że to jego najbardziej charakterystyczna cecha... - Dalsze pięć minut zajęły jej usta. Szperała długo w następnym zestawie, zanim wreszcie znalazła właściwe. Na koniec zacisnęła wargi i przymrużyła oczy.

- To jest Lampart - oznajmiła po kilku minutach. - Tak wyglądał.

Prefekt wstał, nie okazując żadnej emocji.

- Madame Devaud, wiem, że nie lubi pani telewizji, ale chciałbym, żeby obejrzała pani pewne fragmenty programów, które zarejestrowałam dziś wieczorem. Są one nagrane na

kasetach. Zobacz pani trzech mężczyzn - wszystkich starszych niż ten, którego twarz pani odtworzyła. Chcę, żeby powiedziała mi pani, który z tych trzech mężczyzn jest Lampartem.

- A więc tak bardzo się zmienił?

Grelle włączył magnetowid. Pierwszy fragment przedstawiał Rogera Danchina w czasie zamieszek sprzed roku, kiedy apelował o spokój, ostrzegając, że demonstracje pociągną za sobą masowe aresztowania.

Potem przez chwilę na ekranie była pustka, ale zaraz pojawił się Alain Blanc, pewny siebie i emfaticzny, tłumaczący ludziom, dlaczego trzeba wydać więcej na budżet obronny.

Madame Devaud nie odzywała się, tylko sięgnęła po swój kieliszek koniaku. Alain Blanc zniknął i zastąpił go Guy Florian w jednym ze swoich antyamerykańskich przemówień. Jak zawsze mówił z buńczucznym i sarkastycznym dowcipem, od czasu do czasu gestykulując gwałtownie, z poważną miną, choć na zakończenie zaprezentował widzom swój słynny uśmiech. Nagranie się skończyło. Grelle wstał i wyłączył telewizor.

- Ten ostatni - stwierdziła Annette Devaud. - Ten, który atakował Amerykanów. Wcale się tak bardzo nie zmienił, prawda?

Carel Vanek starannie wybierał taksówkę, stojąc na chodniku z kraciastą torbą przy nogach. Unikał pojazdów prowadzonych przez młodych kierowców; nie chciał jednak również podstarzałego taksówkarza; starsi ludzie mogą wpaść w panikę i działać zbyt spontanicznie.

Szukał kierowcy w średnim wieku, z rodziną na głowie, nauczonego ostrożności przez doświadczenie. Zatrzymał przejeżdżającą taksówkę machając ręką.

- To takie miejsce na Boulevard des Capucines - powiedział taksówkarzowi. - Nie jestem pewien adresu, ale jak zobaczę ulicę, to ją poznam. Zakręca w lewo...

Rozsiadł się na tylnym siedzeniu, z torbą na kolanach. To, co powiedział kierowcy, było prawdą - nie znał nazwy ulicy, ale przechodził nią wielokrotnie przed trzema laty: uliczka była wąska, ciemna, nie oświetlona w nocy. O tej porze panował niewielki ruch, a Capucines, ulica drogich sklepów, była prawie pusta w ten mroźny grudniowy wieczór, pomimo zbliżającego się Bożego Narodzenia. Taksówkarz jechał powoli, by dać swojemu pasażerowi czas na zlokalizowanie ulicy.

- Niech pan skręci tutaj!

Vanek szerzej rozsunął szybę dzielącą go od kierowcy i nachylił się do niego. Samochód wjechał w wąską, skręcającą w lewo uliczkę. Ściany wysokich budynków po obu stronach zamknęły się nad nimi - było tak pusto jak wtedy, gdy Vanek tu bywał. Capucines była już teraz tylko wspomnieniem. Taksówkarz zapuszczał się coraz głębiej w ten mroczny

kanion, czekając na dalsze instrukcje. Vanek wyteżył wzrok, by dojrzeć coś za przednią szybą, trzymając jedną rękę w torbie.

Wkrótce dotrą do końca i wyjadą na bardziej ruchliwą ulicę.

- Jesteśmy na miejscu. Stop!

Kierowca zatrzymał się i zaciągnął hamulec, nie wyłączając silnika.

Czech przystawił mu do szyi lufę smith & wessona.

- Nie ruszaj się.

Taksówkarz zeszywniał. Vanek nacisnął spust.

Była 22:45, kiedy przed wejście do kwatery głównej Surete na rue des Saussaies zajechał wóz patrolowy. Pierwszy wyszedł z budynku sam Boisseau i rozejrzał się po spokojnej ulicy. W pobliżu nie było nic poza samotną taksówką, nadjeżdżającą od strony Place Beauvau. Boisseau uniósł rękę, dając pozostałym znak, by wstrzymali się z wyprowadzaniem madame Devaud, i czekał. Razem z nim na chodniku stało dwóch żandarmów. Kierowca siedział już za kierownicą stojącego z włączonym silnikiem samochodu.

W ostatniej chwili Grelle postanowił użyć tylko jednego pojazdu dla przewiezienia Annette Devaud do pewnego hotelu, z którego Surete czasem korzystała, gdy trzeba było ukryć ważnych świadków - pojedynczy samochód mniej rzuca się w oczy niż cała kolumna. Grelle osobiście czekał, by zobaczyć jej odjazd, stojąc w bramie razem z nią i trzema detektywami. Taksówka powoli zbliżała się do wejścia i Boisseau zauważył, że nie jest do wzięcia. Nie było w niej jednak żadnego pasażera - najwyraźniej taksówkarz zjeżdżał już ze zmiany.

Mijając ich zdjął jedną rękę z kierownicy, by powstrzymać ziewnięcie.

Patrząc na tylne światła taksówki Boisseau wykonał przywołujący gest ręką i z wejścia wynurzyła się mała procesja. Trzej detektywi otaczali madame Devaud, dostosowując się do jej niespiesznego kroku.

Wyszli na chodnik. W bramie Grelle, z krótkofalówką pod pachą, zapalił papierosa. Miał być w ciągłym kontakcie z pojazdem aż do czasu, gdy dotrze on do celu w siódmym arrondissement. Madame Devaud przeszła szerokość chodnika i stanęła przy samochodzie.

- Proszę się nie niepokoić, to tylko kilka minut jazdy - zapewnił ją Boisseau.

- Niech im pan powie, żeby nie jechali za szybko. Wcale nie podobała mi się podróż z Gare de l'Est.

- Powiem. To potrwa tylko parę minut - powtórzył Boisseau.

Vanek w czapce taksówkarza dotarł właśnie swoim pojazdem na Place des Saussaies,

tuż za rogiem wejścia do kwatery Surete. Od jakiegoś czasu krążył obok bramy, objeżdżając budynek i zawracając.

Teraz też zawrócił i ruszył z powrotem pod prąd. Boisseau zamierzał właśnie pomóc madame Devaud wsiąść do samochodu, kiedy dojrzał wracającą szybko taksówkę. Krzyknął ostrzegawczo, ale był to akurat najgorszy moment - stłoczona grupka stała na otwartej przestrzeni.

Vanek prowadził jedną ręką, drugą przytrzymał pod prawą pachą nastawiony na ogień ciągły automat. Kiedy znalazł się naprzeciwko wejścia do kwatery Surete, wypuścił długą serię. Opróżnił cały magazynek, po czym zniknął na Place Beauvau.

Grelle - stojący trochę dalej - był jedynym, który w ogóle użył broni. Jedna z jego kul roztrzaskała tylne okno taksówki. W następnej chwili mówił już do krótkofalówki, łączącej go bezpośrednio z centrum dowodzenia, zorganizowanym w związku z przejazdem prezydenckiej kolumny na Lotnisko de Gaullea następnego dnia. Opis taksówki ze strzaskaną szybą dotarł w ciągu jednej minuty do wszystkich wozów patrolowych w promieniu dziesięciu kilometrów. Dopiero potem prefekt ogarnął spojrzeniem tragiczną scenę na chodniku.

Dwaj żandarmi pobiegli za taksówką. Boisseau, osłonięty otwartymi drzwiczkami samochodu, wyszedł z tego cało, ale trzech detektywi leżeli na ziemi - dwóch jęczało i oddychało ciężko, trzeci już się nie ruszał.

Musieli podnieść dwóch mężczyzn, by dostać się do madame Devaud, która leżała twarzą w dół. Przekręciwszy ją zobaczyli, że pociski utworzyły na jej klatce piersiowej jakby szew.

Uzbrojony i niebezpieczny...

Wozy patrolowe miały utworzyć kordon, którego zasięg ustalił dowodzący komisarz z centralnego nadzoru. Ponieważ działo się to w przededniu wyjazdu prezydenta, dawało mu szansę sprawdzenia systemu ochronnego. Z wyciem syren policyjne samochody pędziły po wielkich bulwarach. Komisarz rzucał do akcji wszystkie swoje siły, powtarzając bez przerwy ostrzeżenie:

- Uzbrojony i niebezpieczny...

Znaleźli Vanka całkiem blisko Surete. Dostrzeżono jego taksówkę, gdy przejeżdżała przez Place de la Concorde od strony Tuileries.

Wozy patrolowe ruszyły na plac, nadjeżdżając mostem nad Sekwaną, od Champs - Elysees, Rivoli i Avenue Gabriel. Jasno oświetlony i zupełnie pusty wcześniej plac wypełnił się nagle hałasem. Vanek zahamował przy krawężniku, wyskoczył z karabinem w ręce i rzucił

się w stronę jedyne go możliwego schronienia - ogrodów Tuileries.

W tym miejscu zaraz za krawężnikiem jest niski kamienny murek, a kilka metrów za nim wysoki mur wznoszący się aż do balustrady, która tworzy jakby wielką platformę widokową, górującą nad całym Place de la Concorde. Dalej zaczyna się park. Vanek schylony zaczął biec w stronę wejścia do Tuileries, ale któryś z wozów patrolowych zajechał mu drogę. Czech uniósł broń i opróżnił drugi magazynek.

Wszyscy policjanci padli na ziemię. Odrzuciwszy karabin, Vanek przeskoczył niski murek i po dobiegnięciu do wysokiego zaczął się wspinać po wystających z niego kamieniach. Na lewo prowadziły w dół pod ziemię jakieś schody. Prawie dotarł już do balustrady - gdyby ją przeskoczył, mógłby ukryć się w parku. Usłyszał za sobą jakieś krzyki i syreny następnych kilkunastu samochodów, które wpadły na plac.

Wzięli go w krzyżowy ogień. Dwóch żandarmów z chodnika po prawej stronie, trzech innych z lewej. Rozległa się kanonada tym głośniejsza, że wszystkie pojazdy już się zatrzymały. Vanek zawisnął w ciemności, z jedną nogą za balustradą. Po chwili jego zwiotczała ręka straciła uchwyt i zsunął się, spadając wśród ciągłego ognia w głąb schodów, przy których stała duża tablica z napisem: „Descenie Interdite”. Zejście wzbronione.

* * *

Kobieta, która może zidentyfikować mnie jako Lamparta, przybyła do Paryża. Nazywa się Annette Devaud. Przywieźli ją tu ekspresem „Stalislav „....

Rozległo się szczekanie psa, zagłuszające dźwięk na taśmie.

Znajomy, łatwy do rozpoznania głos odezwał się ostro:

- Cicho, Kassim! Nie bardzo widzę, jak można by ją przechwycić.

Osobiście nie mogę podjąć żadnej akcji, gdyż wzbudziłoby to od razu poważne podejrzenia...

- Dlaczego wcześniej nie dołączył jej pan do listy Lasallea? - Drugi głos, z silnym obcym akcentem, również nietrudno było rozpoznać.

- Pod koniec wojny oślepla - założyłem więc, że jest nieszkodliwa.

Mój asystent zadzwonił do szefa policji w Saverne przed samym pana przyjściem i okazało się, że niedawno miała operację, która przywróciła jej wzrok. To przerażająca sprawa, Worin, i to w ostatnim momencie...

- Może uda nam się coś zrobić, panie prezydencie...

- Dołączyłem ją do listy później, kiedy Danchin przysłał mi swój rutynowy raport z tym listem zamieszczonym we „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, przytaczającym jej

nazwisko. Pańscy ludzie mieli ten problem załatwić...

- Coś poszło nie tak...

- Więc nie może mnie pan za to winić! Musi pan naprawić swój błąd...

- W takim razie natychmiast wracam do ambasady, panie prezydencie. Osiągnęliśmy etap, w którym liczą się minuty. Wie pan, dokąd zawiozą tę Devaud?

- Na rue des Saussaies...

Sam w pokoju na czwartym piętrze kwatery głównej Surete, Marc Grelle wyłączył magnetofon połączony z miniaturowym nadajnikiem na szyi Kassima. Puszczając to dwa razy, stojąc podczas słuchania i uważnie wsłuchując się w głosy dwóch rozmawiających ze sobą mężczyzn. Ponowne przesłuchanie taśmy okazało się niepotrzebne - już za pierwszym razem z łatwością zidentyfikował głos Guya Floriana.

A wypowiedziane przez niego słowa były złowroźnie jednoznaczne.

Wpatrując się w ścianę, prefekt zapalił papierosa, ledwo świadom tego, co robi. Gaston Martin widział mężczyznę wchodzącego do Pałacu Elizejskiego... Obserwacja Danchina i Blanka nie ujawniła żadnych kontaktów z Sowietami, a Florian spotykał się z ambasadorem Worinem prawie codziennie. Grelle czuł obrzydzenie, jak mąż, który właśnie zastał swoją żonę w łóżku z prostackim i ordynarnym kochankiem.

Wyjąwszy taśmę z magnetofonu, włożył ją do kieszeni. Następnie podniósł słuchawkę, poprosił o przełączenie na zewnętrzną linię i nakręcił numer. Będąc wciąż w stanie szoku, zdobył się na wysiłek, by mówić chłodno i bezosobowo.

- Alain Blanc? Tu Grelle. Muszę się z panem natychmiast zobaczyć. Nie, niech pan nie przyjeżdża do prefektury. Wracam teraz prosto do mojego mieszkania. Tak, stało się coś. Będzie panu potrzeby kieliszek koniaku, zanim panu to powiem...

Stacjonujące w Republice Federalnej Niemiec i dowodzone przez generała Jacquesa Chassou dwie dywizje francuskie, druga i piąta, znajdowały się już w drodze powrotnej. Władze niemieckie zostały poinformowane, uzyskano też zgodę rządu księstwa Luksemburg na przemarsz wojska. W ciągu kilku godzin pierwsze oddziały obu dywizji przekroczyły granicę z Luksemburgiem i weszły w Ardeny.

O dziesiątej wieczorem, przed odlotem do Sedanu, generał Chassou otworzył instrukcje wręczone mu osobiście przez prezydenta Floriana podczas jego krótkiej poniedziałkowej wizyty w Baden - Baden.

„Po zakończeniu ćwiczeń nie powrócicie do Niemiec, pójdziecie dalej do Francji... Zatrzymacie się w pobliżu Metzu... miejsca postoju zostały już przygotowane...” Przekazując te rozkazy swemu adiutantowi, pułkownikowi Doissy, Chassou kazał poczynić konieczne

przygotowania, po czym odleciał do Sedanu. Doissy, który służył kiedyś pod komendą pułkownika Rene Lasallea, natychmiast zdał sobie sprawę, że rozkaz ten zostawi Niemcy osamotnione wobec Rosji - jedynie z symbolicznym oddziałem brytyjskim u boku armii niemieckiej. Myślał o tym przez kilka minut, a potem przypomniał sobie radę udzieloną przez prezydenta de Gaullea świeżo wybranemu prezydentowi Stanów Zjednoczonych, Kennedyemu: „Słuchaj tylko siebie...” Sięgnął po słuchawkę i poprosił telefonistkę z nocnej zmiany o pilne połączenie z ministrem obrony narodowej, Alainem Blankiem.

O dziesiątej wieczorem 22 grudnia komandor Arthur Leigh - Browne z Królewskiej Marynarki Wojennej, dowodzący zespołem analityków NATO, którzy obserwowali sowiecki konwój K - 12, przekazał rutynowy raport:

„Jeżeli K - 12 pozostanie na obecnym kursie, przy obecnej szybkości może dopłynąć do Barcelony w ciągu najbliższych kilkunastu godzin...” Będąc człowiekiem dokładnym, dodał pewne zastrzeżenie:

„Teoretycznie może również wylądować na południowym wybrzeżu Francji, w Marsylii lub Tulonie...” Zgodnie z normalną procedurą zakodowany raport został rozesłany do wszystkich ministrów obrony NATO.

Eibou Benefeika, arabski terrorysta, który był o sekundy od zniszczenia samolotu El Al na Orly, próbował ułożyć się wygodniej, kładąc głowę na „poduszce” z cegieł w suterenie opuszczonego budynku na rue Reamur 17. Zwinął marynarkę i położył ją na ceglach, ale mimo to nie mógł zasnąć; przeszkadzał mu też szelest małych łapek - szczury również nieoficjalnie zamieszkały w tym potępionym budynku.

W ciągu dnia Benefeika wypełzał ze swej kryjówki, by kupić w miejscowych sklepach coś do jedzenia i picia, a ponieważ ta dzielnica Paryża była gettem zaludnionym przez Algierczyków, nie martwił się specjalnie o to, że zostanie zdemaskowany. Mając się na baczności tylko przed umundurowaną policją, nie zauważył dwóch nędznie ubranych mężczyzn, którzy chodzili za nim wszędzie. Po powrocie do swojego plugawego schronienia jadł i pił, gdy tymczasem na zewnątrz jeden z obdartych mężczyzn wchodził na pierwsze piętro budynku naprzeciwko. Za pomocą krótkofalówki sierżant Pierre Gallon składał rutynowy meldunek: „Królik wrócił do nory. Kontynuujemy obserwację...” W takim razie muszę natychmiast wracać do ambasady, panie prezydencie. Osiągnęliśmy etap, w którym liczą się minuty. Wie pan, dokąd zawiozą tę Devaud?

- Na rue des Saussaies...

W swoim mieszkaniu na Ile Sairit - Louis Grelle wyłączył magnetofon i spojrzał na Alaina Blanca, który siedział w eleganckim fotelu, ze skrzyżowanymi nogami i kieliszkiem

koniaku w dłoni. Minister miał ponurą minę - po raz trzeci wysłuchał nagrania i znał już tę konwersację słowo po słowie. Jednym haustem dokończył koniak. Na jego wysoko sklepionym czole lśniły krople potu. Gdy Grelle się odezwał, podniósł wzrok.

- W ciągu dwóch godzin od tej rozmowy - zadzwoniłem do oficera ochrony w pałacu, Worin przybył tam o 21:15 - Annette Devaud została brutalnie zamordowana przez człowieka, którego później dopadliśmy na Place de la Concorde. Nie ma już wątpliwości, że mężczyzna, który...

- Poznając głos Floriana - przerwał mu niecierpliwie Blanc. - Worina też. Nie ma miejsca na żadne wątpliwości. - Westchnął. - To okropny szok, ale nie taka wielka niespodzianka. Już od dłuższego czasu zastanawiałem się, co się dzieje - chociaż nie podejrzewałem, że prawda jest tak przerażająca. Te pogłoski o prawicowym zamachu stanu, które wydawały się pochodzić ze źródeł zbliżonych do komunistów... Nagła i zupełnie niewytłumaczalna podróż Floriana do Baden - Baden... - Blanc wstał i wałnął pięścią w drugą dłoń. - Chryste Panie, do czego myśmy doszli, Grelle?! Znam go z czasów studiów w Ecole Polytechnique po wojnie. I sam zorganizowałem jego kampanię wyborczą... Jak mogłem być tak ślepy?

- Cezar zawsze jest ponad podejrzeniami...

- Jak panu przed chwilą powiedziałem, przed przyjściem tutaj miałem telefon od pułkownika Doissy z Baden - Baden. Druga i Piąta dywizja mają udać się do Metz, Niemcy zostaną więc zupełnie odsłonięte. Przy obecnym izolacjonistycznym nastawieniu amerykańskiego Kongresu Waszyngton nie zagrozi nawet, że naciśnie atomowy guzik - zresztą Moskwa ma taki sam. Stany Zjednoczone zareagują tylko wtedy, gdy w niebezpieczeństwie znajdzie się terytorium amerykańskie. To wszystko wynika z pamięci o klęskach w Wietnamie i Kambodży. Wie pan, co według mnie stanie się w ciągu najbliższych kilku godzin?

- Co?

- Florian ogłosi jutro w Moskwie zawarcie paktu wojskowego z Sowietami - niech pan pamięta, że prezydent może zawrzeć taki pakt. Widział pan ten raport, który nadszedł właśnie z Brukseli - myślę, że Florian ogłosi następnie wspólne manewry wojskowe.

Porty Tulonu i Marsylii zostaną otwarte dla sowieckich oddziałów z konwoju K - 12.

- A więc coś trzeba zrobić...

- Niemcy obudzą się i stwierdzą, że są otoczeni - sowieckie dywizje na wschodzie, sowieckie dywizje po zachodniej stronie Renu.

Na francuskiej ziemi! Przypuszczam, że Florian jeszcze jutro wróci z Moskwy, a w

razie jakiejś reakcji tutaj oświadczy, że pułkownik Lasalle próbował właśnie przeprowadzić prawicowy zamach stanu.

Połowa z nas znajdzie się za kratkami...

- Niech się pan uspokoi - poradził Grelle.

- On mi mówi, żebym się uspokoił! - Blanc gorączkowo biegał po pokoju z twarzą pokrytą potem. - Za parę dni możemy mieć sowiecką flagę powiewającą obok naszej! - Przyjął od Grellea ponownie napełniony kieliszek koniaku i sprawiał wrażenie, jakby chciał połknąć go jednym haustem, ale zaraz opanował się i upił tylko mały łyżeczek.

- Musimy zdecydować, co robić - oświadczył spokojnie Grelle.

- Otóż to! - Blanc odzyskał swoją zwykłą równowagę. - Zupełnie na nic się nie zda konsultacja z innymi ministrami - powiedział stanowczo. - Nawet gdybym zwołał potajemne posiedzenie, nigdy by nie podjęli decyzji... Nastąpiłby tylko przeciek wiadomości, dotarłaby ona do pałacu i Florian nazwałby nas prawicowymi spiskowcami, ogłosił stan wyjątkowy...

Grelle przypomniał precedens prezydenta Nixona, zaznaczając, że niezależnie od rozwiązania, społeczeństwo i świat nigdy nie mogą poznać prawdy.

- Poczynania Nixona w porównaniu z tym, o czym mówimy, były bagatelką, niewiele więcej niż zwykłe wykroczenie. A jednak niech pan zauważy, jaki nieszczęsny wpływ miały na Amerykę, kiedy wyszły na jaw. Czy może pan sobie wyobrazić, jaki skutek wywołałoby we Francji - w Europie - ujawnienie faktu, że francuski prezydent jest komunistycznym agentem? Nikt już nigdy nie byłby nas pewien...

- Ma pan całkowitą rację - powiedział poważnie Blanc. - Nie wolno dopuścić, aby to się stało rzeczą powszechnie znaną.

Zdaje pan sobie sprawę, Grelle, że to zostawia nam tylko jedno rozwiązanie?

- Tak. Florian musi zginąć...

We wczesnych godzinach porannych 23 grudnia, wzdłuż granicy niemiecko - czeskosłowackiej, pomiędzy Selb i Grafenau, nastąpiło nagłe ożywienie sowieckiej aktywności powietrznej. Początkowo uważano, że ma to związek z wielkimi zimowymi manewrami, przeprowadzanymi przez państwa Układu Warszawskiego. Później zameldowano, że sowiecki samolot Foxbat przeleciał ponad granicą i z powrotem.

O drugiej w nocy kanclerz Franz Hauser został wyciągnięty z łóżka w celu dokonania oceny sytuacji, a o godzinie trzeciej ogłosił „bursztynowy alarm”, który stawiał na nogi wszystkie siły stacjonujące wzdłuż naruszonej granicy. drugiej w nocy chodzący po swym salonie Grelle był ledwie widocznym w dymie papierosowym cieniem.

- Gdy opracowywałem system ochronny, cały czas zastanawiałem się, jak postąpiłbym

szykując zamach na życie Floriana - powiedział - Nie sędzę, żeby ktokolwiek mógł przeniknąć mój kordon.

- Może ja - zaproponował spokojnie Blanc. - To musi wykonać któryś z nas - jedynie w ten sposób możemy być pewni, że na zawsze pozostanie to tajemnicą. Gdybym miał pistolet...

- Odpada! - Grelle skwitował ten pomysł pogardliwym gestem. - Wszyscy zastanawialiby się, dlaczego akurat pan to zrobił.

A ja powiedziałem brygadom ochronnym, że jeśli ktokolwiek - nawet minister - wyciągnie rewolwer, ma zostać natychmiast zastrzelony. Zatrzymał się przy fotelu Blanca. - Powiedziałem im nawet, że jeśli ja wyciągnę rewolwer, też mają mnie zastrzelić.

- A więc to nie może być zrobione...

- To może być zrobione tylko przez jednego człowieka.

- Kto nim jest?

- Ten, kto zorganizował kordon ochronny. Ja.

Przed powrotem do swego ministerstwa na rue Saint - Dominique Blanc jeszcze dwukrotnie usiłował skontaktować się z Florianem.

Kiedy zadzwonił do Pałacu Elizejskiego z mieszkania Grellea, telefonista oznajmił mu, że prezydentowi nie można przeszkadzać, „chyba że wybuchnie wojna światowa...” Blanc pojechał więc nocą do pałacu, ale zastał bramę z kutego żelaza - zawsze przedtem otwartą i przegrodzoną tylko pomalowanym na biało łańcuchem - zamkniętą. Wychylił się przez okno.

- Otwieraj natychmiast - zawołał do dyżurnego oficera. - Wiesz przecież, kim jestem, na litość boską!

Oficer był jednak bardzo stanowczy.

- Prezydent osobiście wydał to polecenie. Dziś w nocy nikt nie może zostać wpuszczony do środka - chyba że...

- ... wybuchnie wojna światowa. Wiem! - Blanc wyskoczył z samochodu i precyzyjnie obok oficera wszedł bocznym wejściem i przebiegł przez wybrukowany dziedziniec. Po siedmiu stopniach dostał się do wysokich szklanych drzwi, które również okazały się zamknięte. W hallu inny urzędnik, znający go dobrze, potrząsnął głową, po czym wykonał w powietrzu gest cięcia nożyczkami. Blanc, przed chwilą jeszcze wściekły, stanął spokojnie i zapalił papierosa.

Ten gest rozstrzygnął sprawę, bez zbędnych słów wyjaśnił Alainowi Blancowi całą sytuację. Do czasu odlotu do Moskwy prezydent odizolował się we wnętrzu fortecy.

Po powrocie do ministerstwa Blanc zszedł prosto do pokoju łączności kryzysowej.

- Ściągnijcie tu naczelnego dowódcę, generała Lamartinea - rozkazał. - Niech się nie ubiera - potrzebuję go tutaj za pięć minut od teraz.

Po kilku minutach przybył Lamartine z poszarzałą twarzą, w płaszczu narzuconym na szlafrok.

- Wygląda pan jak mandaryn w tej pomalowanej w smoki szacie - zauważył Blanc. - Wydaję pewne polecenia i mogę potrzebować pańskiej władzy do zatwierdzenia ich. Wyjaśnię wszystko później - mamy mały kryzys, a prezydent zarządził, że nie wolno mu przeszkadzać. Bardzo słusznie - czeka go jutro długa podróż. Otóż...

Teraz mówił dawny Alain Blanc, człowiek, który zaplanował dojście Guya Floriana do władzy, który zachowywał zimną krew we wszystkich kryzysowych sytuacjach. Z Lamartineem u boku rozpoczął metodyczne działania, informując podziemny bunkier łącznościowy w Taverny pod Paryżem - przeznaczony do działań w warunkach wojny nuklearnej - że aż do odwołania nie wolno im wypełniać niczyich rozkazów bez jego potwierdzenia.

- Niczyich - powtórzył. - Obok mnie stoi generał Lamartine, który potwierdzi to, co właśnie powiedziałem... - Widząc, że Lamartine się waha, zasłonił dłonią słuchawkę. - Dalej! - rzucił ostro. - Nie będę tu sterczał całą noc...

W dziesięć minut Blanc zatrzymał ruchy wszystkich francuskich sił zbrojnych - ani jeden czołg, statek czy samolot nie mógł się ruszyć bez jego zgody. Rozmawiał z francuskim dowództwem w Baden - Baden i Sedanie - natychmiast po przejściu przez Ardeny obie dywizje pancerne miały niezwłocznie zawrócić i przedostać się przez góry z powrotem do Niemiec. Aby zapewnić wykonanie tych rozkazów, odwołał głównodowodzącego Chassou, poplecznika Floriana, i zastąpił go generałem Crozierem. Wojskowy komendant Metz umieścił Chassou w ścisłym areszcie.

Siedzący obok Lamartine potwierdzał każdy rozkaz, nie bardzo wiedząc, co się dzieje, ale nawet on nie mógł skontaktować się z Pałacem Elizejskim. Blanc, mistrz manipulacji, obracał izolację Floriana przeciwko niemu samemu. Do trzeciej było po wszystkim.

Komplikacje mogły nastąpić dopiero rano, gdyby prezydent usłyszał o tym, co stało się w czasie jego snu.

Zupełnie sam w swoim mieszkaniu na Ile Saint - Louis Marc Grelle - wymizerowany i nie ogolony, ciągle ubrany w sweter polo i luźne spodnie - palił papierosa za papierosem i studiował serię raportów i diagramów. Przedstawiały one wszystkie środki ostrożności, które podjął dla ochrony prezydenta podczas zbliżającej się jazdy na lotnisko.

Jak to czynił tyle razy przedtem, teraz też szukał jakiejś luki, jakichś nie domkniętych drzwi, przez które mógłby przejść zabójca. Żałował, że nie ma przy sobie Boisseau, ale była to sprawa, którą mógł załatwić tylko sam. Od czasu do czasu zerkał na fotografię w ramce, stojącą na pianinie obok - fotografię swojej zmarłej żony, Pauline..

Niektórzy ambitni urzędnicy we Francji bardzo dbają o to, by się bogato ożenić; pieniądze mogą przyspieszyć karierę. Grelle ożenił się z dziewczyną, której rodzina raczej nie należała do zamożnych. Nagle, niespodziewanie, krótko przed śmiercią w wypadku samochodowym, Pauline odziedziczyła małą fortunę po krewnym, o którego istnieniu nawet nie wiedziała. „Bardzo chciałabym kupić mieszkanie na Quai de Bethune” - powiedziała pewnego dnia. Wkrótce potem zginęła.

Jako prefekt policji, Grelle automatycznie otrzymał apartament w prefekturze, ale po śmierci Pauline kupił to mieszkanie - nawet nie dlatego, że chciał, ale pomyślał, że byłaby szczęśliwa wiedząc, że on w nim mieszka. W miarę jak zmagał się ze swoim problemem, jego wzrok coraz częściej wędrował ku zdjęciu; zastanawiał się, co ona by o tym wszystkim myślała. O czwartej nad ranem nagle zdał sobie sprawę, że w pokoju jest gęsto od dymu. Wstał i otworzywszy okno stanął w nim, patrząc na Sekwanę i wdychając świeże powietrze, by pobudzić umysł. Wciąż jeszcze nie znalazł luki.

* * *

Żaden port lotniczy na świecie nie był nigdy silniej strzeżony niż Lotnisko Charlesa de Gaullea rano 23 grudnia. Prezydencki concorde - wyglądający w półmroku nadchodzącego świtu jak ogromny zły ptak - czekał na betonie, zatankowany już do pełna na swój długi lot do Moskwy. Za kilka godzin, dokładnie o 10:30, maszyna miała unieść się pod kątem czterdziestu pięciu stopni na wysokość piętnastu tysięcy metrów.

Również prezydencki pilot, kapitan Pierre Jubal - który wstał z łóżka w swym eleganckim mieszkaniu w Passy o wpół do szóstej - przybył już na lotnisko, zwane przez Francuzów Roissy, gdyż zbudowano je niedaleko miasteczka Roissy - en - France. Jadąc dwadzieścia pięć kilometrów z Paryża, Jubal trzykrotnie był zatrzymywany na punktach kontrolnych wzdłuż Autoroute A 1, którą miała później przejechać kolumna prezydencka.

- Ta cholerna ochrona jest idiotyczna - warknął do drugiego pilota, Leforta, wysiadając ze swojej alfy romeo. - Czy oni naprawdę sądzą, że ktoś ma zamiar do niego strzelać?

Lefort wzruszył ramionami.

- Wczoraj wieczorem w barze słyszałem, jak ktoś mówił, że Florian nigdy nie dotrze

na Roissy żywy.

Od północy lotnisko było zamknięte dla wszystkich samolotów cywilnych; krok bez precedensu nawet dla ochrony głowy państwa.

- To ten prefekt policji, Grelle - narzekał Jubal, gdy szli w stronę stojącej na pasie startowym maszyny. - To szalenie.

Spójrz tylko...

Kiwnął ręką w kierunku ogromnego kolistego budynku, który stanowił centralną część tego najnowocześniejszego portu lotniczego na świecie. Widoczni w świetle wstającego dnia umundurowani ludzie z Żandarmerii Transportu Powietrznego patrolowali jego dach, uzbrojeni w automaty. Dwaj piloci minęli wóz patrolowy z zamontowanym karabinem maszynowym. Wokół centralnego budynku stało siedem hal odlotów, z których pasażerowie wchodzili na pokład swojego samolotu przyjechawszy tam podziemnymi ruchomymi chodnikami.

Jubal pokazał ręką dach jednej z nich, po którym również chodzili uzbrojeni żandarmi.

- Ten facet to maniak - burknął.

- Był już jeden zamach na prezydenta Floriana - przypomniał mu Lefort. - A jak przed chwilą mówiłem, wczoraj w barze gadano...

- Wczoraj wieczorem nie powinieneś być w barze - zbeształ go Jubal. - Powinieneś być w łóżku, tak jak ja, i kimać...

- Z Jacqueline?

W miarę jak słabe światło poranka rozlewało się po równinie, na której znajduje się Lotnisko Charlesa de Gaullea, concorde ukazywał coraz wyraźniej swą sylwetkę, wyglądając bardziej niż kiedykolwiek jak drapieżny ptak szykujący się do odlotu. Za trzy godziny będzie w drodze, wioząc prezydenta Republiki Francuskiej na jego historyczną wizytę w Rosji Sowieckiej.

Przed samą 9:30 23 grudnia wszystkie skrzyżowania prowadzące do trasy, którą miała przejechać prezydencka kolumna, zostały na rozkaz Grellea zamknięte. Na każdym z nich stały z włączonymi silnikami ciężarówki z żołnierzami CRS. Przez drogi dojazdowe do skrzyżowań przerzucono „zęby smoka” ze stalowego łańcucha, które zagradzały przejazd wszelkim pojazdom mogącym podjąć próbę zaatakowania konwoju.

Wzdłuż trasy stały tłumy, trzymane z dala przez labirynt barierek ustawionych w nocy przez żandarmów, w świetle zamontowanych na ciężarówkach lamp łukowych. Tłumy były dziwnie milczące, jakby spodziewały się czegoś dramatycznego i tragicznego. Niektórzy ludzie nastavili radia tranzystorowe na Europę Nr 1; przypuszczano, że pułkownik Lasallę

nada jeszcze jedną audycję. Od czasu do czasu ludzie spoglądali na dachy, z których policja obserwowała okolicę niczym straż więzienna.

Tłum wpatrywał się także w niebo, które również było strzeżone.

Na wysokości trzydziestu metrów ponad trasą latały tam i z powrotem helikoptery, na przemian pojawiając się i niknąc w dali.

Wszystkie te elementy wielkiego kordonu - na ziemi, na dachach i w powietrzu - połączone były radiem z centrum kontrolnym w prefekturze na Ile de la Cite. Człowiekiem bezpośrednio dowodzącym tą ogromną operacją był Boisseau, czekający w gabinecie, którego użyczył mu Grelle, na nadejście pierwszego radiowego meldunku:

„Właśnie opuścił Pałac Elizejski...” Blanc siedział na dziedzińcu pałacu razem z żoną Angele w swoim wozie - jednym z wielu mających ruszyć za prezydentem - gdy dostrzegł jakiś samochód, który był już w połowie podjazdu, kiedy go zatrzymano. Minister zeszywniał. Z samochodu wysiadał generał Lamartine. Jakiś cholernie głupi oficer pozwolił generałowi przecisnąć się przez kordon. Blanc spojrział przez tylną szybę na schody i zobaczył, że Florian właśnie wyszedł i przystanął na widok Lamartinea, kłócącego się z szefem ochrony.

- Zaraz wracam - rzucił Blanc do żony i wyslizgnął się z samochodu. Tuż przed nim Roger Danchin siedział obrócony na fotelu swego pojazdu, zastanawiając się, czy chodzi o coś, co może go dotyczyć.

Lamartine zostawił ochroniarza i szybkim krokiem poszedł przez dziedziniec. Wszyscy obserwowali tę scenę. Florian zszedł po schodach, spotkał się z generałem i ruszył z nim do swojego samochodu. Szedł powoli, słuchając, a Lamartine mówił coś z ożywieniem. Gdy generał zobaczył nadchodzącego Blanca, twarz mu stężała. Powiedział mu, pomyślał minister, wszystko mu powiedział - żeby siebie kryć, gnojek jeden!

- O co tu chodzi, Alain?

Florian rzucił to pytanie przez ramię, będąc już do połowy w samochodzie. Usadowił się i zostawił drzwi otwarte, patrząc na Blanca, który nachylił się ku niemu.

- Wczoraj wieczorem mieliśmy mały problem - powiedział krótko minister. - Nie chcieli mnie wpuścić do pałacu, więc sam się z tym uporałem.

- Planujesz zamach stanu?

Na długiej, chudej, inteligentnej twarzy Floriana pojawił się wyraz cynicznego rozbawienia i doskonałej pewności siebie. W tym momencie Blanc bardziej niż kiedykolwiek przedtem był świadom magnetycznej osobowości tego człowieka, którego błędnie nazywano drugim de Gaulleem. Nie doczekawszy się odpowiedzi Blanca, prezydent pochylił się do

przodu, jakby chciał wysiąść.

- Planujesz zamach stanu? - powtórzył pytanie.

- Panie prezydencie...

To było wszystko, co Blanc powiedział. Florian zamknął drzwi i kazał kierowcy ruszać. Blanc wrócił do własnego samochodu, nie rzuciwszy nawet okiem na Lamartinea, który stał niczym posąg, pewny teraz, że zniszczył swoją karierę.

- Wszystko na nic - oznajmił żonie Blanc siadając za kierownicą. - Chyba wkrótce będziemy musieli posłać Lamartinea na zieloną trawkę...

Mówiąc to skupił uwagę na ruszającej kolumnie. Pierwszy samochód, pełen ludzi CRS, opuścił dziedziniec i skręcił w Faubourg St Honore, mając za sobą pojazd prezydenta. Tyle pewności siebie w jednym człowieku! Florian najwyraźniej uważał, że jest już za późno, by ktokolwiek zatrzymał koło historii, które on uruchomił.

Trasę, którą kolumna jechała na Lotnisko Charlesa de Gaullea, osobiście starannie ustalił Marc Grelle. Musiała przechodzić przez jak najmniej wąskich ulic, by wyeliminować niebezpieczeństwo snajperskiej zasadzki - za Pałacem Elizejskim w lewo, potem przez Faubourg St Honore, Avenue Marigny a następnie Champs - Elysees. Odtąd były już cały czas szerokie bulwary, aż do początku Autoroute A 1 i prostej drogi na lotnisko.

- Właśnie opuścił Pałac Elizejski...

W centralnym nadzorze Andre Wiewiórka mógł oglądać posuwanie się kolumny naprzód w różnych wybranych punktach, gdzie kamery obserwowały tłum na wypadek jakichś wrogich akcji. Zastępca prefekta mógł się połączyć z każdym z wyposażonych w radio podcentrów kontrolnych, ustawionych wzdłuż całej trasy. Na telewizyjnym ekranie widział, jak kolumna jedzie Avenue Marigny; na przedzie pojazd CRS, dalej samochód prezydenta, a za nimi dwadzieścia trzy czarne limuzyny z ministrami i ich żonami. Słońce świeciło teraz jasno - poprzedniego dnia wieczorem pogoda zmieniła się całkowicie - ale Boisseau, patrzący na długą linię czarnych samochodów, miał makabryczne uczucie, że przypatruje się procesji pogrzebowej.

Pocił się obficie. Miał teraz tylko jedno, najważniejsze zadanie do wykonania - bezpieczne doprowadzenie prezydenta na Roissy. Na razie przestał sobie zaprzętać głowę śledztwem w sprawie Lamparta; w ciągu ostatnich kilku godzin prefekt nawet nie wspominał o tej sprawie.

Boisseau ze skupioną miną wpatrywał się w ekran. Czekał na moment, gdy kolumna pojazdów skręci na autostradę, która biegła po otwartym terenie - ewentualny zamachowiec nie miałby się tu gdzie ukryć.

- Tylko dojeżdż do Porte Maillot - wyszeptał Boisseau. - Dalej już będziesz bezpieczny...

Nagle zdał sobie sprawę, że ścisnął mikrofon tak mocno, aż pobieły mu kostki palców. Jadący swoim samochodem Alain Blanc również spostrzegł, że zaciska pięści. Podobnie jak Boisseau wiedział, że gdy prezydent dotrze do autostrady, będzie bezpieczny. Rozglądał się dookoła, zerkał w górę na okna wysokich bloków, szukając czegoś podejrzanego, czegoś, co nie powinno tam być. Jak, do diabła, miało się to Grelleowi udać?! Kolumna prezydencka pęzła w górę Champs - Elysees.

W końcu samochody dotarły do szczytu wielkiego bulwaru, okrążyły Łuk Triumfalny, po czym wjechały w Avenue de la Grande Armee; po jej obu stronach ciągnęły się wysokie bloki.

- Dojeżdż do Porte Maillot - szepnął znów do siebie Boisseau, zadowolony, że jest sam w gabinecie. Wszystko, co wydarzyło się w ciągu minionych tygodni, uleciało mu z głowy - teraz najważniejsze było bezpieczeństwo prezydenta.

Alain Blanc zaczynał już tracić nadzieję, że cokolwiek się stanie.

Grelle najwyraźniej zrezygnował - może zawiodły go nerwy? Wciąż lustrując okna bloków, wyjął chusteczkę i przetarł wilgotne czoło.

Nagle zmarszczył brwi słysząc warkot silnika zbliżającego się helikoptera, lecącego bardzo nisko. Przycisnął policzek do szyby usiłując zlokalizować maszynę. Ludzie, wciąż dziwnie milczący - jakby też czuli, że przypatrują się procesji pogrzebowej - unieśli w górę głowy spoglądając na helikopter, który leciał nad Champs - Elysees. Minąwszy Łuk Triumfalny pomknął nad Avenue de la Grande Armee, łoskotem silnika płosząc gołębie z dachów. W końcu przeleciał nad nimi i zniknął w oddali. Blanc opadł na siedzenie.

- Naprawdę nic nie mogliśmy zrobić...

Mimowolnie odezwał się głośno i żona spojrzała na niego ze zdziwieniem. Właśnie wtedy pojazd prowadzący, za którym jechał prezydent, zaczął skręcać. Dojechali do Porte Maillot.

* * *

O 10:25, pięć minut przed czasem odlotu, kapitan Pierre Jubal, wraz z drugim pilotem Lefortem, usiadł za sterami concordea. Cały francuski gabinet stał w blasku słońca na zewnątrz, na polu startowym, czekając aż Florian wejdzie na pokład samolotu. Tuż obok znajdowały się oddziały żandarmerii z automatami w rękach. Alain Blanc widział ze swojego miejsca ciągnącą się za concordeem równinę, przesłoniętą jedynie malutką grupką budynków

na skraju ogromnego lotniska.

Była to wioska le Mesnil Amelot. Słońce lśniło na mikroskopijnej iglicy kościoła i miniaturowym prostopadłościannie zamkniętej fabryki.

Po chwili prezydent zaczął przechodzić przed ministrami, obdarzając ich swoim słynnym uśmiechem.

- On rzeczywiście ma postawę króla - mruknął Danchin do stojącego obok ministra.

Przed schodami samolotu Florian jakby sobie o czymś przypomniał.

Wciąż szeroko się uśmiechając obrócił się, podszedł do Alaina Blanca i podał mu rękę.

- Alain - powiedział ciepło - nigdy nie zapomnę wszystkiego, co zrobiłeś dla mnie w przeszłości...

Tylko sam minister zauważył nacisk, jaki prezydent położył na ostatnich słowach, niczym prezes żegnający dyrektora, którego właśnie zwolnił ze stanowiska w zarządzie. Egzekucja odroczone, pomyślał Blanc, patrząc jak Florian wchodzi po stopniach. Do jego powrotu.

Na szczycie schodów Florian obrócił się, pomachał ręką i zniknął w środku samolotu. Odrzutowe silniki zaczęły buczeć, mechanicy odbiegli od dzioba samolotu. Oglądający tę scenę w telewizji Boisseau otarł pot z czoła. Jeszcze zanim kolumna prezydencka wyjechała z Pałacu Elizejskiego, pilot helikoptera, Jean Vigier, dostrzegł mały czarny samochód pędzący ulicami od strony centrum Paryża. Najpierw zobaczył go pod sobą, na Boulevard des Capucines. Zaintrygowany - był to bowiem jedyny pojazd jadący opustoszałym bulwarem - zmienił kurs i przechwycił go znowu za Operą. Samochód gnał na złamanie karku, co Vigierowi wydało się podejrzane, więc obserwował go nadal.

Pojazd mijał jedną blokadę za drugą bez zatrzymywania, bez żadnego sprawdzania. Zaniepokojony już Vigier dalej prowadził powietrzny nadzór, przekazując przez radio meldunek do centrali:

„Mały czarny samochód mija wszystkie punkty kontrolne nie zatrzymując się... obecnie zlokalizowany na...” Po otrzymaniu tej wiadomości Boisseau podjął natychmiastową akcję, kazał asystentowi zadzwonić na posterunek przy Avenue Hittorf, który był ostatnim punktem, przez jaki przejechał samochód. Po kilku minutach asystent wrócił.

- Tym samochodem jedzie prefekt - dlatego go przepuszczają.

Zbliżając się do każdej blokady powiadamia ich przez radio...

Boisseau nie tracił czasu na domysły; jego szef najwyraźniej coś sprawdzał. Wysłał odpowiedź do pilota helikoptera: „Kierowca czarnego samochodu zidentyfikowany - nie ma

powodu do alarmu” - i zapomniał o całym incydencie.

Grelle dojeżdżał właśnie do dzielnicy Goutte d'Or. Nadał rozkaz przez radio do następnego punktu kontrolnego, by go przepuszczono, a potem zrobił coś bardzo dziwnego. Zatrzymawszy się przy krawężniku na pustej ulicy, zmienił zakres fal na swoim przenośnym nadajniku, wyjął miniaturowy magnetofon i włączył go. Następnie zaczął mówić, poprzedzając swoją wiadomość sygnałem kodowym:

- Franklin Roosevelt. Tu Boisseau. Tak, Boisseau. To ty, Lesage?

Zakłócenia? Z tej strony wszystko w porządku. Teraz słuchaj! - Magnetofon wypluwał z siebie zakłócenia, które Grelle nagrał w swoim mieszkaniu z radia, zniekształcające słowa prefekta. - Widziano Królika... Tak, Królika! Pięć minut temu, szedł rue Clichy. Weź swoich ludzi i przetrząśnij zaraz ten teren. Nie dyskutuj, Lesage, wymknął się wam, więc teraz ruszajcie za nim! Jak go znajdziecie - śledźcie go. Nie zatrzymywać, powtarzam, nie zatrzymywać! Może was doprowadzić do reszty gangu...

Ponieważ podał na początku sygnał kodowy tej operacji, był pewien, że Lesage niezwłocznie wykona jego rozkaz. Ruszył dalej, minął kolejny punkt kontrolny i skręcił w rue Reamur, gdzie Królik, algierski terrorysta Abou Benefeika, ciągle czekał, aż przyjdą po niego przyjaciele. Prefekt wysiadł z samochodu i podszedł ostrożnie do zaniedbanego wejścia pod numerem 17; gumowe podeszwy jego butów nie czyniły żadnego hałasu. Z rewolwerem w dłoni wszedł ostrożnie przez pozbawioną drzwi próg i stanął nasłuchując w sieni. Po chwili z jeszcze większą ostrożnością zszedł po schodach prowadzących do suterenu.

Na dole poczekał, aż oczy przyzwyczają się do mroku - stopniowo za drzwiami do piwnicy zarysowała się sylwetka śpiącego człowieka, leżącego na boku twarzą do ściany. Zapaliwszy kieszonkową latarkę, Grelle znalazł drut rozciągnięty nad progiem - przesunął snop światła wzdłuż niego i zobaczył, że jest przywiązany do dużej puszkowej ustawionej na stosie cegieł. Każda nieostrożna osoba wchodząca przez drzwi straciłaby puszkę, alarmując śpiącego terrorystę. Prefekt przeszedł nad drutem i lawirując pomiędzy porzucanymi cegłami podszedł do śpiącego. Nachyliwszy się, podniósł pistolet Magnum leżący przy bezwładnej ręce Araba, po czym obudził go.

Grelle wyjechał z Paryża przez Porte de Pantin i wjechał na drogę N3. Potem przed samym Claye - Souilly skręcił na północ. Algierski terrorysta, Abou Benefeika, skulił się na podłodze przed przednim fotelem, odsuniętym maksymalnie do tyłu przez prefekta. Przykryty kocem, siedział twarzą do drzwi a plecami do Grellea. Prefekt od czasu do czasu brał z kolan rewolwer i przykładał jego lufę do karku więźnia, by przypomnieć mu, że ma się nie ruszać.

Abou Benefeika nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Ten cywil, który obudził

go z bronią w ręku ostrzegając, by był cicho, oznajmił mu, że przybył go zabrać i wydostać z kraju. „Twoi przyjaciele zwiali - powiedział. - Mnie zostawiono, żebym dopilnował, by cię nie złapali. Gliny otaczają już tę dzielnicę, chyba wiesz o tym.” Kazał mu się schylić i trzymać głowę nisko. „To jest skradziony wóz policyjny, więc lepiej się módl, żebyśmy przejechali przez blokady, które poustawiali. Mam legitymację detektywa, którego zabiłem, by wziąć ten samochód, toteż powinno nam się udać. Ale jeśli będę musiał zastrzelić cię dla uratowania siebie, zrobię to...” Po kilku dniach siedzenia ze szczurami w zamkniętej suterenie Benefeika był w okropnym stanie. Nie ufał człowiekowi, który go obudził, ale uspokajał się powoli, gdy Grelle mijał kolejne policyjne blokady. Za Porte de Pantin na dłuższym odcinku nie było punktów kontrolnych, lecz sporadyczne szturchnięcia lufą rewolweru jego wybawcy zachęcały Algierczyka do trzymania głowy tuż przy podłodze.

Z tyłu samochodu leżał na podłodze jeszcze jeden koc. wizyta na rue des Saussaies o piątej rano była ryzykowna. Strażnik, który wpuścił Grellea do budynku, przypuszczał, że prefekt idzie do pokoju na czwartym piętrze, gdzie przeprowadzano jakąś tajemniczą akcję - pokoju, w którym Grelle zawsze czekał na następny telefon od Hugona - zdradzieckiego zastępcy pułkownika Lasallea, kapitana Moreau. Grelle rzeczywiście wszedł na czwarte piętro i udał się najpierw do biura, które oddano do jego dyspozycji.

Był tam jednak tylko chwilę, zostawił na swoim biurku paczkę papierosów i poszedł na drugą stronę budynku, do skarbcza. Otworzył drzwi i znalazłszy się w środku zamknął je z powrotem na klucz.

Używając rękawiczek wziął klucz od skarbcza i odcisnął go w masie plastycznej, którą przyniósł ze sobą. Zrobił to specjalnie niestarannie, przesuwając klucz tak, że odcisk był niedokładny. Wciąż w rękawiczkach, wsunął kawałek masy pod regał na akta. Zespół śledczy w ciągu kilku godzin zlokalizuje tu każdą drobinę kurzu. W końcu otworzył drzwi do skarbcza.

Owinięta w płótno wyrzutnia rakiet ziemia - powietrze leżała na podłodze pod ścianą. Obok, w mniejszym zwoju płótna, były dwie rakiety. Z pomocą większej płachty Grelle zrobił z nich jeden pękaty pakunek, po czym obwiązał go przyniesionym rzemieniem. Po wyjściu ze skarbcza zamknął go na klucz, zamknął też ponownie drzwi zewnętrzne. Teraz czekało go trudne zadanie wyniesienia pakunku z gmachu. Wiedział, że na pewno spotka jakiegoś strażnika.

Aby uniknąć patroli, poszedł dłuższą, okrężną drogą, przez nie kończące się korytarze i klatki schodowe. Dawniej często narzekał, że ten budynek jest jak królicza nora, tym razem jednak mogło to być dla niego wybawieniem. Schodził już po ostatnich stopniach, ale cofnął się, słysząc w korytarzu kroki strażnika. Czekał. Kroki ucichły i na zniszczonej klatce

schodowej znów zapanowała cisza. Prefekt zbiegł na dół i wsunął swój pakunek do pustej od lat szafki. Potem przeszedł przez hall i cicho otworzył drzwi.

Strażnik opierał się o ścianę i Grelle pomyślał, że pewnie zasnął na stojąco. Próba przemknięcia się obok niego byłaby jednak zbyt dużym ryzykiem - Thomas! - zawołał głośno.

Mężczyzna podskoczył. Kiedy się odezwał, głos mu drżał. Grelle nie był człowiekiem, który pobłażliwie traktował jakiegokolwiek niedbalstwo.

- Tak, panie prefekcie?

- Zapomniałem papierosów. Skocz mi po nie do pokoju 407, dobrze? - Wręczył Thomasowi klucz. - Na biurku leży świeża paczka...

Z dołu klatki schodowej nasłuchiwał oddalających się kroków, po czym wyjął pakunek z szafki, przeniósł go przez dziedziniec i położył na podłodze z tyłu samochodu. Następnie rozłożył na wierzchu koc.

Kiedy Thomas wrócił z papierosami i kluczem, Grelle czekał w hallu.

- Dziękuję, Thomas. - Poczęstował go papierosem. - Pilnuj, żeby ściana na ciebie nie poleciała... - Zostawił Thomasa, spoglądającego za nim nerwowo, pewny, że młody człowiek nie wspomni swojemu przełożonemu o jego wizycie. Po powrocie na Ile Saint - Louis zamknął samochód w garażu i poszedł do mieszkania, by się ogolić.

Przez przednią szybę samochodu Grellea widać było wieś le Mesnil Amelot; sylwetki kilku domów, wieżę kościoła i budynek opuszczonej fabryki. Na podłodze obok pocił się Abou Benefeika; właśnie minęli kolejny punkt kontrolny. Zostawiwszy blokady przy Porte de Pantin za sobą, prefekt natknął się na następne zbliżając się do krawędzi Lotniska Charlesa de Gaullea. Przy ostatniej, kawałek przed wioską, zawołał przez okno do strażnika:

- Uważajcie na obcych. Otrzymałem meldunek, że mogą tu być jakieś kłopoty!

- Jedzie pan do wioski?

- Zatrzymam się chyba po tej stronie, żeby obejrzeć start...

Skulonego pod kocem Benefeikę zdumiewało zuchwalstwo tego fałszywego policjanta. Kilkakrotnie pytał, dokąd jadą, i Grelle odpowiadał zawsze krótko: „Do pewnego miejsca, gdzie czeka na ciebie transport - to ci musi wystarczyć...” - Zbliżając się do wioski, prefekt zerknął na zegarek. Chryste Panie! Zajęło mu to więcej, niż przewidywał. Za dziesięć minut concorde będzie w powietrzu.

Na lewo od niego, za płotem otaczającym lotnisko, rozciągała się skąpiana w słońcu równina i Grelle pomyślał, że może dostrzeże czekający samolot. Zgodnie z jego przypuszczeniami wiejska ulica była pusta; wszyscy stłoczyli się w domach, przy oknach

wychodzących na lotnisko, i czekali na start prezydenckiego concordea.

Prefekt skręcił ostro i wjechał na duże podwórze za budynkiem fabryki.

- W ciągu godziny wyląduje tu helikopter i zabierze cię - poinformował Algierczyka, rewolwerem przynaglając go do wyjścia z samochodu. Tymczasem masz siedzieć cicho...

Popychając terrorystę przed sobą wprowadził go do budynku i po walących się schodach na piętro, do małego pokoju z kratami w oknach. Zostawiwszy Benefeikę w środku, zaryglował drzwi od zewnątrz. Niedawno, sprawdzając swój system ochrony prezydenta, objechał dokoła całe lotnisko i zatrzymał się w le Mesnil Amelot; zaintrygowany starą fabryką, obejrzał ją dokładnie. Po zamknięciu, Algierczyka wyjął z samochodu ciężki pakunek i zaniósł go na dach.

W pobliżu ciągle nie było żywej duszy; do zaniedbanej fabryki przylegał tylko kościół i cmentarz. Następnie spojrzął na zegarek. Była yyy218 W prefekturze w Paryżu Boisseau wściekł się, gdy asystent oznajmił mu, że jest jakaś pilna wiadomość od Lesagea, detektywa dowodzącego zespołem obserwującym algierskiego terrorystę, Abou Benefeikę.

- Na miłość boską, w takim momencie - parsknął, po czym przypomniał sobie, jaką wagę jego szef przykładał do tej sprawy. - Dawaj go - warknął. Słuchał przez niecałą minutę, aż w końcu wybuchnął: - Ty głupcze! Nie wydawałem żadnych poleceń wycofania się. Mówisz, że głos był bardzo zniekształcony, ale podałeś odpowiedni kod sygnałowy? To nie byłem ja! Ktoś zrobił z ciebie balona. Wracaj tam natychmiast i przeszukaj budynek. Ale mogę się założyć, że już go tam nie będzie! - Boisseau ponownie skierował swoją uwagę na obraz telewizyjny, który pokazywał prezydenta wchodzącego po stopniach samolotu, obracającego się, by pomachać, i w końcu znikającego we wnętrzu concordea. - Za sekundę będzie w powietrzu - mruknął do swego asystenta.

Guy Florian przeszedł przez pasażerską część samolotu do kabiny pilotów i zaproponował, że będzie tam siedział w czasie startu, przypatrując się ich pracy.

- Proszę siadać - powiedział załodze. - Jestem teraz po prostu pasażerem... - Uśmiechnął się rozbijając. - Na tyle jednak ważnym, by móc siedzieć tu z wami. Jeśli oczywiście nie macie nic przeciwko temu...

Dokładnie o 10:30 ogromna maszyna ruszyła w stronę głównego pasa startowego. Jubal skręcił i ustawił samolot dziobem do kierunku startu, przez chwilę czekał na zezwolenie z wieży kontrolnej, po czym zwolnił hamulce. Czekający w pozach pełnych szacunku ministrowie usłyszeli huk potężnych silników, przechodzący w wysoki wizg. Niebo było teraz zupełnie czyste, słońce świeciło jasno. Nie było widać żadnego innego samolotu - cała przestrzeń powietrzna dla prezydenta Floriana. Concorde wzniósł się pod ostrym kątem, z

opuszczonym dziobem, ciągnąc za sobą strumień pyłu.

O 10:31 Grelle leżał na dachu, rozciągnięty na ceracie, którą przyniósł ze sobą dla ochrony ubrania. Przycisnąwszy mocno wyrzutnię do ramienia - tak, jak to pokazywał Buvon, wyjaśniając na Orly zasady jej działania - patrzył przez celownik lunetowy. Niewidoczny gołym okiem concorde wyrósł w lunecie blisko i wyraźnie, tak blisko, że prefekt dojrzał sylwetki kilku osób w kabinie. Pocił się obficie. W otoczeniu prezydenta na pokładzie startującego samolotu znajdowali się ludzie, których dobrze znał, ludzi, których lubił i szanował. Zaciśnął mocno zęby.

- Za Francję...

Nacisnął spust.

Rakieta pomknęła w powietrzu. Prefekt zbiegał już po schodach do pokoju, w którym czekał algierski terrorysta. Na pustym niebie nad Lotniskiem Charlesa de Gaullea widać było tylko wznoszącą się rakieta i concordea. Wśród śledzących kurs samolotu operatorów radaru wybuchła panika. Na ich ekranach pojawił się nagle jakiś inny obiekt - niewiarygodnie mały, mknący z ponaddźwiękową prędkością.

Guy Florian przemawiał z pokładu, co było transmitowane przez telewizję. W paryskich barach ludzie zebrali się przed telewizorami, by obejrzeć wznoszącego się concordea.

- „Ta historyczna misja, z którą udaję się do Moskwy, poprze sprawę światowego pokoju tak, aby nasze wnuki...” Rosyjska rakieta uderzyła w kabinę pilotów, z której przemawiał Florian. Dziób, w którym się mieściła, oderwał się od korpusu samolotu. Paliwo eksplodowało ze straszliwym hukiem. Na ulicach Paryża, dwadzieścia pięć kilometrów od lotniska, ludzie zatrzymywali się, jakby grom w nich strzelił. Sekundy po tym, jak kabina pilotów concordea została wymieciona w przestrzeń, zgromadzeni na płycie lotniska ujrzeli ogromną kulę ognia. Pochłonęła ona połowę kadłuba, druga zaś poleciała w dół niczym ognista strzała i wbiła się w ziemię trzydzieści kilometrów dalej - w czyste poranne niebo uniosła się pionowo wielka kolumna czarnego dymu. Fragment ogona wylądował kilkanaście metrów od ministrów, którzy rozpięchli się natychmiast. Pierwszy odzyskał równowagę Alain Blanc.

- Pędź do Paryża - rozkazał kierowcy wskakując do samochodu. wioska, z której wystrzelono rakieta, została natychmiast odcięta.

Grelle osobiście kierował tą operacją. Wozy patrolowe poprzedzały samochód prefekta, który jechał w s t r o n ę le Mesnil Amelot.

Mieszkańcy wybiegli zszokowani na ulice, wpatrując się w niebo.

Samochody policji zatrzymały się i Grelle wyskoczył.

- Wracać do domów... zejść z ulicy... w każdej sekundzie może tu wybuchnąć strzelanina...

Przybyło więcej samochodów i prefekt zarządził przeszukanie wszystkich domów, ostrzegając przy tym swoich ludzi, by zbyt pochopnie nie sięgali po broń.

- Widziałem, jak coś śmignęło stąd w niebo - powiedział inspektorowi dowodzącemu oddziałem przeszukującym wioskę.

- Ja też - odparł podekscytowany inspektor.

Przez samochodowe radio prefekt skontaktował się z Boisseau.

- Trzymaj ulice Paryża czyste. Nie wolno dopuścić, by zbierały się jakieś tłumy. W razie potrzeby użyj oddziałów CRS. Ktoś może próbować zorganizować powstanie.

Załatwiwszy Paryż, przejął z powrotem kontrolę nad przeszukiwaniem wsi. Była dokładnie 10:55 - sprawdził czas na zegarku - gdy usłyszał, jak inspektor pędzi ulicą, krzycząc ile sił w płucach.

Znaleźli Algierczyka.220 yyy ta ponosił odpowiedzialność tylko Abou Benefeika. Jadąc z prędkością 140 km/h uderzył w barierkę.

Na jego pogrzeb przybyło ponad pięćset osób. I tak jak na pogrzebie Guya Floriana, głównym żałobnikiem był Alain Blanc, który później został następnym prezydentem Francji. Na trumnie ułożono, przeznaczony na oficjalne okazje, obsyty srebrem czarny mundur Marca Grellea. „Przypuszczam - zauważył potem Andre Wiewiórka - że wolałby raczej luźne spodnie i sweter polo...” Premier był jednym z niosących trumnę i ludzie mówili później, że nigdy przedtem ani potem nie widzieli Alaina Blanca tak przygnębionego.